



Zygmunt  
Zeydler-Zborowski



TAJEMNICZY  
PAMIĘTNIK

PIERWSZE WYDANIE KSIĄŻKOWE



Zygmunt  
Zeydler-Zborowski



# TAJEMNICZY PAMIĘTNIK

PIERWSZE WYDANIE KSIĄŻKOWE

**Zygmunt**

**Zeydler-Zborowski**

**TAJEMNICZY**

**PAMIĘTNIK**

# LTW

## Redakcja

Ewelina Stryjecka-Doliwa

Projekt okładki

Mikołaj Jastrzębski

Edycję opracowano na podstawie publikacji: „Dziennik Łódzki” 1966, nr 109-168

Powieść ukazała się także pod tytułem Żółty zeszyt w. „Kurier Polski” 1961, nr 157-213  
„Ilustrowany Kurier Polski” 1961, nr 231-305

© Copyright by Zofia Bimali Zborowska

© Copyright for this edition by Wydawnictwo LTW

ISBN 978-83-7565-154-6

Wydawnictwo LTW

ul. Sawickiej 9, Dziekanów Leśny

05-092 Łomianki

tel./faks (022) 751-25-18

[www.ltw.com.pl](http://www.ltw.com.pl)

e-mail: [wyd@ltw.com.pl](mailto:wyd@ltw.com.pl)

ROZDZIAŁ I

-  
Zlituj się, Kaziu...

Fabian bezradnym ruchem rozłożył ręce. Na jego szerokiej, mięsistej twarzy malował się wyraz nieomal dziecięcego zatroskania.

-  
Nic na to nie poradzę, mój drogi, musisz jechać. Zawsze idę ci na rękę, ale w tym wypadku... Wejdz

w moje położenie. No, po prostu nie mam kogo posłać. Joanna jest w ósmym miesiącu ciąży, Karol leży chory na grypę, a Jurek już od trzech dni siedzi w Krakowie i wcale nie ma zamiaru wracać. Telefonował do mnie, że podłapał jakąś sensację. Nie mogę go na siłę ściągać. W tej sytuacji zostajesz tylko ty.

Wroński czuł, że sprawa jest przegrana. Próbował jeszcze się bronić.

-

Wiesz przecież, że mnie interesują sprawy kryminalne...

-

Wiem, wiem - przerwał mu niecierpliwie Fabian, nie potrzebujesz mi tłumaczyć, nie zawsze jednak robimy to, co nas interesuje.

Rasowy dziennikarz musi w razie potrzeby pisać na każdy temat, nawet o zmiataniu ulic.

-

Wolałbym już o zmiataniu ulic - mruknął Wroński i wyjął z kieszeni paczkę grunwaldów. - Zapalisz?

Trzasnęła zapalka. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, otaczając się gęstymi kłębam dymu.

Fabian wstał i przeszedł się po pokoju. Był atletycznej budowy i robił wrażenie raczej zapaśnika aniżeli dziennikarza. Zatrzymał się koło biurka, zgasił papierosa i poklepał przyjaciela po ramieniu.

-

No więc załatwione. Pojedziesz dzisiaj na noc do Augustowa.

Nie powinno ci to zająć więcej niż dwa dni.

-

Co ja nieszczęsny napiszę o tej fabryce obuwia? - jęknął

Wroński.

-

Napiszesz, napiszesz, nie ma strachu. Nie rób takiej zrozpaczonej miny. Zdarzają się w życiu gorsze tragedie.

Natychmiast zauważył, że ostatnie zdanie wypadło nie bardzo taktownie. Nie powinien był tego powiedzieć. Wiedział przecież, że Agnieszka... Wszyscy wiedzieli. Zły na siebie odwrócił się do

okna.

Nerwowo szukał jakichś słów, które mogłyby zatrzeć niemiłe wrażenie.

Wroński uśmiechnął się z przymusem.

-

Właściwie powinienes dać mi urlop.

Fabian prychnął niecierpliwie:

-

Jeszcze czego? Żebyś miał więcej czasu na pograżanie się w ponurych rozmyślaniach? Nie, nie, mój drogi, tego się po mnie nie spodziewaj. Uważam, że właśnie doskonale ci zrobi, jak się trochę przewietrzysz. Powinienes pojechać teraz na reportaże. Nie ma lepszego lekarstwa na melancholię niż pisanie reportaży.

-

O fabrykowaniu butów?

-

A choćby o fabrykowaniu butów. Nie ma złych tematów, są tylko kiepscy dziennikarze, a ja cię do takich nie zaliczam. Nie potrzebuję ci chyba tłumaczyć, że im trudniejszy temat, tym większe pole do popisu dla twórczej inwencji. Problematyka produkcyjna jest w obecnej chwili...

-

Dobrze, już dobrze - przerwał Wroński. - Zachowaj swoje oratorskie zdolności na inną okazję. Powiedz mi lepiej, czy rzeczywiście muszę jechać do tego Augustowa.

-

Musisz. Tylko w tym wypadku mógłbyś uniknąć wyjazdu, gdybyś mi dał dziennikarza równie zdolnego jak ty, a o to nie tak łatwo.

Wroński skrzywił się z niesmakiem.

-

Widzę, Kaziu, że chcesz mnie kupić za słodkie słówka. Czyż-

byś doszedł do przekonania, iż zmieniam płęć?

Fabian zaśmiał się.

-  
Na razie cię o to nie podejrzewam. No, idź teraz na obiad i kup sobie bilet w Orbisie. Ja jeszcze, niestety, muszę przeczytać ten materiał. - Uderzył dłonią w maszynopis leżący na biurku.

W nie najlepszym humorze Wroński wyszedł z redakcji.

-  
Cholera z tym Augustowem - mrucał. Dałby bardzo dużo, żeby uniknąć tej podróży, ale wiedział, że to niemożliwe. Fabian miał rację. Nie było kogo posłać, a reportaż musiał się ukazać.

Dopiero kiedy się znalazł w Alejach Jerozolimskich, do jego świadomości dotarł uliczny gwar. Z pewnym zdziwieniem spojrzał

na mijających go ludzi. Ciągle jeszcze nie mógł pogodzić się z tym, że życie płynie zupełnie normalnie, podczas gdy on... Starał się nie myśleć o niedawnych przeżyciach, ale to było bardzo trudne. Zbyt dużo rzeczy przypominało mu ją. Ulice, kawiarnie, sklepy, nawet przystanki tramwajowe. W kinach mieli swoje ulubione miejsca, w parkach ulubione ławki. Jak mogła...? Jak mogła...? I dla kogo? Dla tego starszego, antypatycznego faceta! Czym jej zaimponował? Tym swoim moskwiczem, forszą?

Gwizdek.

Wroński drgnął i spojrzał przytomniej. Milicjant otwierał skórzaną torbę.

-  
Obywatel nie widzi czerwonego światła?

-  
Przepraszam, nie zauważyłem. Zamyśliłem się.

-  
Takie zamyślenie się kosztuje dziesięć złotych. A na przyszłość niech się obywatel nie zamyśla na ulicy, bo może obywatel wylądować w szpitalu.

Wroński zapłacił mandat i, z przyzwyczajenia, zatrzymał się przed wystawą Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy. Był zły na siebie. Szkoda mu było tych dziesięciu złotych.

Prawie obiad dziennikarski. Niech szlag trafi tego drania! Nie do-syć, że zabrał mu Agnieszkę, to jeszcze... Gdyby w tej chwili spotkał

Gernera, to chyba doszłoby do bijatyki.



Kiedy skręcał w Foksal, posłyszał znajomy głos. Dopędził go Andrzej Rowicki.

-

Stachu, bój się Boga, gdzie tak lecisz? Nie mogę za tobą na-dążyć. I dlaczego masz taką wściekłą minę? Wyglądasz, jakbyś miał

zamiar kogoś zamordować.

-

Prawie zgadłeś. Czy wiesz, że przed chwilą milicjant zabrał

mi dziesięć złotych?

-

Za nieprzepisowe przechodzenie przez jezdnię?

-

Właśnie.

-

Trzeba myśleć o czerwonym światełku, a nie o niebieskich migdałach.

-

Widzę, że ci humorek dopisuje - uśmiechnął się Wroński.

-

Nie narzekam, a zresztą czyś ty kiedy widział, żeby mi humor nie dopisywał. Słuchaj no, Stachu, a może ty nie masz forsy? Postawię ci obiad, bo jeżeli mnie mój reporterski węch nie myli, to posuwasz do Stowarzyszenia, aby pokrzepić nadwątlone siły?

-

Cóż to, wygrałeś w toto-lotka? - zdziwił się Wroński. Wiedział, że Andrzej zawsze był bez grosza i pożyczał po parę groszy, od kogo się dało.

Rowicki potrząsnął głową.

-

Nie, nie przesadzajmy. Jakbym wygrał w toto-lotka, tobym teraz siedział we własnym wartburgu. Po prostu spotkałem w Al-hambrze kochającego wujaszka, od którego udało mi się uzyskać

długoterminową pożyczkę w wysokości stu złotych. A ponieważ nie lubię wydawać pieniędzy w samotności, więc zapraszam cię na jedną wódkę.

-

Wiesz przecież, że ja nie piję.

-

A kto mówi o picciu? Powiedziałem, że zapraszam cię na jedną wódkę. No, chodź, chodź, szkoda czasu.

W Stowarzyszeniu Wroński chciał wziąć kartkę na dziennikarski obiad, ale Rowicki pociągnął go za rękaw.

-

Daj spokój z dziennikarskimi obiadkami. Zamówimy sobie coś z karty. Mam ochotę na jakiś gustowny bryzolik z pieczarkami albo może być udko niezbyt zabiedzonych kaczuśki. Co ty na to?

Wujowa setka powinna nam starczyć.

Wroński uśmiechnął się.

-

Wiesz, Andrzej, że ty jesteś niepoprawny! Jak poczujesz parę złotych w kieszeni, to ci się wydaje, że cały świat do ciebie należy. A ta nieszczęsna setka nie trwa przecież wiecznie. Trzeba pamiętać o przeszłości, choćby nawet o tej najbliższej.

-

Nic nie trwa wiecznie - powiedział sentencjonalnie Rowicki. -

A jeśli chodzi o przyszłość, to niech się o nią martwi kto inny, ja nie mam najmniejszego zamiaru. Powiedz mi, co komu kiedy przyszło z tego, że myślał o przyszłości. Są to rozważania melancholijne i nie-produktywne, źle wpływają na samopoczucie i zatruwają ludziom życie. Cieszyć się trzeba chwilą obecną, a co będzie jutro...? Kto by się tym kłopotał?

Usiedli przy stoliku i zamówili wódkę i przekąski. Wroński silił

się na dobry humor, ale co pewien czas wracał melancholijny nastrój.

Wszystko przypominało mu Agnieszkę. Tyle razy byli tu razem na obiedzie, na kolacji, spędzali tu ostatniego sylwestra.

Andrzej uważnie obserwował przyjaciela.

-  
Coś ty dzisiaj taki przegrany? - spytał w końcu. - Ciągłe jeszcze tamta historia? Pluń na to wszystko. Szkoda zdrowia. Napij się wódki i nie myśl o głupstwach. Co było, to było, a teraz będzie co innego. Nie ma się czym przejmować.

Umilkł, bo właśnie kelnerka stawiała przed nimi barszcz z paszte-cikami.

Wroński z serdecznym uśmiechem spojrzał na przyjaciela. Lubił

tego chłopaka. Andrzej miał dużo wad: był szalenie lekkomyślny, chętnie zaglądał do kieliszka, nie darował żadnej ładniejszej dziewczynie, był cyniczny, nie zawsze przestrzegał zasad ogólnie przyjętej etyki. Miał jednak tyle osobistego uroku, że ludzie łatwo wybacжали mu wady. Był wszechstronnie uzdolniony, a do dziennikarstwa miał

po prostu talent. Jeśli tylko decydował się zrezygnować z wrodzone-go lenistwa, to natychmiast dystansował wszystkich swoich kolegów redakcyjnych. Niestety, chwile pracowitości nawiedzały go nader rzadko i to utrudniało mu zrobienie tak zwanej kariery. Zresztą nie dbał zbyt, żeby sobie zdobyć w swym zawodzie mocną pozycję.

Żył chwilą bieżącą, nie troszcząc się o jutro. Komuś obserwującemu go z boku mogło się nawet wydawać, że to jest chłopak, którego dni są policzone, że on o tym wie i pragnie wziąć z życia, co tylko się da, teraz, zaraz, natychmiast. A przecież Andrzej był zupełnie zdrowy.

Właściwie nic mu nie brakowało, z wyjątkiem odrobiny rozsądku.

Zjedli sałatkę i Andrzej nalał drugi kieliszek. Spytał:

-  
Byłeś dzisiaj w redakcji?

-  
Byłem. Wyobraź sobie, że Kazik gwałtem wysłał mnie do Augustowa. Jadę dzisiaj na noc.

-  
Do Augustowa? Cóż tam będziesz robił?

Wroński niecierpliwie wzruszył ramionami.

-  
A... Mam napisać reportaż z fabryki obuwia.

Widzę, że nie zachwyca cię ta perspektywa.

-

A ciebie zachwyciłaby?

-

Czekaj, czekaj... - Andrzej ugryzł kawałek pasztecika i zamy-

ślił się. - A jak byś się zapatrywał na to, żebym ja, zamiast ciebie, pojechał do Augustowa?

Wroński spojrział zdumiony. Wypili tylko po dwie małe wódki i nie było mowy o tym, żeby Andrzej się wstawił.

-

Naprawdę chciałbyś za mnie pojechać?

-

Naprawdę.

-

I napiszesz reportaż z fabryki butów?

-

Dlaczegoż by nie. Taki sam dobry temat jak każdy inny.

-

Wiesz, że mam cię ochotę uściskać - powiedział Wroński. -

Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo nie chciało mi się jechać.

Chyba postawię ci kolację w Bristolu.

-

Chętnie, ale to jak już wrócę. Na razie zapłaćmy rachunek i chodźmy. Musimy wpaść do redakcji, powiedzieć szefuńciowi o tej zmianie. Przypuszczam, że się zgodzi.

-

Oczywiście. Ale powiedz mi, kochany... - Wroński pochylił

się nad stolikiem - powiedz mi, dlaczego ty właściwie chcesz jechać do Augustowa.

-

Bo mi się szalenie podoba to miasteczko.

-

Nie żartuj.

-

Wcale nie żartuję. A zgadnij dlaczego?

Wroński wierzchem dłoni potarł w zamyśleniu podbródek.

-

Czekaj, czekaj... Wódkę przecież możesz pić i w Warszawie.

No to chyba chodzi o jakąś babkę?

-

No widzisz, bez większego trudu zgadłeś - zaśmiał się Andrzej. - Wyobraź sobie, że właśnie w Augustowie mam szalową babkę. Poznaliśmy się parę miesięcy temu w pociągu. Była trzy czy cztery dni w Warszawie, ale musiała wracać do Augustowa. Prosiła, żebym przyjechał, a mnie jakoś to nie wychodziło. Zresztą nie mam forsy na podróż. Pierwszorzędna dziewczyna. Pisuje do mnie listy.

Twierdzi, że jest we mnie zakochana. Ja tam w to nie wierzę, ale do Augustowa chętnie pojedę.

-

O czym ty napiszesz ten reportaż? - zatroskał się Wroński.

-

Będzie o butach, będzie, uspokój się. No chodź, Stachu, jedziemy do redakcji, bo nam Kazio gotów prysnąć i później będziemy go szukali po całym mieście.

Na rogu Nowego Świata złapali taksówkę. Fabian nie mógł wyjść z podziwu.

-

Naprawdę chcesz jechać do Augustowa?

-

Tak.

-

Przecież podobno miałeś jakąś pilną robotę w Warszawie.

-

Zdążę. Więc się zgadzasz, żebym ja pojechał zamiast Stacha?

- Zgadzam się. Jak chcesz, to jedź.

-

No to w dechę! Ciao, ciao, bambina. Trzymajcie się.

Energicznie uściśnął wyciągnięte dłonie i wybiegł z redakcji.

-

Co on się tak pali do tego Augustowa? - pokręcił głową Fabian.

Wroński wyjął papierosa.

-

Ano cóż, młody chłopak, to się pali, do Augustowa, nie do Augustowa, wszędzie.

-

Dziwne - mruknął Fabian, który nie należał do ludzi specjalnie bystrych. Mówiono nawet o nim w redakcji, że ma „spóźniony zapłon”, co u naczelnego redaktora było cechą niezwykle cenną.

-

Masz coś jeszcze do mnie? - spytał Wroński.

Fabian wyprostował swój potężny korpus i ziewnął.

-

Nie, nic od ciebie nie chcę. Możesz iść do domu.

Znalazłszy się na ulicy, Wroński uśmiechnął się smutnie. W

uszach dźwięczały mu ostatnie słowa Kazika. „Możesz iść do do-mu.” Do domu? Właściwie nie miał teraz domu. Chwilowo mieszkał

u siostry. Krępowowało go to i drażniło, a specjalnie męczyły go rozmowy z mężem Krystyny. Antoni nie był zbyt taktownym człowiekiem i z uporem maniaka nieustannie wracał do tego przykrego tematu. Och, żeby wreszcie zdobyć sobie jakieś samodzielne mieszkanie!

Winda od kilku dni była popsuta.

Wroński począł piąć się w górę stromymi schodami. Poczul się nagle bardzo zmęczony. Marzył o tym, żeby wyciągnąć się na tapczanie, zamknąć oczy i nie myśleć o niczym. Perspektywa rozmowy ze szwagrem napełniała go przerażeniem.

Na trzecim piętrze spotkał Krystynę. Miała na sobie nowy płaszcz z popielatego tweedu i pachniała mocnymi perfumami. Wrońskiemu wydało się, że jego widok trochę ją speszył.

-

Bardzo mi przykro, Stasieczku, ale dzisiaj sam będziesz musiał zjeść obiad. Poda ci Felicja. Ja mam coś pilnego do załatwienia na mieście, a Antoś dzwonił, że musi dłużej posiedzieć w szpitalu, jakaś operacja, czy coś tam takiego. Co ty tak mizernie wyglądasz?

Może jesteś chory? Bo to teraz z tą grypą...

-

Nie, nie, nic mi nie jest - mruknął Wroński. - Po prostu muszę odpocząć.

-

No to odpoczywaj, odpoczywaj, a najlepiej prześpij się trochę. Na razie, pa! Trzymaj się.

Poklepała go po policzku i szybko zbiegła w dół.

Gospoia Felicja nie była osobą usposobioną pogodnie do świata i ludzi. Ponury wyraz jej twarzy mógł oddziaływać deprymująco nawet na największego optymistę. W sztuce kulinarnej była jednak dość biegła i mieszkanie utrzymywała we wzorowej czystości, co nieraz nawet przybierało formy pedanterii. Na tym tle dochodziło od czasu do czasu do pewnych starć pomiędzy gospoią a Wrońskim, który nie posiadał wrodzonych dyspozycji do porządku.

-

Zaraz panu podam obiad. Pani kazała, żeby pan sam zjadł i na nikogo nie czekał.

-

Dziękuję, ale nie jestem głodny. Jadłem na mieście.

Felicja obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Wzruszyła mra-mionami.

-  
Ano, jak pan uważa. Nie wiem, dla kogo się gotuje w tym domu. Tylko pieniądze na darmo się wyrzuca!

Wroński nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusje na tematy gospodarskie. Poszedł do swojego pokoju, zdjął marynarkę i rzucił się na tapczan.

Leżał zasłuchany w odległy szum ulic. Całym wysiłkiem woli bronił się, aby nie myśleć o tamtej sprawie. Wiedział, że jeżeli choć na chwilę podda się słabości, to już nieprędko pozbędzie się obsesyjnych wizji. Nie można przecież nieustannie tkwić we wspomnieniach. Trzeba sobie organizować nowe życie, a o tym, co było, zapomnieć, zapomnieć jak najprędzej. Może źle zrobił, że nie zdecydował się na jazdę do Augustowa. Kazik ma rację. Powinien jeździć, poznawać nowych ludzi, a przede wszystkim powinien dużo pracować, żeby nie mieć czasu na rozmyślania. Nie uległo wątpliwości, że dobrze by mu zrobiła znajomość z jakąś interesującą kobietą. Ale gdzie znaleźć interesującą kobietę? To nie takie proste. Przelotne kontakty z tanimi kociakami, z którymi od razu się idzie do łóżka, wzbudzały w nim niesmak.

Ktoś zastukał.

-  
Proszę.

Przez uchylone drzwi wsunęła się do pokoju głowa Felicji. „Wygląda jak stara szympansica” - pomyślał Wroński.

-  
Czy pan będzie teraz w domu?

-  
Tak, z godzinę, a może i dłużej.

-  
Bo ja muszę wyjść do sklepu, więc jakby telefon...

-  
Dobrze, dobrze, niech gosposia idzie. W razie czego odbiorę telefon.

Małpia twarz zaniknęła i Wroński znowu został sam. Zamknął

oczy. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że stracił nad sobą kontrolę. Znowu myślał o Agnieszce. Ciągle jeszcze nie mógł pogodzić się z tym, że ona już nie jest jego żoną, że należy do



innego mężczyzny, że śpi z nim. Dlaczego? Przecież tak bardzo ją kochał.

Starał się być dla niej dobrym mężem, unikał scysji, ustępował jej we wszystkim. Był czuły, uważny, pomagał jej w pracy. Wydawało mu się, że Agnieszka kocha go i że nie ma między nimi żadnych niedomówień. I nagle... To było dla niego zupełną niespodzianką.

Nic, ale to absolutnie nic nie wskazywało na to, że coś się między nimi zaczęło psuć. Pewnego dnia Agnieszka powiedziała, że muszą się rozwieść. Był zaskoczony, wstrząśnięty. Prosił o wyjaśnienia, chciał wiedzieć, dlaczego chce od niego odejść. Odparła krótko, że kocha kogo innego. Nie chciała się wdawać w dłuższe rozmowy na ten temat. Musiał pogodzić się z jej decyzją. Dzieci nie mieli. Rozwód uzyskali bez większych trudności. Niezgodność charakterów. A potem Agnieszka wyszła za mąż za Gernerera. Niewiele wiedział o tym facecie. Poznał go kiedyś w Spatifie. Zrobił na nim wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie. Niedawno wrócił do kraju z Argentyny czy Brazylii. Miał podobno jakieś zagraniczne przedstawicielstwa. Lekką ręką płacił wysokie rachunki, zapraszał ich do Bristolu i do Grand Hotelu. Przywiózł sobie pięknego packarda, ale go sprzedał i kupił moskwicza. Któż mógł przypuszczać, że Gernerer i Agnieszka... Był na pewno o dwadzieścia lat od niej starszy. Trzymał

się znakomicie, to prawda, ale jednak... Wysoki, postawny, widać było, że jest silny i wysportowany. Gęstą, szpakowatą czupryną zaczesywał do góry, co jeszcze go podwyższało. I ta twarz, ta niesłychanie sugestywna twarz, w której było coś z drapieżnego ptaka...

Cienki, lekko zgięty nos i blisko osadzone, czarne oczy.

- Ten człowiek ma w sobie coś z sępa - powiedział, kiedy wró-

cili z Bristolu do domu.

Agnieszka roześmiała się. Nie podtrzymała tego tematu. Czy śmiech jej nie zabrzmiał wtedy jakoś sztucznie? Kto mógł przypuszczać, że ta znajomość skończy się małżeństwem? Przez myśl mu nie przeszło, że Agnieszka do tego stopnia może się zainteresować Gernererem. Miłość od pierwszego wejrzenia? Trudno było sobie to wyobrazić. Typ człowieka zimnego, wyrachowanego, bezwzględnego, nie liczącego się z nikim i z niczym. I młoda, pełna życia dziewczyna, szczerą, bezpośrednią, której przede wszystkim potrzebna jest czułość, serdeczność, miłość. Jak to się mogło stać? Czyżby rzeczywiście pieniądze wchodziły tu w grę? Zupełnie nieprawdopodobne, a jednak... Niełatwo jest poznać drugiego człowieka! Można z kimś przeżyć całe lata, a właściwie nie bardzo się wie, jakim ten ktoś jest naprawdę.

Zadzwęczał dzwonek. Czyżby Felicja zapomniała kluczy?

Wroński wstał z tapczanu i poszedł otworzyć.

Była bardzo ładna. Blondynka z dużymi, ciemnymi oczami. Mia-

ła na sobie popielaty, doskonale skrojony kostium, uwydatniający kształtne piersi i biodra. Torebka z krokodyla i jasne, zamszowe rękawiczki. Uśmiechnęła się z pewnym zakłopotaniem.

Wroński poprawił krawat i przygładził włosy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Weszła do hallu.

Czy mam przyjemność z panem doktorem Kulickim?

-

Żałuję, ale nie.

-

Jaka szkoda.

Jej strapiona mina rozśmieszyła Wrońskiego.

-

Niech się pani tak nie martwi. Szwagier lada chwila powinien wrócić. Może pani zechce zaczekać.

-

Sama nie wiem. Powiedziano mi, że o tej porze mogę zawsze zastać pana doktora.

-

Tak. Właśnie w tych godzinach bywa w domu. Dzisiaj wyjątkowo coś go dłużej zatrzymało w szpitalu. Proszę, niech pani siądzie i zaczeka.

Przyjrzała mu się uważnie i powiedziała cicho:

-

Jaka szkoda, że nie jest pan doktorem Kulickim.

Roześmiał się.

-

Nie rozumiem. Dlaczego panią to martwi, że nie jestem lekarzem?

-

Bo panu można zaufać.

-

Czy nie uważa pani, że może troszkę za wcześnie na formu-

lowanie tego rodzaju sądów? Znamy się raczej od niedawna. A wła-

ściwie to nawet niezupełnie się znamy, bo nie zdążyłem się pani przedstawić. Nazywam się Wroński.

Z roztargnieniem wyciągnęła do niego rękę i mruknęła jakieś nazwisko, którego nie zrozumiał.

-

To właściwie jest głupie, co mówię, ale rzeczywiście wzbudza pan we mnie zaufanie. Sama nie wiem dlaczego. Chyba jakaś intuicja?

Wroński ze wzrastającym zainteresowaniem obserwował nieznajomą. Bardzo mu się podobała i nie miał nic przeciwko temu, aby obdarzała go swym zaufaniem.

Usiedli w hallu koło małego stoliczka i Wroński wyjął papiero-  
śnicę.

Przez chwilę obracała w palcach papierosa.

-

Więc pan jest szwagrem doktora Kulickiego?

-

Tak.

-

Ale pan nie jest lekarzem?

-

Na szczęście nie.

-

Widzę, że nie zachwyca pana medycyna.

-

Obawiam się, że zbyt dużo ofiar miałbym na sumieniu i dlatego...

Zaśmiała się, ale natychmiast twarz jej spoważniała. Spojrzała na zegarek.

-

Która u pana godzina? Nie jestem pewna, czy mój zegarek dobrze idzie.

-

Za piętnaście piąta - powiedział Wroński. Był trochę zdziwiony zachowaniem się nieznajomej.

Zgasiała papierosa i wstała.

-

Niestety, nie mogę dłużej czekać. Zadzwoń do pana doktora. Więc jest za piętnaście piąta, tak?

-

Tak.

-

Do widzenia panu. Miło mi było pana poznać. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Wroński skłonił się.

-

To tylko zależy od pani.

Na pożegnanie obdarzyła go czarującym uśmiechem.

-

Jest pan mężczyzną w moim typie - powiedziała i wyszła.

Przez chwilę Wroński stał nieruchomo i patrzył na drzwi, za któ-

rymi zniknęła piękna blondynka. Wzruszył ramionami, zapalił nowego papierosa i wrócił na tapczan. „Powinien ją Antoni skierować do psychiatry. - pomyślał. - Babka ma szmergla, i to nieliczego.” Nie było mu danym spokojnie odpocząć tego popołudnia. Po paru minutach zadzwonił telefon. Niechętnie powlókł się do gabinetu Antoniego. Podniósł słuchawkę.

-

Halo?

I nagle gorąca fala krwi uderzyła mu do głowy. Usłyszał głos Agnieszki. Mówiła szybko. Była zdenerwowana.

-

Bardzo przepraszam, że cię niepokoję, ale mam do ciebie pilną sprawę. Jeżeli możesz, przyjedź zaraz. Czekam na ciebie Pod Kurantem.

-

Dobrze, przyjadę - powiedział Wroński.

Był zupełnie oszołomiony. Agnieszka dzwoni do niego? Chce się z nim spotkać? Potrzebuje jego pomocy? Musiało się stać coś bardzo ważnego, inaczej nie zdecydowałyby się na to. W tej chwili uświadomił sobie, że ciągle jeszcze kocha tę dziewczynę i że pobiegnie na każde jej wezwanie, aby jej pomóc, aby ją ratować w jakiejś trudnej sytuacji.

Pospiesznie umył się w łazience, przyczesał włosy, włożył białą koszulę i zawiązał nowy krawat. Agnieszka nie lubiła kolorowych koszul.

W drzwiach spotkał Felicję. Przyjrzała mu się podejrzliwie.

Na rogu Belgijskiej wskoczył do osiemnastki. Był tak zaaferowany, że zapomniał zapłacić za bilet. Musiał się wracać z przedniej platformy.

Konduktor uśmiechnął się wyrozumiale.

-

Wiosna idzie i ludzie tracą głowy. Szczególnie młodzi. To powietrze tak działa.

Pod Kurantem nie było tłoku. Modna kiedyś kawiarnia straciła powodzenie i znalezienie wolnego stolika przestało być trudne.

Siedziała w rogu Sali, pod oknem. Od razu zauważył, że jest blada i zdenerwowana. Ręce jej drżały, kiedy wyjmowała z torebki paczkę papierosów. Sięgnął po zapalniczki.

-

Zapewne zdziwił cię mój telefon - powiedziała, nie patrząc na niego.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

-

No cóż. Wydaje mi się, że nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Różnie się ludziom życie układa. Jeżeli mogę ci w czymś pomóc, będę się bardzo cieszył.

Przez chwilę w milczeniu paliła papierosa.

-

Widzisz, Stachu, to wszystko nie jest takie proste. Wiem, że wyrządziłam ci dużą krzywdę, ale... - Nagle chwyciła go kurczowo za rękę i zaczęła mówić cichym, przyspieszonym głosem. - Boję się, bardzo się boję, że stanie się coś strasznego. Jestem zupełnie sama, zupełnie sama... Nie mogę już dłużej...

Spojrzał na nią zdziwiony.

-

Nie rozumiem, a twój...

W tej chwili do ich stolika podszedł energicznym krokiem wysoki brunet o śniadej twarzy południowca. Można go było wziąć za Włocha czy Hiszpana. Czarne włosy lśniły od brylantyny, a górną wargę ozdabiał wąziutki wąsik.

-

Bardzo państwa przepraszam - powiedział głębokim, mięk-kim barytonem. - Agnieszko, Edmund czeka w Grand Hotelu. Ma do ciebie coś pilnego. Prosił, żebyś natychmiast przyjechała. Wóz mam tutaj przed kawiarnią.

-

Może jednak... - powiedział Wroński.

Wyciągnęła do niego rękę.

-

Niestety, muszę już iść. Nie gniewaj się. Przepraszam. Zadzwoń do ciebie.

Wyszli.

Przez pewien czas Wroński siedział osowiały, wpatrując się w filiżankę z niedopitą kawą. Wreszcie wzruszył ramionami i poprosił o rachunek.

Szedł wolno Marszałkowską w kierunku placu Zbawiciela. Był zły na siebie. Po diabła zgodził się na to spotkanie? Co go teraz obchodzą sprawy byłej żony? A jednak los Agnieszki ciągle nie był mu obojętny. Potrzebowała jego pomocy. Nie zdążyła tylko powiedzieć, o co chodzi. Ten facet... Co za podejrzliwy typ! A może powinien był pojechać za nimi do Grand Hotelu? Tak, powinien był pójść za nimi. To wszystko wyglądało jakoś dziwnie. Agnieszka najwyraźniej czegoś się bała. Do licha, nie powinien jej tak zostawić.

Zawrócił, przebiegł na drugą stronę ulicy i wszedł w Wilczą. Do Grand Hotelu miał niedaleko.

Szatniarz z pewnym zainteresowaniem spojrzał na zadyszanego gościa.

W kawiarni ich nie było. W restauracji także nie. Przed hotelem stało kilka wozów, ale żaden z nich nie przypominał nawet moskwicza Gnera.

Wroński wrócił do szatni.

Nie widział pan takiego wysokiego, eleganckiego bruneta w towarzystwie pani w beżowym płaszczu?

-

Dużo jest na świecie wysokich brunetów - powiedział flegmatycznie szatniarz, nie przestając jeść bułki z kiełbasą.

-

Niedawno tu byli. Może jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu.

Szatniarz ruszył mocniej grdyką, przelękając duży kęs.

-

Nie widziałem. A ta pani była ładna?

-

Bardzo ładna. Średniego wzrostu szatynka, w beżowym płaszczu.

-

Nie widziałem.

Wroński wybiegł na ulicę. Rozejrzał się dokoła bezradnie. Nie wiedział, co ma robić. Przecież nie pojedzie do nich do mieszkania.

To nie miałyby najmniejszego sensu. Naraziłby się tylko na to, że Gerner wyrzuciłby go za drzwi. Nie, nie, tego nie może zrobić. A jeżeli Agnieszce grozi jakieś niebezpieczeństwo? Bała się. Czegoś się bała, ale czego? A może kogo? Gnera? To typ człowieka goto-wego na wszystko, mogącego nawet zamordować z zimną krwią.

Dlaczego miałby zagrażać Agnieszce? Nonsens. - Mam roztrzęsione nerwy i pozwalam galopować fantazji - mruknął Wroński. - Trzeba się uspokoić.

Hożą doszedł do Alei Ujazdowskich i tam wsiadł w sto dwadzieścia pięć. Postanowił wrócić na Mokotów.

W domu skonstatował bez zachwytu, że szwagier wrócił już ze szpitala.

Antoni był typowym pyknikiem. Średniego wzrostu, tęgawy, z wyraźnie rysującym się brzuszkiem, robił wrażenie człowieka zadowolonego z życia i z otaczającego go świata. Z okrągłej, rumianej twarzy nie schodził optymistyczny, pełen życzliwości uśmiech, który wywierał zbawczy wpływ na pacjentki. Kulicki zarabiał dobrze i świadomość posiadanych dóbr materialnych dodawała mu jeszcze pewności siebie, którą i tak obdarzyła go natura. Był ruchliwy, żywy, pełen wigoru i mimo iż dość dawno przekroczył już czterdziestkę, ciągle uważał się za młodzieńca. Dobre samopoczucie psuła mu nieco, powiększająca się w sposób zatrważający, łysina, ale i tę sprawę potrafił sobie wyperswadować w sposób pogodny, dochodząc do wniosku, że mężczyzna jego typu niedobrze wyglądałby z bujną czupryną.

Posłyszawszy jakieś szmery, Antoni wybiegł do hallu i nieco zbyt hałaśliwie powitał szwagra.

-

Jak się masz, Stasiu, kochany, jak się masz! Co u ciebie? Co tam słysząc?

-

Ano, nic specjalnego - powiedział Wroński. - Jakoś się żyje.

Antoni pociągnął go do gabinetu.

-

Chodź, chodź, napijemy się po kieliszku wermutu. Dzisiaj od samego rana mam ochotę na wermut. Nie wiem, co mi się stało.

Usadowił Wrońskiego w fotelu i wyjął z baru butelkę i kieliszki.

-

Twoje zdrowie, Stasiu. Za pomyślne zrealizowanie planów. A propos, jak tam sprawy mieszkaniowe?

-

Staram się. Myślę, że coś z tego powinno niedługo wyjść.

-

Nie myśl, że chcę się ciebie jak najprędzej pozbyć - powiedział prędko Antoni. - Wiesz przecież, że cię bardzo lubię. No, i na szczęście mogę sobie pozwolić na dość duże mieszkanie. Ale rozumiem, że cię to musi krępować i dlatego...

-

Nie tłumacz się - uśmiechnął się Wroński. - Wyprowadzę się, i to niedługo.



Antoni wypił wermut i chrząknął.

-

Nie chcę ci, mój drogi, już tym wszystkim głowy suszyć, bo wiem, że to są bardzo niemiłe sprawy, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś ciężki frajer. Ja bym na twoim miejscu nie zostawił im mieszkania bez żadnego ekwiwalentu. No, jak to może być, do diabła?

Żeni się facet z twoją żoną, zabiera ci mieszkanie i nawet kawalerki ci nie kupi? Niechby on na mnie trafił. Już ja bym mu dał szkołę. W

życiu nie można być taką ciepłą kluchą, bo cię ludzie zjedzą z ko-

ściami. A i to ci jeszcze powiem, że...

-

Dajmy temu spokój - przerwał mu Wroński, który znał już na pamięć te przemówienia Antoniego.

-

Dobra, dobra, mówmy o czym innym. Rozumiem, że to dla ciebie bardzo przykry temat. Ale człowiek właśnie przez takie różne historie nabiera doświadczenia życiowego. A że ja jestem od ciebie o kilka lat starszy, więc dlatego... Powiedz mi, kochany, nie było do mnie żadnych telefonów? Nikt nie przychodził?

-

Była jakaś niewiasta.

- Co za jedna? Czego chciała?

-

Nie wiem. Chyba pacjentka.

-

Stara, młoda?

-

Młoda i nawet bardzo ładna. Blondynka z takimi dużymi, ciemnymi oczami.

Antoni ponownie napełnił kieliszki.

-

Blondynka z ciemnymi oczami? Kto to mógł być? Nie podała swego nazwiska?

-

Coś tam mruknęła, ale nie dosłyszałem. Powiedziała, że zadzwoni do ciebie później.

-

Ano, to niech dzwoni. Lubię blondynki z ciemnymi oczami, to ma taki specyficzny wdzięk. Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z Krystyną?

-

Spotkałem ją na schodach.

-

Pewnie poleciała na jakąś randkę - zaśmiał się Antoni i wypił

wermut.

Był przyzwyczajony do flirtów żony i niewiele sobie z tego robił.

Zresztą i on sam nie należał do najwierniejszych na świecie mężów i jeżeli trafiła się jakaś okazja...

Wroński siedział w milczeniu. Ogarnęło go uczucie ogromnego zniechęcenia. Właściwie nic mu się nie chciało, na nic nie miał ochoty. Do pracy nie czuł najmniejszego zapału. Rozmowy z ludźmi mę-

czyły go i nudziły. Najchętniej leżałby z zamkniętymi oczami, nie myśląc o niczym. A może najlepiej byłoby w ogóle przestać istnieć, pogрузić się w niebycie?

Zadzwonił telefon.

Antoni podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Po chwili powiedział:

To do ciebie.

Halo... Jak się masz, Stachu? Tu Downar. Dawno już nie robiłeś ze mną żadnego wypadu. Miałbyś chęć na jakieś ciekawe morderstwo. Jeśli tak, to przyjadę zaraz po ciebie.

-

Przyjedź - powiedział Wroński. - A kto został zamordowany?

-

Niejaki Gerner.

## ROZDZIAŁ II

Kiedy przyjechali na Senatorską, zastali już spory tłum ludzi. Milicjanci z trudem utrzymywali porządek.

-

Proszę przechodzić, proszę przechodzić! Proszę nie tarasować przejścia!

Sierżant Michniak podbiegł do Downara.

-

Dobrze, że jesteście, towarzyszu kapitanie. Trzeba to jak najprędzej zlikwidować. Nie damy sobie rady.

-

Kto oprócz was jest z Komendy Miasta?

-

Porucznik Zarecki.

Downar z trudem powstrzymał grymas niechęci. Nie lubił Zareckiego. Uważał go za zarozumiałego głupca.

Weszli w głąb osiedla. Zaraz za pierwszymi blokami, przed gara-

żem, stał szary moskwicz. Kilku ludzi kręciło się koło niego.

-

Czołem - powiedział Downar.

Zarecki, który właśnie oglądał uważnie ślady na asfalcie, podniósł się i otrzepał spodnie. Był wysoki, szczupły. Rzadkie, ciemno-blond włosy zaczesywał do góry, usiłując przykryć nimi łysinę. Na lewym policzku miał charakterystyczną, głęboką bliznę.

Bez entuzjazmu powitał przedstawiciela Komendy Głównej.

-

Wy bierzecie tę sprawę? - spytał.

-

Nie wiem. Możliwe - odparł wymijająco Downar. - To w tym wozie znaleźliście trupa?

-

Tak.

Odciski zdjęte z karoserii?

-

Tak.

-

Siedział na tylnym siedzeniu?

-

Tak. Tak jak teraz.

Downar zbliżył się do wozu i ostrożnie podniósł maskę.

-

Zauważyliście to?

-

Co takiego?

-

Kabel od startera przecięty.

-

Nie zauważyłem... - przyznał Zarecki. - Jeżeli kabel od startera przecięty, to oznacza, że...

-

To oznacza, że w takich wypadkach nie wolno przeoczyć najmniejszego szczegółu. Pamiętajcie o tym, że pierwsze czynności mają zazwyczaj decydujące znaczenie dla śledztwa.

Zarecki przygryzł wargę, ale nic nie powiedział. Downar przywitał się z doktorem Ziembą.

-

Dobry wieczór, panie doktorze. Znowu się spotykamy.

Ziembra uściśnął wyciągniętą dłoń. Uśmiechnął się.

-  
I jak zwykle spotykamy się z okazji jakiejś nowej zbrodni.

Taki już nasz los. Zapewne chce pan posłyszeć moją opinię na temat tego przypadku?

-  
Będę panu bardzo wdzięczny.

-  
No więc cóż. Zgon nastąpił pomiędzy godziną szesnastą i szesnastą czterdzieści pięć. Powód zgonu: dwa strzały rewolwerowe z małej odległości w tył głowy. Pociski weszły tuż u podstawy cza-szki. Bardziej szczegółowymi danymi będę mógł panu służyć po dokonaniu sekcji zwłok.

-  
Strzały w tył głowy...? - powtórzył w zamyśleniu Downar.

-  
Mnie samego to dziwi, bo denata znaleziono na tylnym siedzeniu wozu.

Downar zwrócił się do Zareckiego:

-  
Znaleźliście dokumenty przy zamordowanym?

-  
Tak. Wystawione na nazwisko Edmund Gerner.

-  
Gerner, Gerner - powtórzył półgłosem Downar. Wziął pod rękę Wrońskiego i odprowadził go na bok.

-  
Słuchaj no, Stachu, w tej chwili przypomniało mi się, że Gerner to chyba...

-  
Dobrze ci się przypomniało - przerwał mu Wroński. - Moja była żona wyszła za niego za męża. Mogę cię jednak zapewnić, że to nie ja go uśmierciłem.

Downar nie zwrócił uwagi na te słowa. Był zamyślony. Po chwili spytał:

-

Widziałeś trupa?

-

Widziałem.

-

I to rzeczywiście Gerner?

-

Nie ma wątpliwości.

-

To będzie poważny cios dla twojej żony, to znaczy dla twojej byłej żony.

-

Przypuszczam, że tak.

Downar uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

-

Wiesz co, Stachu...? Może ja cię niepotrzebnie tu przywiozłem... Ta cała historia musi być dla ciebie nieprzyjemna. Lepiej będzie, jeśli z tego zrezygnujesz.

- Myślę, że masz rację.

Pożegnali się i Wroński wyszedł na Senatorską. Po chwili jednak wrócił.

Downar był zdziwiony.

-

Co się stało? Zmieniłeś zdanie?

-

Nie. Tylko widzisz, wydaje mi się, że muszę ci coś powiedzieć, co może mieć znaczenie dla śledztwa.

-  
Zaciekawiasz mnie. O co chodzi?

-  
Dziś po południu spotkałem się Pod Kurantem z moją byłą żoną.

-  
No i...?

Wroński opowiedział o przebiegu spotkania z Agnieszką i o nagłym przerwaniu ich rozmowy.

-  
Znasz tego faceta? - spytał Downar.

-  
Nie, nigdy go przedtem nie widziałem.

-  
Wysoki brunet, powiadasz?

-  
Tak. Bardzo przystojny. Typ urody południowca.

Downar poklepał przyjaciela po plecach.

-  
No, trzymaj się, Stachu. Zadzwoń do ciebie. Dziękuję ci za tę informację.

Podszedł do nich Zarecki.

-  
Czy nie sądzicie, towarzyszu kapitanie, że możemy się już stąd likwidować?

-  
Tak - zgodził się Downar. - Zwłoki na sekcję, a wóz trzeba wziąć na linę i odstawić do komendy. Jeszcze się go spokojnie prze-bada. Ale, ale, powiedzcie mi, co znaleźliście przy denacie?

Nic specjalnego. Portfel, notes, wieczne pióro, pilnik do paznokci i klucze, najprawdopodobniej od mieszkania.

Downar pomyślał chwilę.

-

Wszystko to zdacie w komendzie, a klucze wezmę ze sobą.

Mogą mi się przydać. Aha, i jeszcze jedno. Sprawdźcie, czy w tym moskwiczu jest benzyna w baku. Na razie to chyba byłoby wszystko.

Jutro się z wami skomunikuję.

Żądni sensacji gapie zaczęli się powoli rozchodzić. Ulica wracała do normalnego życia. Z kościoła wyszło kilka osób i zatrzymało się na chodniku.

Downar otworzył drzwiczki wozu.

-

Dokąd jedziemy, towarzyszu kapitanie? - spytał Sikora.

-

Na spacer, na Bielany. Wiecie, gdzie jest aleja Zjednoczenia?

- No pewnie, że wiem.

Agnieszka była w domu. Spojrzała ze zdziwieniem na nieznanego mężczyznę. Downar pokazał legitymację służbową i wszedł do przedpokoju. Zauważył, że bardzo się zmieszala.

-

Czym mogę panu służyć?

-

Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

-

Proszę, może pan pozwoli do gabinetu?

Pokój był duży, widny, urządzonej nowocześnie. Półki z książkami, biurko z jasnego drzewa, foteliki z metalowych rur. Na podłodze barwny dywan, a na ścianach parę abstrakcyjnych obrazów.

Usiedli koło niskiego, okrągłego stolika i Downar wyjął papiero-



śnicę.

Podsunęła mu popielniczkę.

-

Więc słucham pana?

Downar, nie spiesząc się, wyjął z kieszeni klucze, które dostał od Zareckiego.

-

Czy to są klucze od pani mieszkania? - spytał.

Była zdziwiona albo udawała zdziwioną.

-

Nie. To nie są klucze od mojego mieszkania. Nie rozumiem, o co panu chodzi...

Downar podniósł się i poszedł do przedpokoju, aby obejrzeć drzwi wejściowe. Agnieszka mówiła prawdę. Klucze rzeczywiście nie pasowały do tych zamków.

Wrócił na fotelik z metalowych rur i powiedział:

-

Dziś po południu spotkała się pani w kawiarni Pod Kurantem z panem Wrońskim, czy tak?

Zmarszczyła brwi.

-

Nie rozumiem pańskich pytań. Czy może mi pan łaskawie wyjaśnić, co znaczy to wszystko i jaki charakter posiada pańska wi-zyta?

Downar uśmiechnął się.

-

Przychodząc tutaj, nie usiłowałem zachować incognito. Pokazałem nawet pani moją legitymację służbową. Wizyta oficera śledczego ma na ogół dość jednoznaczny charakter. Dlatego pytanie pani wydaje mi się nieco dziwne.

-

Więc pan prowadzi śledztwo?

-  
Takie sformułowanie jest bliskie prawdy. Tak, prowadzę śledztwo. Mógłbym oczywiście wezwać panią do komendy na przesłuchanie, ale sądziłem, że mniej oficjalna forma rozmowy będzie pani bardziej dogadzała.

Poruszyła się niecierpliwie. Spokojny i niezwykle uprzejmy ton tego milicjanta drażnił ją. Nie umiałaby zapewne tego uzasadnić, ale w danej sytuacji wołałaby, żeby zachowywał się mniej układnie, a nawet grubiańsko. Spytała:

-  
O co właściwie panu chodzi? Czego się pan chce ode mnie dowiedzieć?

-  
Różnych rzeczy. A więc spotkała się pani dziś po południu z panem Wrońskim?

-  
Tak. To jest mój były mąż. Czyżby przytrafiło mu się coś złe-go?

Downar udał, że nie dosłyszał ostatniego pytania.

-  
Pani były mąż powiedział mi, że pani zadzwoniła do niego, prosząc o to spotkanie. Miała pani jakoby jakąś bardzo ważną sprawę. Chciałbym się od pani dowiedzieć, co to była za sprawa?

-  
Widzę, że Staszek dokładnie informuje milicję o swoich pry-watnych spotkaniach. Szkoda tylko, że te informacje niezupełnie są zgodne z prawdą.

-  
Dlaczego pani tak twierdzi?

-  
Dlatego, że nie było między nami mowy o żadnych ważnych sprawach. Po prostu, miałam chwilę czasu i chciałam w jego towarzystwie wypić filiżankę kawy. To wszystko.

Downar wolno palił papierosa i obserwował uważnie twarz Agnieszki. „Albo to jest urodzona aktorka, albo Stachowi rzeczywiście coś się przywidziało” - pomyślał.

-  
Więc tylko po to chciała się pani spotkać z Wrońskim, żeby wypić z nim kawę, tak?

-  
Tak. Czy pana to dziwi?

-  
W moim zawodzie nie ma miejsca na tego rodzaju uczucia jak zdziwienie. Niczemu się nie dziwię, ja tylko usiłuję dociec prawdy.

Niech mi pani łaskawie powie, jak pani sądzi, dlaczego Wroński twierdzi, że miała pani do niego jakąś bardzo ważną sprawę, jeśli w rzeczywistości tak nie było?

Agnieszka nieznacznie wzruszyła ramionami.

-  
Nie mam pojęcia. Nie umiem panu na to odpowiedzieć. Może po prostu tak sobie powiedział, a może... Widzi pan, Staszek bardzo przeżył nasze rozstanie i obawiam się, że ostatnio może trochę nad-używa alkoholu. Bardzo mnie to boli, bo czuję się w pewnym stopniu za to odpowiedzialna, ale przecież...

-  
Wprawdzie nie zauważyłem, żeby Wroński się rozpił - rzekł

Downar - ale cóż... Wszystko jest możliwe. Mniejsza z tym zresztą.

Niech mi pani łaskawie powie, kim jest ten mężczyzna, który podszedł do stolika.

Spojrzała na niego zdziwiona i zaniepokojona zarazem.

-  
O kim pan mówi?

-  
No, o tym jegomościu, który przerwał waszą rozmowę.

Wroński twierdzi, że był to jakiś przystojny, wysoki brunet.

Potrząsnęła głową.

-

Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Nikogo takiego nie widzia-

łam. I to Stach panu o nim opowiadał?

-

Tak.

-

Wie pan, że zaczynam być naprawdę niespokojna. Nie rozumiem, co się stało Staszкови? Dlaczego wymyśla te wszystkie historie?

Downar bębnił palcami po stoliku.

-

Hm. To rzeczywiście dosyć niezwykle. Więc państwo wypili kawę Pod Kurantem, porozmawialiście sobie o tym i o owym i nikt wam w tej rozmowie nie przeszkodził?

-

Nikt, absolutnie nikt.

-

A potem pojechała pani do Grand Hotelu?

-

Nic podobnego! Nie pojechałam do żadnego Grand Hotelu.

Pojechałam prosto do domu.

-

Samochodem?

-

Nie. Tramwajem. Wsiadłam przy Hożej w piętnastkę.

-

A kiedy pani ostatni raz widziała swojego męża, pana Gernerę?

-

Dzisiaj rano, przy śniadaniu.

Downar utkwiał wzrok w półce z książkami i zamyślił się. Już nie zadawał pytań.

Przedłużające się milczenie zniecierpliwiło Agnieszkę. Nerwowym ruchem odgarnęła z czoła kosmyk kasztanowatych włosów.

-

Czy pan chce się jeszcze czegoś ode mnie dowiedzieć?

-

Tak. Chciałbym panią jeszcze zapytać, czy pani już wie o tym, że mąż pani nie żyje?

Zbladła gwałtownie. Przez chwilę wydało mu się, że zemdleje.

-

To niemożliwe... Pan chyba żartuje... To nieprawda...

-

Niestety, proszę pani, to prawda. Przykro mi, że to właśnie ja muszę pani zakomunikować tę smutną wiadomość.

Z całej siły przycisnęła dłonie do skroni.

-

Nie żyje... Nie żyje... - powtórzyła matowym, drewnianym głosem. - Dlaczego nie żyje? Co się stało? Wypadek?

-

Mąż pani został zamordowany.

-

Zamordowany?

-

Tak.

-

To straszne.

Podeszła do okna i oparła czoło o szybę.

-

Chciałabym zostać sama - powiedziała cicho.

Downar wstał.

-

Doprawdy bardzo mi przykro. Przepraszam, że panią niepokoiłem. Chciałbym, żeby pani zastanowiła się nad naszą dzisiejszą rozmową. Zadzwoń do pani w tych dniach. Obawiam się, że jeszcze będę zmuszony panią odwiedzić. W tej chwili nie chcę już pani męczyć moją obecnością. Do widzenia pani.

Nie odezwała się i nie odwróciła się od okna.

Downar wsiadł do wozu i kazał jechać na Senatorską. Nie był zadowolony z siebie. Wydawało mu się, że rozmowę z Gernerową przeprowadził niezbyt zręcznie. Wziął za szybkie tempo. Na pierwszy rzut oka zrobiła na nim wrażenie ładnego, trochę naiwnego ko-bieciątka, a tymczasem... Do licha. A może Wroński był wtedy rzeczywiście trochę na bani. Ci dziennikarze...

Tak był pogrążony w rozmyślaniach, że nie zauważył, jak minęli Dworzec Gdański i wpadli w Nowotki.

-

Przyjechaliśmy, towarzyszu kapitanie - powiedział Sikora, widząc, że Downar nie rusza się.

-

Aha, tak. Dobrze. Dziękuję.

-

Mam zaczekać?

-

Nie, wracajcie do komendy.

Dozorczyńni mieszkała na pierwszym piętrze. Była mała i pulchna.

Miała duże piwne oczy i czerwony, zakatarzony nos.

-

Pan pewnie z milicji - powiedziała domyślnie.

-  
Zgadła pani.

-  
Proszę, proszę, pan wejdzie! Bałagan tu u mnie, ale stale to prasowanie. Proszę, niech pan usiądzie.

Downar przysunął sobie krzesło.

-  
Więc to pani pierwsza zauważyła trupa w samochodzie?

-  
Właściwie to nie ja tylko dzieci. Przyleciał do mnie chłopak, że jakiś pan siedzi w samochodzie i się nie rusza. Pewnie chory. No to poszłam zobaczyć. Aż mnie zemdliło i zaraz poleciałam po milicję.

-  
Czy ten samochód widziała pani już tu kiedyś?

Wzruszyła ramionami.

-  
Bo ja wiem... Może i widziałam. Różne tu samochody jeżdżą.

Ja tam im się nie przyglądam. Co mnie to obchodzi.

-  
A tego nieboszczyka widywała tu pani?

-  
Nie. Nie przypominam sobie.

-  
Hm... Pani tutaj pewnie pierze lokatorom bieliznę?

-  
Pewnie, że piorę. Przecie z pensji nie utrzymałabym się z dzieckiem.

-

I może pani chodzi też na sprzątanie?

-

Czasem chodzę.

Downar wyjął z kieszeni klucze i położył je na stole.

-

Niech się pani dobrze przyjrzy tym kluczom.

-

Klucze jak klucze.

-

Ktoś zgubił te klucze. Czy pani nie przypuszcza, że to mogą być klucze od któregoś z tutejszych mieszkań.

Dozorczyńni z większym zainteresowaniem pochyliła się nad sto-  
łem.

-

Bo ja wiem... Trudno poznać. A zresztą ja się tam nie przyglądam, jakie kto ma klucze od mieszkania.

Downar schował klucze i spytał:

-

A nie słyszała pani przypadkiem jakichś strzałów?

-

Strzałów? Nie, nie słyszałam. Taki tu hałas z ulicy. A nieraz to i chłopaki strzelają. Nie zwracam na to uwagi.

-

Dziękuję pani - powiedział Downar. - To byłoby na razie wszystko. Gdyby ktoś szukał kluczy od mieszkania, proszę mi dać znać. Nazywam się Downar, kapitan Downar. W razie czego może pani zawiadomić Komendę Miasta, tutaj w pałacu Mostowskich.

Dozorczyńni przytaknęła skwapliwie.



-  
Dobrze, dobrze. Może być pan spokojny, panie kapitanie.

Jakbym coś zauważyła, to zaraz pobiegnę na milicję.

Downar poczuł potrzebę ruchu. Przeciął więc Senatorską i wszedł w Saski Ogród.

Wieczór był chłodny. Po bardzo ciepłych, nieomal upalnych dniach, temperatura spadła gwałtownie i powiał północny wiatr.

Gdyby nie świeża zieleń, można byłoby pomyśleć, że to jesień.

Downar usiadł na ławce i zapatrzył się w ciemną powierzchnię sadzawki. W wodzie odbijała się jasną plamą iglica Pałacu Kultury i bezlistne jeszcze gałęzie drzew.

...Klucze, klucze... Właściwie nie było żadnych konkretnych podstaw, aby sądzić, że te klucze są od któregoś z mieszkań na Senatorskiej. Przecież Gerner mógł mieć kawalerkę na drugim końcu Warszawy albo nawet gdzieś pod Warszawą. To, że jego trupa znaleziono właśnie tutaj, niczego nie dowodzi. A jednak Downar nie mógł

oprzeć się wrażeniu, że te klucze są związane z miejscem zbrodni i prowadzą do rozwiązania zagadki. Morderca strzelał w tył głowy, a Gerner siedział na tylnym siedzeniu. Sytuacja byłaby jaśniejsza, gdyby go znaleziono przy kierownicy. Czyżby morderca dopiero po dokonaniu zbrodni usadowił trupa na tylnym siedzeniu? Mało prawdopodobne. Gerner był wysokim, roslym mężczyzną. Przeniesienie jego ciała nastęrczałoby sporo trudności, a przecież zbrodniarz musiał się spieszyć. A co z tym starterem? Ktoś go najwyraźniej przeciął. To znaczy, że ten ktoś chciał przeszkodzić zbrodniarzowi w wywiezieniu trupa. A może nie? Może komuś zależało na tym, żeby Gerner nie mógł zrobić użytku ze swego wozu? Tej ewentualności przecież nie można wykluczyć. A jak wytłumaczyć zeznania Gerne-rowej? Albo genialnie kłamię, albo Wroński się rzeczywiście upił.

Wroński? Gerner zabrał mu żonę, więc właściwie... Nie, nie, to niemożliwe. Chociaż właściwie nie ma na świecie rzeczy niemożli-wych, są tylko rzeczy mniej lub więcej prawdopodobne.

Downar sięgnął do kieszeni i końcami palców dotknął kluczy.

Podniósł się z ławki. Energicznym krokiem wrócił na Senatorską.

Mógł wprawdzie jutro z samego rana dać polecenie któremuś ze swoich ludzi, ale wolał nie tracić czasu.

Systematycznie zaczął odbywać wędrówkę po klatkach schodo-wych, uważnie oglądając zamki przy drzwiach. Na szczęście bloki na tym osiedlu nie były zbyt wysokie.

Chodził tak przeszło godzinę i już zaczął tracić nadzieję, że jego wysiłki dadzą jakieś pozytywne

rezultaty, gdy nagle...

Trzecie piętro. Zamek typu Yale i zasuw. Wycięcia w zamkach robiły takie wrażenie, że klucze, które Downar miał w kieszeni po-winny do nich pasować. Tak na oko jednak trudno było mieć pewność.

Downar rzucił dookoła pospieszne spojrzenie, a przekonawszy się, że nikogo nie ma na schodach, schylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza. Wnętrze mieszkania było ciemne.

Zawahał się. Nie mógł przecież ryzykować. Nacisnął dzwonek raz, drugi, trzeci. Za drzwiami nikt się nie poruszył. Wtedy Downar ostrożnie wsunął klucz i przekręcił. Zasuw ustąpiła, zamek Yale także. Jeszcze tylko dwa obroty zwykłym kluczem i drzwi były otwarte. A więc intuicja nie zawiodła go tym razem!

Jeden rzut oka wystarczył: znajdował się w kawalerce. Downar nie miał zamiaru dłużej się tu zatrzymywać. Bał się, że lada chwila ktoś może go zaskoczyć. Zamknął starannie drzwi i zbiegł po schodach. Na dole zatrzymał się chwilę przed listą lokatorów. „Weronika Korzybska”.

Korzybska... Korzybska - powtarzał w myśli. Nazwisko to nie by-

ło mu obce, ale w tej chwili nie mógł sobie uświadomić, gdzie i przy jakiej okazji je słyszał.

Znalazłszy się na ulicy poczuł głód. Najbliższa restauracja była w Hotelu Saskim. Miała znakomite udogodnienie: z szatni można było za skromną opłatą zatelefonować.

Downar, nie zważając na spóźnioną porę, postanowił porozumieć się z Wrońskim.

-

Halo. To ty, Stachu? Nie gniewaj się, że cię tak późno niepokoję, ale chciałbym w twoim miłym towarzystwie zjeść kolację. Już jadłeś? Nie szkodzi. Albo zjesz drugą, albo napijesz się piwa. Czekam na ciebie w Saskim. Wiesz? Na placu Dzierżyńskiego.

Pan Waclaw znał Downara. Pochylił się nad stolikiem z życzliwym gestem.

-

Moje uszanowanie panu kapitanowi. Czym można służyć?

Piwko czy może coś konkretniejszego?

-

Jestem wściekle głodny - powiedział Downar.

Pan Waclaw uśmiechnął się ze zrozumieniem.

-  
W takim razie poleciłbym wieprzowy bryzolik.

-  
Niech będzie bryzolik, byle prędko. I duże piwo. - Już się ro-bi.

Kelner zniknął. Downar zaś bez specjalnego zainteresowania zaczął się rozglądać po sali.

Przy sąsiednim stoliku trzy uliczne dziewczyny adorowały pijanego blondyna, licząc jeszcze najwidoczniej na resztki jego zasobów materialnych. Nieco dalej czterech barczystych mężczyzn, o twarzach niewzbudzających zaufania, raczyło się obficie wódką, wiodąc jednocześnie hałaśliwy spór na temat jakiejś chevrolety. Bardziej na prawo siedział blady młodzieniec, który ostentacyjnie dłubał w zę-

bach, czkając przy tym rytmicznie. Zapewne czekał na damę swego serca. Powróciła niebawem z toalety. Była czarna, mocno uszmin-kowana. Jaskrawa czerwień jej sukni mogła przyprawić o migrenę najbardziej nawet wyrafinowanego amatora mocnych barw.

Gdy Downar kończył jeść bryzol, który szczęśliwym trafem nie okazał się przypaloną podszwą, na salę wszedł Wroński.

-  
Cóżżeś tak nagle zatęsknił za mną? - spytał.

Downar odsunął krzesło.

-  
Siadaj, Stachu. Muszę z tobą pomówić. Zjesz coś?

-  
Nie, dziękuję ci. Jestem po kolacji.

-  
No, to może chociaż piwa?

-  
Niech będzie piwo.

Nieoceniony pan Waclaw błyskawicznie postawił na stoliku butelkę pełnego. Downar napełnił szklanki i powiedział:

-  
Mam do ciebie parę spraw. A więc przede wszystkim chciał-

bym wiedzieć, czy dokładnie opowiedziałeś mi o twoim dzisiejszym spotkaniu z panią Gernerową, to znaczy z twoją byłą żoną?

Wroński spojrzał zdziwiony.

-  
Nie rozumiem.

-  
Chodzi mi o to, czy twoja była żona rzeczywiście twierdziła, że ma jakąś bardzo ważną sprawę do ciebie?

-  
Naturalnie. W przeciwnym wypadku nie telefonowałyby przecież do mnie. Rozumiesz chyba, że w naszej sytuacji...

-  
Oczywiście, oczywiście. A czy ten przystojny brunet rzeczywiście przerwał waszą rozmowę, czy też może ci się tak tylko zdawało?

Wroński poruszył się niecierpliwie.

-  
Zdawało? Co ty robisz ze mnie wariata?

Downar poklepał go ugodowo po ramieniu.

-  
Nie mam najmniejszego zamiaru kwestionować twoich władz umysłowych. Ale powiedz mi, tak zupełnie szczerze, jak przyjacielowi, może ty wtedy Pod Kurantem byłeś na leciutkiej fali? To przecież się zdarza.

Wroński był zły.

-  
Przestań się wygłupiać. Po pierwsze ostatnio w ogóle nie piję, a po drugie wtedy Pod Kurantem byłem najzupełniej trzeźwy i przytomny. I w ogóle nie rozumiem, o co ci chodzi.

-  
Nie denerwuj się. Napijesz się jeszcze piwa?

-  
Napiję się.

Downar skinął na kelnera.

-  
Panie Waciu, jeszcze piwko.

Kiedy w szklankach znowu zjawił się złotawy płyn, Downar pochylił się nad stolikiem i powiedział, zniżając głos:

-  
Widzisz, to jest bardzo dziwna historia. Twoja żona, to znaczy twoja była żona zaprzecza temu wszystkiemu.

Wroński ożywił się.

-  
Rozmawiałaś z Agnieszką?

-  
Tak, oczywiście. Nie zapominaj, że to właśnie jej męża zamordowano.

-  
Co ci powiedziała?

-  
To, że nie miała do ciebie żadnej ważnej sprawy i że nikt wam nie przeszkodził w rozmowie. Była zdziwiona.

-  
Nie mogę tego zrozumieć - powiedział Wroński. - Zupełnie nie mogę tego zrozumieć. Jak przyjęła wiadomość o śmierci Gernerera? Czy zrobiło to na niej wielkie wrażenie?

Wydaje mi się, że tak.

-

Biedna Agnieszka! - Wroński chwycił przyjaciela za rękę. -

Słuchaj, Stefan, czy nie uważasz, że powinienem do niej pojechać?

-

Po co?

-

No, jak to po co? Przecież... Zakomunikowałeś jej tę wiadomość i zostawiłeś ją samą. Zrozum, że w takiej chwili samotność...

Downar wyjął papierośnicę.

-

Masz, zapal i uspokój się. Jesteś porządny chłop, ale wydaje mi się, że tą sprawą nie potrzebujesz się tak bardzo przejmować.

Ostatecznie rozeszliście się. Co było, to było. Szarpiesz sobie tylko nerwy.

-

Kiedy ty nie rozumiesz...

-

Rozumiem, doskonale rozumiem. Nie jestem znowu taki głupi, na jakiego wyglądam.

-

A jeżeli ona tam rozpacza? Nie ma przy niej nikogo. Jest zupełnie sama.

-

Może tak bardzo nie rozpacza. A poza tym ma przecież jakąś rodzinę, przyjaciół...

-

Z rodziny ma tylko matkę, ale właściwie tak rzadko ją widuje... Przez cały czas naszego małżeństwa jej matka była u nas może trzy, cztery razy.

-

Bardzo taktowna teściowa - powiedział Downar. - A ojciec nie żyje?

-

Ojciec Agnieszki zginął gdzieś za granicą w czasie wojny.

Nie napisał ani razu. Myślę, że już dawno nie żyje.

Downar zgasił papierosa.

-

Napijesz się kawy? - spytał.

- Chętnie.

-

Panie Waciu, pan będzie uprzejmy dwie kawy, tylko takie protekcyjne.

Protekcyjna kawa okazała się szarawą lurą o dziwnym zapachu.

Downar skrzywił się.

-

Ale świństwo. Niech ich diabli wezmą z taką kawą!

Wroński machnął ręką.

-

W Warszawie nie dostaniesz nigdzie dobrej kawy. Chyba, że sobie w domu zaparzysz.

Downar już myślał o czym innym. Zapalił nowego papierosa.

-

Powiedz mi, Stachu, czy ty dobrze znałeś tego Gernerera?

-

Skądże. Bardzo mało go znałem. Widziałem go parę razy.

-

A jak się zaczęła wasza znajomość?

-  
Poznała mnie z nim Agnieszka. W jakimś lokalu czy u naszych wspólnych znajomych. Już nie pamiętam.

-  
To znaczy, że twoja była żona znała go dawniej niż ty?

-  
Oczywiście.

-  
Czym on się właściwie zajmował?

-  
Dokładnie nie wiem. Miał, zdaje się, przedstawicielstwo jakiejś firmy szwajcarskiej, czy coś takiego.

-  
Zegarki?

-  
Tak. Mam wrażenie, że zegarki. Nie interesowałem się tym specjalnie.

-  
Wierzę ci. Facet miał forszę, co?

-  
Miał.

-  
Zapewne nic mi nie możesz powiedzieć o jego znajomych czy przyjaciółach?

-  
Niewiele. Wiem tylko tyle, że znał chyba z pół Warszawy. No cóż, jak ktoś stawia wódkę, to o przyjaciół nietrudno.

-



Wybacz mi, Stachu - powiedział Downar. - Nie chciałem się wtrącać w twoje sprawy, ale nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że tak nagle rozszedłeś się z żoną. Z tego, co od ciebie słyszałem, wynikało, że byliście raczej dobrym małżeństwem.

Wroński ponuro patrzył w stolik.

-

Mnie też się tak zdawało.

-

Więc to stało się zupełnie nagle? Nie spodziewałeś się...?

Wroński milczał. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

-

Wiesz co, Stefan? Napiłbym się kieliszek wódki...

-

To jest dobra myśl - podchwycił Downar i skinął na kelnera. -

Panie Waciu, ćwiartka i coś na zakąskę.

-

Może grzybki z octu, panie kapitanie, albo tatar?

-

Niech będzie tatar.

Pan Wacław obsłużył ich błyskawicznie. Wroński wypił dwie wódki i sięgnął po papierosa.

-

Pytasz, czy byłem tą całą historią zaskoczony? Oczywiście, że byłem zaskoczony. Wydawało mi się, że pomiędzy mną a Agnieszką wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie miałem żadnych powodów, żeby przypuszczać, że coś się popsulo. Rozumiesz? Była nadal cudowną żoną - i w dzień, i w nocy. I dopiero kiedy powiedziała mi, iż postanowiła się ze mną rozejść, zrozumiałem, że się myliłem, że wszystko to, co uważałem za jakieś trwałe wartości, było fałszem, kłamstwem. Nie mogłem tylko pojąć jednej rzeczy: dlaczego Agnieszka tak długo grała komedię, dlaczego udawała?

Przecież nikt jej do tego nie zmuszał, więc...

-

Tak. Nikt jej do tego nie zmuszał - powtórzył w zamyśleniu Downar. - To rzeczywiście dosyć dziwna historia. Zazwyczaj w podobnych wypadkach coś się zaczyna psuć w małżeństwie i obie strony zdają sobie z tego sprawę. Narastają jakieś konflikty, pogłębiają się wzajemne żale, coraz ostrzej zaczynają się rysować niezgodności charakterów. Tego rodzaju decyzje nie przychodzą na ogół z dnia na dzień.

-

Zapominasz o tym, że może przyjść nowa miłość, która jest silniejsza od wszystkich dotychczasowych więzów.

-

Zgoda. Ale czy przypuszczasz, że twoja żona zakochała się tak płomiennie w Gernerze?

-

To jest jedyne wytłumaczenie tego, co się stało.

-

Hm. Niby tak. Nie tłumaczy to jednak faktu, że twoja była żona usiłuje zrobić z ciebie alkoholika, mającego przeróżne wizje.

Tylko że zamiast białych myszek, widzisz wysokich brunetów. No-wa forma delirium tremens.

Wroński nappełnił kieliszki.

-

Wiesz, że tego nie mogę zupełnie zrozumieć. Dlaczego Agnieszce zależy, żeby ciebie wprowadzać w błąd? Co się za tym kryje?

-

Najprawdopodobniej morderstwo Gnera.

Wroński poderwał się.

-

Nie podejrzewasz chyba Agnieszki...?

-

Nie denerwuj się - powiedział spokojnie Downar. - Wiesz przecież doskonale, że prowadząc śledztwo, muszę podejrzewać wszystkich, absolutnie wszystkich, nawet ciebie...

-  
Mnie...?

-  
Oczywiście. Gerner zabrał ci żonę, którą kochałeś i może jeszcze dzisiaj kochasz. Dlaczegoż więc...

-  
Głupstwa gadasz - przerwał mu Wroński. - Gdybyś mnie podejrzewał, to nie ściągałbyś mnie na miejsce zbrodni.

-  
A to dlaczego? Doskonała okazja do skontrolowania reakcji podejrzanego.

-  
Żartujesz?

-  
Oczywiście, że żartuję. Gdybym cię naprawdę podejrzewał, nasza rozmowa miałaby zapewne trochę inny przebieg.

-  
Wroński uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

-  
Muszę ci powiedzieć, że współzycie z tobą nie należy do rzeczy zbyt łatwych. Właściwie nigdy nie wiem, kiedy grasz, a kiedy jesteś szczerzy. Bo przecież najbardziej przekonująca szczerłość może być misternie prowadzoną grą.

-  
Downar zaśmiał się.

-  
Mogę cię zapewnić, że w tej chwili w stosunku do ciebie nie prowadzę żadnej gry. Chciałbym tylko, żebyś mi trochę pomógł.

-  
Cóż ja ci mogę pomóc? O Gernerze wiem tak niewiele. A je-

-  
śli chodzi o Agnieszkę, to wolałbym nie rozmawiać z nią na te tematy.

Tego nie mam ci zamiaru proponować.

Wroński spojrział na zegarek.

-

Późno już. Chodźmy.

- Jedziesz na Mokotów?

-

Oczywiście. Wiesz przecież, że ciągle jeszcze mieszkam u siostry. Muszę ci się przyznać, że mi to już obrzydło.

-

Chyba dostaniesz jakieś mieszkanie?

-

Mam nadzieję.

Zapłacili rachunek i wyszli. Z szatni Downar zatelefonował do Komendy Miasta. Po chwili siedzieli w granatowej warszawie.

-

Wyjeżdżasz teraz na jakiś reportaż? - spytał Downar.

-

Na razie nie.

- W takim razie zadzwonię do ciebie za parę dni.

- Bardzo cię proszę.

Dochodziła pierwsza, gdy Wroński otworzył drzwi mieszkania.

Posłyszał podniesione głosy.

- Ja mam już tego wszystkiego dosyć! - krzyczał Antoni - Nie wyobrażaj sobie, że jestem głupcem, który nic nie rozumie. Jeżeli odpowiadają ci bardziej inni mężczyźni, to proszę bardzo, wolna droga! Nikt cię nie zmusza do tego, żebyś była moją żoną.

- Ależ Antosiu... - powiedziała Krystyna.

Wroński na palcach poszedł do swego pokoju. Nie miał najmniejszego zamiaru wtrącać się do małżeńskiej sceny.

### ROZDZIAŁ III

„Pierwszego morderstwa dokonałem w Bydgoszczy w październiku 1954 roku. Helena Wójcicka. Pamiętam ją doskonale. Była postawną, przystojną szatynką, nie pierwszej już młodości, ale trzymała się jeszcze bardzo dobrze. Kochała się we mnie. Czyż to moja wina, że mam powodzenie u kobiet? Specjalnie się o to nie staram.

To tak jakoś przychodzi samo z siebie. Nieraz nawet zadawałem sobie pytanie, co te babki we mnie widzą. Na donżuana przecież nie wyglądam. Na mordercę także nie wyglądam, a jednak... Ale wracajmy do Helenki. Dosyć nawet była miła. Nie miałem z nią zbyt dużo kłopotu. Uduśiłem ją szalikiem. Zjedliśmy kolację, a potem ona powiedziała, że kupiła sobie nowy jedwabny szalik. Włożyła na szyję ten szalik, a ja go tylko zacisnąłem. Nawet nie musiałem się specjalnie wysilać. To trwało dosłownie kilka sekund. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że tak łatwo zabić człowieka. Machnęła parę razy rękami i było po wszystkim.

Złoty zegarek, sto dolarów, cztery tysiące złotych w gotówce.

Przyznaję, że byłem trochę rozczarowany. Sądziłem, że jest bogat-sza. Ano cóż, trudno. Niejedno rozczarowanie musi człowiek prze-

żyć. Zgasilem światło, starannie zamknąłem drzwi i poszedłem prosto na dworzec. Nie spieszyłem się. Wiedziałem, że najwcześniej dopiero na drugi dzień odnajdą trupa. Przed odejściem dokładnie wytarłem w całym mieszkaniu odciski moich palców. W Bydgoszczy nikt mnie nie zna, z Heleną nikt mnie nie widział na mieście. Nie potrzebowałem się obawiać.

Spędziłem w Zakopanem bardzo przyjemne dwa miesiące. Pozna-

łem wielu interesujących ludzi, miałem parę przygód miłosnych. A kiedy znudziły mnie góry, pojechałem do Krakowa, gdzie zamordowałem starego adwokata, Aleksandra Wigórskiego. Dureń uwierzył, że ja jestem specjalistą od prawa międzynarodowego. Zaprosił mnie do siebie, żeby mi pokazać jakieś cenne prace z tego zakresu. Kiedy odwrócił się do szafy z książkami, uderzyłem go młotkiem w tył

głowy. Zabiłem go na miejscu. Nie męczył się. Dla takiego starego to nawet lepiej. Po co ma gnić miesiącami w szpitalu. Znalazłem dwieście pięćdziesiąt dolarów w złocie, trochę złotych wyrobów i dwa piękne pierścionki z brylantami. Jeden cztery karaty czystej wody, drugi trochę większy, ale cytrynka. Niewielkie to rzeczy, ale zawsze coś.

Potem miałem dłuższą przerwę, prawie półtora roku. Na wiosnę 1956 zabiłem Kazimierczyka. Taki sklepikarz z Gdyni, mały, chudy, nic ciekawego. Zaprosił mnie do siebie. Chciał się pochwalić swoim zbiorem starych monet. Przyszedłem trochę wcześniej. Właśnie miał

zamiar się kąpać. Wyszedł do mnie w szlafroku. Wanna była już gotowa. No to wsadziłem go do

wanny i pottrzymałem chwilę pod wodą. Utopił się. Nie przypuszczałem, że znajdę u niego tyle forsy.

Dwa tysiące dolarów, tysiąc franków szwajcarskich i dwadzieścia tysięcy złotych. Oczywiście wszystko zabrałem.

Spędziłem cudownie lato na Wybrzeżu. Pogoda nawet była niezła. Poznałem kilka pierwszorzędných dziewczuszek, z którymi bawi-

łem się bardzo przyjemnie. Grand Hotel w Sopocie jest zupełnie przyzwoity.

Właściwie do wszystkiego można się przyzwyczaić, do zabijania także. Ja się nie tylko przyzwyczaiłem, ale nawet do pewnego stopnia wpadłem w nałóg. Trudno mi żyć bez zabijania, czegoś mi brak.

Kolejną moją ofiarą była Eugenia Wichrzycka. To się stało na jesieni 1957 roku w Poznaniu. Bardzo ponętna, cudownie robiła strip-tiz. Ale nie mogłem się od niej odczepić. Była straszliwie natrętna.

Wsypałem jej do zupy trochę cyjanku potasu. Banalny sposób, ale bardzo skuteczny. Znalazłem przy niej tylko pięćset złotych, nawet nie wziąłem.

Po tej historii z Eugenią miałem dość dużą przerwę. Właściwie nie wiem dlaczego. Po prostu jakoś źle się czułem, nic mi się nie chciało. Dopiero w lecie 1959 roku zabiłem we Wrocławiu ginekologa, Mieczysława Górczaka. Przeczuwałem, że jest to człowiek dość zamożny i nie omyliłem się. Trzydzieści tysięcy złotych gotów-ką, a prócz tego trochę obcej waluty, złota i biżuterii. Byłem zadowolony. Wszystko poszło dosyć gładko. Obiecałem mu załatwić pewną sprawę w ministerstwie w Warszawie. Zaprosił mnie do siebie na kawę. Kiedy usiadł przy biurku, aby napisać list do jednego ze swoich przyjaciół w Warszawie, uderzyłem go marmurowym przyci-skiem w głowę. Uderzenie było wystarczająco mocne i celne.

Nie wiem właściwie, po co ja to wszystko piszę? W mojej sytuacji nie powinno się tego robić, ale coś mnie korci, żeby się z kimś podzielić moimi wspomnieniami. Nie mogę przecież z nikim na ten temat rozmawiać. A zresztą mógłbym zapomnieć, jak to było. Przecież to jeszcze nie koniec. Jeszcze dużo lat przede mną, jeszcze bardzo wielu ludzi zabiję.

Teraz jadę do Warszawy wykończyć tego drania Gnera. W tym wypadku to nie jest chęć zdobycia pieniędzy, to jest zemsta, a zemsta, jak wiadomo, jest rozkoszą bogów. Nie wiem jeszcze, czy Gnera otruję, zastrzelę czy uduszę. Nie jestem zdecydowany, zastanowię się nad tym w pociągu. Będę miał dość czasu...” Wroński skończył czytać i przez chwilę w milczeniu przewracał

zatluszczone kartki starego brulionu. Był zupełnie oszołomiony.

Spytał:

-

Gdzieś ty to znalazł? Andrzej uśmiechnął się.

-  
Mówiłem ci przecież, że w hotelu w Augustowie. Położyłem magnetofon na szafie i nagle poczułem pod palcami jakiś zeszyt.

Ciekawe, co?

-  
Czy wiesz, że Gerner już został zamordowany?

Rowicki podskoczył na krześle.

-  
Niemożliwe!

W tej chwili przez uchylone drzwi wsunęła się zaondulowana głowa młodziutkiej blondynki.

-  
Panie Andrzeju, naczelny pana wzywa, ale już, piorunem!

Wroński został sam. Sięgnął ręką po telefon i połączył się z Komendą Główną. Downar, dowiedziawszy się, o co chodzi, krzyknął:

-  
Przyjeżdżaj natychmiast! Jeśli chcesz, przyślę po ciebie wóz.

-  
Nie, nie trzeba. Złapię taksówkę. Będzie prędezej.

W taksówce Wroński raz jeszcze przeczytał niesamowity pamiętnik mordercy. Było to coś tak nieprawdopodobnego, że wprost trudno było uwierzyć. Gdyby nie śmierć Gnera, można by przypuszczać, że opowieść o zbrodniach wylęła się w głowie jakiegoś gra-fomana.

Wroński tak był pogrążony w rozmyślaniach, że nie zauważył

nawet, kiedy przyjechał do komendy. Przepustka już była gotowa.

Nie tracąc czasu, pobiegł na górę. Downar czekał na niego niecierpliwie.

-  
Co ty mi za rewelacje opowiadasz? - spytał.

-  
Masz, czytaj.

Downar wziął do ręki zniszczony brulion i obejrzał go uważnie.

-  
Nabierasz mnie na jakiś kawał?

-  
Coś ty zwariował! - krzyknął Wroński. - Akurat w głowie mi teraz kawały. Mój kolega redakcyjny pojechał na reportaż do Augustowa i znalazł to na szafie w hotelu. No, czytaj.

Downar zaczął czytać. W miarę jak przewracał brudne kartki, twarz mu spoważniała. Kiedy skończył, gwizdnął przez zęby i spojrzał na Wrońskiego.

-  
A wiesz, że to fantastyczna historia.

-  
I mnie się tak wydaje.

-  
I powiadasz, że twój kumpel znalazł to w hotelu w Augustowie?

-  
Tak.

- Facet, który to pisał, musiał być chyba wariatem.

- Chyba tak.

-  
Pamiętnik wygląda na wytwór chorobliwej imaginacji. Tylko ta zapowiedź zamordowania Gernera...

-  
Właśnie.



Zaczekaj tu na mnie chwilę.

Downar wstał, chwycił zeszyt i wybiegł z pokoju. Wroński czekał, paląc papierosa. Upłynęło piętnaście minut, pół godziny, trzy kwadranse, a Downar nie wracał. Wroński zaczął się już niecierpliwić. „Gdzie on się podział, u diabła?” Wreszcie po godzinie trzasnęły drzwi.

-

Myślałem już, że o mnie zapomniałeś i wyjechałeś na miasto.

Downar był tak zaaferowany, że nie zwrócił uwagi na słowa przyjaciela.

-

Słuchaj, Stachu... Wyobraź sobie, że wszystkie opisane w tym zeszycie morderstwa są autentyczne. Zgadzą się daty, nazwiska, wszystko.

-

To znaczy, że te morderstwa nie zostały wykryte - powiedział

Wroński.

-

Otóż to. Nie zostały wykryte. W każdym z tych wypadków śledztwo utknęło w martwym punkcie. No wiesz, nie wszystkie zbrodnie są wykrywalne...

-

Oczywiście. A więc z tego wynika, że sprawcą wszystkich tych morderstw jest jednak jeden człowiek, który napisał ten pamiętnik.

Downar nerwowo przeszedł się po pokoju.

-

Na to wygląda, chociaż trudno w to uwierzyć.

-

I ten zbrodniarz w dalszym ciągu będzie mordował ludzi...

-

No wiesz, może jednak uda się nam go wytropić. Teraz już mamy przynajmniej jakie takie

zaczepienie.

-

To musi być patologiczny typ.

-

Niewątpliwie. Tacy najgorsi. Wszelkiego rodzaju zbrodniecy odznaczają się zazwyczaj niesłychaną przebiegłością.

-

Tak. Nieraz o tym słyszałem. Poza tym rozumowanie i postę-

powanie wariata jest dla normalnego człowieka tak zaskakujące, że przeważnie wszystkie teorie i systemy biorą w łeb.

-

Nie odniosłem wrażenia, że pamiętnik pisał umysłowo chory.

-

Czy sądzisz, że to rzeczywiście ten facet zamordował Gernerę?

-

No cóż... Pewności mieć oczywiście nie można, ale wszystko pasuje, daty się zgadzają. Miał oczywiście dosyć czasu na to, żeby z Augustowa przyjechać do Warszawy. Zastanawia mnie, że ma pistolet. Przecież Gerner został zastrzelony. Noszenie pistole tu jest rzeczą bardzo ryzykowną.

-

Prawdopodobnie pozbył się go natychmiast po dokonaniu morderstwa. W każdym razie nie łudź się, że kiedykolwiek w życiu zobaczysz ten pistolet.

-

Co do tego jestem zupełnie spokojny.

Wroński wstał.

-

Słuchaj, Stefan, ja już muszę lecieć. Jeżeli masz jeszcze coś do mnie, to się streszczaj.

Downar otworzył okno. W pokoju było szaro od dymu.

-  
Na razie nic chyba już od ciebie nie chcę. W razie czego zadzwonię. Dziękuję ci za ten fantastyczny pamiętnik.

-  
To nie mnie, podziękuj Andrzejowi Rowickiemu.

-  
Będę chciał z nim zamienić kilka słów przy okazji.

-  
Nic łatwiejszego.

Uścisnęli sobie dłonie. Kiedy Wroński był już w drzwiach, Downar powiedział:

-  
Aha, słuchaj, czy nie wiesz, kto to jest Weronika Korzybska?

Takie jakieś znane nazwisko, ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć...

-  
No jak to... Przecież to jedna z bardziej znanych piosenkarek.

Śpiewa w radiu, a teraz występuje, zdaje się, w jakiejś rewii.

-  
Prawda. Nieraz słyszałem ją w radiu i w telewizji. Nie mam pojęcia, co mi się stało. Jakieś zamroczenie. Może skleroza.

-  
To nie jest wykluczone. W twoim wieku...

-  
No, no, nie próbuj robić ze mnie staruszka. Poczekaj z tym jeszcze kilka lat. Powiedz mi, czy znasz tę śpiewaczkę?

-  
Nie i muszę ci się przyznać, że nigdy jej nie widziałem. Znam tylko jej głos.

-  
Co powiedziałbyś na to, gdybyśmy się tak wybrali dzisiaj wieczorem na rewię? Mam ogromną ochotę obejrzeć sobie tę gwiaz-deczkę.

Wroński zrobił zdziwioną minę.

-  
Cóż to, jesteś w trakcie poszukiwania jakiejś nowej przygo-dy?

-  
Całe życie jest jedną wielką przygodą - odparł filozoficznie Downar. - No więc jak? Pójdiesz ze mną?

- Możemy pójść. Właściwie nie mam nic lepszego do roboty.

-  
No to świetnie. Ja załatwię bilety. Spotkajmy się o szóstej w Lajkoniku, na placu Trzech Krzyży. Wypijemy kawę, a potem pójdziemy na przedstawienie. Zgoda?

-  
Zgoda! - Wroński spojrzał uważniej na przyjaciela. - Łączysz Korzybską z tą historią? - spytał.

Downar wzruszył ramionami.

-  
Bo ja wiem. Na razie nic nie mogę powiedzieć. Poruszam się zupełnie po omacku. Węszę.

-  
Ale jednak podejrzewasz o coś tę dziewczynę?

-  
Nikogo nie podejrzewam. Co ci się roi? Po prostu mam ochotę rozerwać się trochę i posłuchać, jak śpiewa Weronika Korzybska.

Wroński był trochę urażony.

- Jak nie chcesz mówić, to nie. Czolem! Spotkamy się o szó-  
stej.

Gdy Downar został sam, raz jeszcze bardzo uważnie przestudiował pamiętnik mordercy, a następnie podniósł słuchawkę i połączył

się z Walczakiem.

-

Cześć, Karolku. Cieszę się, że cię zastałem. Chciałbym z tobą pogadać. Masz trochę czasu?

-

Czasu mam niewiele, ale jeżeli to coś pilnego, to przyjdź do mnie, tylko zaraz.

Po chwili Downar siedział w gabinecie Karola i pałac papierosa, czekał cierpliwie.

Walczak zagłębił się w lekturze. Od czasu do czasu wydawał jakieś nieartykułowane pomruki i szarpał zwichrzoną, jak zawsze, czuprynę. Wreszcie zamknął brulion i zaczął cicho pogwizdywać arię z Aidy.

-

No i co o tym sądzisz? - spytał niecierpliwie Downar.

Walczak przestał gwizdać i wysunął dolną wargę.

- Wiesz, że to rzeczywiście fantastyczna historia. Właściwie byłbym skłonny uważać pamiętnik za fikcję literacką. Ale przecież Gerner został rzeczywiście zamordowany, więc...

-

Właśnie. Poza tym wszystkie opisane tu morderstwa są autentyczne. Sprawdzałem to. I wszystkie te sprawy poszły ad acta jako niewykryte. W tych warunkach nie można tego pamiętnika uważać za fikcję.

-

Hm. To rzeczywiście tajemnicza sprawa.

-

Co mi radzisz?

- Sądzę, że przede wszystkim powinieneś pojechać do Augustowa.

-

Tak. Już o tym myślałem. Muszę tylko przedtem załatwić kilka najpilniejszych spraw związanych bezpośrednio z zabójstwem Gnera.

-  
No, jeżeli ten pamiętnik rzeczywiście pisał morderca, to wyjazd łączy się to dość ściśle ze sprawą.

-  
Tak. Ale czy można mieć pewność, że autor pamiętnika i za-bójca Gernerera, to jeden i ten sam człowiek? Przecież autora pamiętnika mógł ktoś wyprzedzić.

-  
Oczywiście. Trudno jednak przypuszczać, żeby Gerner miał aż tylu wrogów, i to wrogów gotowych absolutnie na wszystko.

Downar zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju.

-  
Słuchaj, Karol, czy ty byś nie przejął ode mnie tej sprawy?

Jestem zmęczony. Chciałbym pojechać na urlop.

Walczak poklepał go po plecach.

-  
Nie udawaj, nie udawaj. Przecież ty się palisz do tej roboty.

Polujesz na takie niezwykle historie.

-  
Tak, ale teraz jestem rzeczywiście zmęczony.

-  
To się porządnie wyśpij i przestań myśleć o dziewczynkach.

Downar zachnął się:

-  
Ależ ja nie myślę o żadnych dziewczynkach. Czego ty chcesz ode mnie?

-  
No, no, już ja cię znam.

-  
Ale słowo ci daję, że w ogóle ostatnio nie myślę o żadnych flirtach.

-  
Oby to była prawda - westchnął Walczak.

-  
Więc co? Nie chcesz przejąć tej sprawy Gernerera? Nie interesuję cię?

-  
Bardzo mnie interesuje, ale w tej chwili mam pełne ręce innej roboty. Żeby nawet chciałem, to nie mogę.

Downar zgasił papierosa i wyciągnął rękę do przyjaciela.

-  
No to cześć. Jak mnie ogarną jakieś poważniejsze wątpliwości, to przyjdę do ciebie na pogawędkę.

-  
To zawsze możesz zrobić.

-  
Ale, ale... Zapomniałem cię spytać, jak zdrowie Heleny?

-  
Dziękuję ci. Już dobrze. Wczoraj wstała. Taka tam maleńka grypa. Nic poważnego. Przy tych ciągłych zmianach pogody nietrudno o przeziębienie.

-  
To prawda. Dziwna wiosna w tym roku.

Zadzwonił telefon. Major Leśniewski wzywał do siebie Walczaka w pilnej sprawie.

Downar wrócił do swego pokoju. Usiadł przy biurku i w zamy-

śleniu począł rysować na kawałku papieru figury geometryczne. Czy chce prowadzić śledztwo? Na to pytanie nie potrafił sobie odpowiedzieć. Był rzeczywiście ostatnio trochę przemęczony, a

morderstwa Gernerera nie można w żadnym wypadku zaliczyć do typowych spraw.

Tutaj trzeba było solidnie ruszyć głową. Cholernie zagmatwana historia, cholernie. I jeszcze do tego ten pamiętnik! Jeżeli facet popeł-

nił pięć morderstw i przez długie lata nie dał się nakryć, to znaczy, że jest to nie byle jaki przeciwnik w grze. Przecież tamte śledztwa prowadzili także dobrzy fachowcy, a do Krakowa wyjeżdżało wtedy nawet dwóch ludzi z Komendy Głównej. Nie dali rady. Nikt nie dał

rady! Wszystkie morderstwa popełnione przez zabójcę Gernerera pozostały niewykryte.

Downar przestraszył się tej sprawy. Nie chciał przyznać się do te-go przed samym sobą, ale tak było w istocie. Po ostatnim sukcesie zdobył sobie sławę i nie miał zbytnej ochoty narażać się na niepowodzenie. Wiedział z doświadczenia, że w obliczu nowej porażki błędą dawne zwycięstwa. Z drugiej jednak strony tajemnica niewy-krytych zbrodni była czymś pasjonującym i trudno by mu było zrezygnować z nadarzającej się pracy. Wprawdzie zaproponował Wal-czakowi, żeby się tym zajął, ale z góry wiedział, że Karol odmówi.

Właściwie byłoby najlepiej, gdyby sprawę poprowadzili razem z Karolem. Taka koncepcja nie miała jednak żadnych szans powodzenia. Po pierwsze, nie zgodziłby się major Leśniewski, który teraz potrzebował Walczaka gdzie indziej, a po drugie - nie wiadomo, jak zapatrywałby się na to sam Walczak. Downar nie chciał podejrzewać przyjaciela o jakieś zawiści zawodowe, ale ostatnio odnosił czasami wrażenie, jakby Karol zazdrościł mu trochę powodzenia. Rzeczywi-

ście, tak się jakoś zawsze składało, że on obejmował prowadzenie jakiejś ciekawej sprawy, a dopiero później, w niektórych wypadkach, dołączał się Karol w charakterze doradcy. Trudno się więc było dziwić, że taki stan rzeczy mógł go wreszcie nieco zniechęcić.

-  
Ano, trudno - mruknął do siebie Downar. - Jeżeli Leśniewski nie odbierze mi tej sprawy, to będę się męczył.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Trzeba było coś zjeść i jechać do domu, przebrać się w cywilne ubranie. O szóstej przecież umówił się z Wrońskim.

Wchodząc do stołówki, wpadł na Kobielę.

-  
Cześć! Co u was słyhać?

-  
Nic specjalnego. Martwię się, że zapomnieliście o mnie, towarzyszu kapitanie.

-



Ależ skądże, wcale o was nie zapomniałem.

- No, bo nie bierzecie mnie do żadnej roboty...

-

Na razie nie miałem nic specjalnego.

-

A teraz może się kroi coś ciekawego?

-

To nie jest wykluczone.

Pucołowata twarz Kobieli ożywiła się. Czarne, małe oczka zabły-sły zaciekawieniem.

-

Co to takiego?

Downar uśmiechnął się. Przyjacielsko poklepał porucznika po ramieniu.

-

Za wcześnie, żeby o tym mówić.

-

Ale jak się wyklaruje, to mnie weźmiecie do roboty? - zaniepokoił się Kobiela.

-

Oczywiście. Możecie być zupełnie spokojni.

Downar tak był pogrążony w rozmyślaniach, że nie czuł smaku potraw i żeby życie jego od tego zależało, nie potrafiłby powiedzieć, co jadł na obiad.

Pobiegł na górę, zabrał płaszcz, zadzwonił do teatru, rezerwując bilety i wyszedł z komendy. Zobaczył, jak Leśniewski wsiada do samochodu. Major spostrzegł go i spytał:

-

Dokąd jedziecie?

-

Do domu, na Koszykową.

-

No to siadajcie, podwiozę was.

Dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Kiedy minęli Ursynowską, Leśniewski spytał:

-

No i co? Chcecie prowadzić sprawę Gernerera czy mam ją przekazać komu innemu? Bo zdaje się, że mieliście jechać na urlop.

Downar podrapał się za uchem.

- Wiecie co, towarzyszu majorze, że chyba ja już zostanę przy tej sprawie. Zacząłem, to już pociągnę dalej, a urlop sobie odłożę.

Może jesień będzie pogodna...

-

Jak chcecie. Tylko żebyście potem nie narzekali, że wam nie pozwalam odpocząć.

-

Nie będę narzekać.

Na rogu Koszykowej i Mokotowskiej Downar pożegnał się z Le-

śniewskim i wysiadł z wozu.

„A swoją drogą przydałby mi się urlop” - pomyślał, otwierając drzwi od windy.

Półgodzinna drzemka, potem golenie, kąpiel, kilka przysiadów dla odzyskania sprężystości. Brązowa, dwurzędowa marynarka, kremowa koszula i zielony krawat w czarne i białe kwadraty.

Downar skropił sobie włosy wodą brzoową i paroma machnię-

ciem grzebienia doprowadził do porządku czuprynę. Z zadowoleniem spojrzął w lustro. Wyglądał znakomicie. Mimo iż zbliżał się do czterdziestki, mógł uchodzić za młodzieńca. Tylko te leciutko siwiejące skronie...

Do Lajkonika przyszedł piętnaście po szóstej. Wroński już na niego czekał.

Przepraszam cię, Stachu, za małe spóźnienie, ale musiałem się wyelegantować. Chcę zrobić piorunujące wrażenie na tej śpie-waczce.

-  
Prowadzisz śledztwo czy szukasz wiosennego flirtu? - spytał

Wroński.

-  
Właśnie zastanawiam się nad tym, czy nie dałoby się połą-

czyć przyjemnego z pożytecznym.

Dla Wrońskiego nie było tajemnicą, że wśród licznych zainteresowań Downara płeć piękna odgrywała zawsze poważną rolę. Z

uśmiechem spojrzał na przyjaciela.

-  
Przecież ty nawet nie widziałeś tej Korzybskiej.

-  
Nie widziałem.

-  
Zakochałeś się w jej głosie?

-  
Niewykluczone.

-  
Nie mogę tylko zrozumieć, co ona ma wspólnego z prowadzonym przez ciebie śledztwem. Nie sądzisz chyba, że to ona zamordowała Gernerę.

Downar tknięty nagłą myślą, trzasnął w palce.

-  
Do diabła! Przecież my przez cały czas uważamy, że autorem tego pamiętnika jest mężczyzna. A dlaczegóż morderczynią nie mogłaby być kobieta, która dla żartu pisze swoje wspomnienia jako mężczyzna?

Wroński z powątpiewaniem pokręcił głową.

-  
Nie zapominaj, że pierwsza ofiara została uduszona szalikiem. Na to trzeba siły.

-  
To niczego nie dowodzi. Wysportowana babka ma dosyć siły.

Da sobie radę z niejednym mężczyzną. Spokojna głowa.

Wroński zamyślił się.

-  
Nie, nie wydaje mi się, żeby to pisała kobieta - powiedział po chwili. - To jest wybitnie męski charakter pisania.

- Hm. No cóż... Może masz rację. W takich wypadkach jednak każdą ewentualność trzeba wziąć pod uwagę i przeanalizować. No, kończ swoją kawę i idziemy!

Przyszli w ostatniej chwili. Światło na sali już zgasło. Pospiesznie przecisnęli się do swoich miejsc.

Program nie należał do najlepszych. Publiczność śmiała się i biła brawo raczej przez uprzejmość aniżeli z wewnętrznej, niepohamowanej potrzeby. Po prostu, żeby nie robić przykrości aktorom.

Ostatnim numerem pierwszej części był występ Weroniki Korzybskiej.

Scena pograżyła się w nastrojowym półmroku. Jasny krąg reflektora ślizgał się po dziwacznych formach abstrakcyjnej dekoracji.

Cicho wyszła z ciemności. Zaczęła śpiewać *Come prima...* Głos jej, o niskim gardłowym tembrze, miał w sobie coś bardzo suge-stywnego. Ta dziewczyna w sukni ze srebrnej lamy, z gładko zaczesanymi, jasnymi włosami, zapanowała nad salą. Kiedy umilkła me-lodia, wybuchły oklaski, gorące, prawdziwe, nie grzecznościowe. A potem: *Nie oczekuję dziś nikogo* i *Ciao, ciao, bambina*.

Już po pierwszej piosence Wroński trącił przyjaciela.

-  
Przecież ja znam tę babkę, tylko nie mam pojęcia, gdzie ją spotkałem.

Ktoś syknął z dalszych rzędów.

Na przerwie Downar spytał:

-  
Rzeczywiście ją znasz?

-

Tak. Już sobie wszystko przypominałem. To pacjentka mego szwagra. Rozmawiałem z nią tego dnia, kiedy został zamordowany Gerner.

W oczach Downara zabłysło zainteresowanie.

-

Czy mógłbyś mi możliwie dokładnie zrekonstruować waszą rozmowę?

Wroński wzruszył ramionami.

-

Nie wiem. Ale jeżeli ci na tym zależy, to mogę spróbować.

-

Bardzo mi na tym zależy.

Downar słuchał uważnie, a kiedy Wroński skończył mówić, spytał:

-

A co powiedziała ci na pożegnanie?

-

Spytała, która godzina. Zapamiętałem, bo dwa razy o to pytała, sprawdzając swój zegarek.

Dwa razy o to pytała?

-

Tak.

A pamiętasz, która była wtedy godzina.

-

Wyobraź sobie, że pamiętam: za piętnaście piąta.

- Dokładnie pamiętasz?

-

Zupełnie dokładnie. Mogę przysięgać.

-

A czy ciebie to nie zastanowiło, że ona tak natarczywie dopytuje się o godzinę?

-

A wiesz, że wydało mi się to trochę dziwne.

-

Chodź do palarni - powiedział Downar.

Zapalili papierosy i Wroński spytał:

- Jakie są twoje dalsze plany?

Downar wziął go pod rękę.

-

Słuchaj, Stachu, ogromnie zależy mi na tym, żeby ją poznać.

-

Spodobała ci się.

-

I to także.

- A więc jednak o coś ją podejrzewasz! Zaczynasz mnie intrygować. Może byś tak puścił trochę farby?

Zadzwieczał dzwonek. Przerwa się skończyła, Downar zgasił papierosa. Powtórzył:

-

Byłbym, ci bardzo wdzięczny, gdybyś mnie z nią zapoznał.

Wroński uśmiechnął się.

-

No cóż, można spróbować. A co ja będę miał z tego interesu?

-

Postawię ci kolację w Rarytasie.

-

Nie zapominaj o tym, że Rarytas już nie jest kategorii „S”.

-

No to pójdziemy do Krokodyla.

-

Och, nie, nie! Tam teraz straszna hołota. Wolę do Dziennika-rzy albo do Bristolu.

-

Niech będzie Bristol. Wszystko mi jedno. No, chodźmy, bo się zaczyna. Kiedy usiedli,

Wroński spytał:

-

Jak mam cię przedstawić, bo chyba będziesz chciał zachować incognito?

-

Możesz mnie przedstawić jako swojego kolegę po fachu, Jó-

zefa Majewskiego. To takie neutralne nazwisko.

Druga część rewii swym poziomem artystycznym niewiele różni-

ła się od pierwszej. Widzowie coraz rzadziej zdobywali się na grzecznościowe oklaski, coraz częściej natomiast rozlegały się tłu-mione z trudem poziwywania. I znowu największą atrakcją przedstawienia był występ Weroniki Korzybskiej. Śpiewała Marinę, *Jalu-osie* i *Guarda che luna*. Publiczność z zapałem biła brawo. Musiała bisować. *Jesabel* i stare tango *Illusion*. Tym razem miała na sobie suknię koloru dojrzałej wiśni.

Po skończonym przedstawieniu poszli za kulisy.

Pulchny mężczyzna, którego szeroka twarz przypominała zmar-twionego buldoga, spytał:

-

-

A panowie kogo uważają?

-  
Szukamy garderoby pani Korzybskiej.

-  
Trzecie drzwi na prawo.

Wroński zastukał.

-  
Proszę.

Siedziała przed lustrem i rozczesywała włosy. Odwróciła się zdziwiona.

-  
Panowie do mnie?

Uklonili się.

Wroński postąpił krok naprzód.

-  
Bardzo przepraszamy za najście, ale chcielibyśmy złożyć pani wyrazy naszego podziwu dla jej talentu.

-  
Pani występ uratował przedstawienie - dodał Downar.

Patrzyła na nich zaskoczona.

-  
Bardzo dziękuję. Panowie są niezwykle uprzejmi.

-  
Mam wrażenie, że pani mnie sobie nie przypomina - powiedział Wroński.

-  
Twarz pana jest mi dziwnie znajoma, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzieśmy się spotkali. W Warszawie tyle osób zna się z widzenia.



-  
Przed paroma dniami była pani u mojego szwagra, doktora Kulickiego.

- Ach tak! Przypominam sobie. No oczywiście. - Wyciągnęła rękę. - Dobry wieczór. Proszę, niech panowie siadają.

-  
Chciałbym pani przedstawić swego przyjaciela i kolegę po fachu - powiedział Wroński, wskazując na Downara.

-  
Bardzo mi miło. - Downar skłonił się. - Majewski. Ale my przeszkodziliśmy pani. Zapewne pani chce się przebrać...

-  
Głupstwo. Przebiorę się za chwilę.

-  
Bylibyśmy zachwyceni, gdyby pani zechciała w naszym towarzystwie zjeść kolację. Więc jeżeli propozycja ta nie wydaje się zbyt śmiała...

Zawahała się.

-  
Sądzę, że może pani odważyć się pójść na skromny posiłek ze szwagrem doktora Kulickiego oraz z jego serdecznym przyjacielem -

pośpiesznie dorzucił Wroński.

-  
No więc dobrze. Wprawdzie miałam zamiar wprost z teatru pojechać do domu, ale skoro panowie tak nalegają...

-  
Nalegamy z całego serca - powiedział Downar i posłał jej jedno ze swoich najbardziej uwodzicielskich spojrzeń.

-  
Wobec tego może panowie zechcą chwilę poczekać. Ja zaraz będę gotowa.

Wyszli z garderoby. Downar mrugnął na Wrońskiego i uśmiechnął się.

-

Tu palenie wzbronione - powiedział człowiek o twarzy buldoga, widząc, że Wroński wyjął papierośnicę.

Czekali piętnaście minut w milczeniu. Ściany oddzielające garderoby artystów są cienkie. Downar wolał nie rozmawiać.

Wreszcie wyszła. Miała na sobie ciemnopopielaty, doskonale skrojony kostium. Szeroka, plisowana spódnica i długi modny żakiet.

Pod szyją biały, jedwabny szalik.

- Jestem gotowa.

Na placu Trzech Krzyży udało im się znaleźć wolną taksówkę.

Szofer wyjątkowo zgodził się jechać tam, gdzie życzyli sobie pasażerowie.

W Bristolu pierwsza sala była pustawa. Z oddali dolatywał gwar rozbawionych głosów i muzyka jazzowa.

-

Ma pani ochotę tańczyć?

Potrząsnęła głową.

-

Nie, nie. Jestem zmęczona. Zostańmy tutaj.

Zajęli stolik pod ścianą. Po chwili pojawił się kelner.

-

Co można dostać do zjedzenia? - spytał Wroński, który znał warszawskie restauracje z nie najlepszej strony.

-

Wszystko, co jest w karcie - odparł z godnością kelner.

Wroński zwrócił się do Korzybskiej:

-  
Co zjadłaby pani na przekąskę?

-  
Może być kawałek chudej szynki.

-  
Nie ma u nas szynki - wyjaśnił kelner.

-  
To wobec tego poproszę karpia w galarecie.

-  
Nie ma karpia w galarecie?

-  
A co jest? - spytał Downar.

-  
Sałatka śledziowa.

- To trzy sałatki śledziowe i ćwiartkę wódki.

-  
A czy z kuchni też coś państwo zamówią?

- Ja miałabym ochotę na chateaubriand z polędwicy - powiedziała Korzybska.

-  
Nie ma.

-  
Dlaczego nie ma? - spytał Downar. - Przecież w karcie jest taka potrawa.

-  
W karcie jest, ale w kuchni nie ma. W ogóle nie mieliśmy dzisiaj polędwicy. Nie dowieźli.

-  
No to co macie?

-  
Kotlety schabowe.

-  
Dawaj pan trzy schaboszczaki!

Kelner pozełgował dumnie w kierunku kuchni.

-  
Psiakrew! - zaklął Wroński. - I to się nazywa kategoria specjalna. Reprezentacyjny lokal stolicy!

Korzybska roześmiała się.

-  
Niech się pan nie denerwuje. Przecież rok 1961 jest nazwany rokiem gastronomicznym.

-  
Muszę napisać felieton na ten temat.

-  
To nigdy nie zawadzi, ale i nie pomoże.

-  
W każdym razie można zarobić parę złotych na wierszówce -

uśmiechnął się Downar.

-  
To także nie jest do pogardzenia.

Na stole pojawiła się sałatka śledziowa, chleb, masło i wódka. W

sałatce nie sposób było doszukać się kawałka śledzia, a wódka była ciepła. Nie zwracali już jednak uwagi na te drobne niedociągnięcia kulinarne i wznieśli toast za pomyślność roku gastronomicznego.

-

Nie martwcie, się panowie - powiedziała Korzybska. - Jak opanujemy kosmos, to gwarantuję wam, że sytuacja w naszych re-stauracjach zasadniczo się poprawi.

Rozmowa toczyła się na tematy ogólne. Trochę o Gagarinie, trochę o francuskiej rebelii i trochę plotek z terenu kochanej stolicy.

Downar starał się na lekki dowcip, szermował zgrabnymi kalambu-rami i swą elokwencją całkowicie usunął w cień Wrońskiego. Nie mógł ukryć przed samym sobą, że Korzybska bardzo mu się podoba-

ła. Chwilami nawet zapomniał o właściwym celu tej pogawędki.

Natychmiast jednak karcił się za lekkomyślność i znowu stawał się czujnym oficerem śledczym. A w pewnej chwili powiedział:

- A może przenieśliśmy się do tamtej sali? Potańczymy sobie trochę.

-

Dobrze - powiedziała Korzybska. - Możemy zmienić miejsce pobytu. Wycieczki krajoznawcze kształcą.

Wroński skinął na kelnera i zapłacił rachunek. Downar tak był za-jęty rozmową z piękną śpiewaczką, że nawet tego nie zauważył.

Sala dansingowa. Dym tytoniowy zmieszany z ludzkim potem i mdłym zapachem alkoholu. Jedni podrygiwali konwulsyjnie w rytm jakiejś samby, drudzy usiłowali przekrzyczeć orkiestrę, jeszcze inni pili wódkę w ponurym milczeniu. Wszyscy chcieli się bawić i uda-wali sami przed sobą, że bawią się rzeczywiście w tym dusznym, zatłoczonym pomieszczeniu.

-

To chyba jest beznadziejne - powiedział Wroński. - Nie widzę ani jednego wolnego stolika.

Ktoś potrącił Downara.

-

Uważaj pan.

Czerwona twarz odwróciła się agresywnie. Zapijaczona oczy spojrzały z wściekłością.

-

A bo co? Nie wolno przejść? Coś pan taki delikatny?

Awantura wisiała na włosku. Wroński przysunął się do przyjaciela.

-  
Chodźmy stąd - powiedziała pospiesznie Korzybska i pociągnęła ich ku wyjściu.

Downar z trudem stłumił w sobie rosnącą wściekłość. Nozdrza mu drżały.

Za ich plecami rozległ się głos:

- Jak się masz, Weronika! Co ty tu robisz?

Odwróciła się.

Mizerny blondyn, o przedziwnie zmiętej twarzy, powitalnym gestem chwycił ją za rękę.

-  
Kopę lat. Strasznie się cieszę, że cię widzę. Jestem tutaj z Ir-mą. Znasz ją przecież.

-  
Chcieliśmy trochę potańczyć, ale nie możemy dostać stolika.

Korzybska z czarującym uśmiechem uściśnęła dłoń postawnej brunetki, której potężne nogi przypominały swym kształtem kolumny jakiejś romańskiej świątyni.

-  
Pozwólcie, że was zapoznam z moimi towarzyszami niedoli.

My także nie możemy znaleźć stolika.

Nastąpiła ogólna prezentacja, a kiedy minęło pierwsze powitalne podniecenie, zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

Pierwszy odezwał się Wroński:

-  
No i co robimy?

Wszyscy spojrzeli po sobie pytająco.

-  
Wiecie co? - powiedziała Korzybska. - Chodźcie do mnie.

Zrobię wam dobrej kawy, puścimy sobie jakąś płytę. Moje apartamenty nie są zbyt przestronne, ale dwie pary mogą zatańczyć tango.

A poza tym mam jeszcze pół butelki francuskiego koniaku.

Projekt został przyjęty entuzjastycznie i różnym krokiem ruszono do szatni.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Wroński chciał złapać taksówkę.

- Nie trzeba - zaśmiał się blondyn - Weronika mieszka tu niedaleko, na Senatorskiej. Przejdziemy się.

-

Oczywiście. To parę kroków.

Wroński z zaciekawieniem spojrział na Downara.

„Na Senatorskiej? - pomyślał. - A więc Stefan rzeczywiście kojarzy sobie osobę śpiewaczki ze sprawą Gernerą”.

Na ukos przecięli plac Zwycięstwa. Na rogu Wierzbowej minęła ich jasna tatra. Jakiś mężczyzna krzyknął:

-

Halo, Wera! Machnęła ręką na powitanie.

-

Ma pani dużo znajomych - zauważył Downar.

-

O tak. Czy pana to dziwi?

-

Skądże. To zupełnie zrozumiałe, że tej miary artystka co pani i kobieta z takim wdziękiem ma tłumy adoratorów.

Spojrzała na niego ubawiona.

-

Znamy się tak krótko, a powiedział mi pan już tyle komplementów, że normalnie wystarczyłoby to na pół roku.

-

Ma pani najwidoczniej do czynienia z bardzo powściągliwy-mi mężczyznami.

-

Albo też pan postanowił pozyskać w przyspieszonym tempie moje względy. Nie wiem tylko dotychczas, dlaczego panu na tym zależy.

Czy nie bierze pani pod uwagę ewentualności, że bardzo mi się pani podoba?

- To jest zbyt banalne stawienie zagadnienia. Wolałabym coś bardziej oryginalnego.

W tej chwili dopędził ich Wroński z resztą towarzystwa.

-

Co tak leciecie?

-

Niech pan nie przeszkadza flirtującej parze! - zaśmiała się właścicielka monumentalnych nóg.

Skręcili w Senatorską. Na schodach Downar z Wrońskim zostali o pół piętra z tyłu.

-

Nie pij dużo - szepnął Downar, biorąc przyjaciela pod rękę.

-

Nie bój się, Józiu.

Kawalerka była niewielka, ale bardzo gustownie urządzona. We wnętrzu stał niski tapczan, przykryty ciężką, wzorzystą narzutą. Obok, pod ścianą pianino z brązowego drzewa. Po przeciwległej stronie jasne półki, ożywione barwnymi grzbietami książek. Na ścianach parę grafik Hiszpańskiej i Kulisiewicza. Na podłodze gładki ciemno-zielony dywan. Ogromne okno, zajmujące całą długość frontowej ściany, zakrywała zasłona w białe i seledynowe kwadraty. Korzybska wprowadziła gości i nastawiła radio.

-

Rozgośćcie się, a ja tymczasem postawię wodę na kawę.

-

Może pani coś pomóc? - zaproponowała Irma.

-



Nie, nie, bardzo dziękuję. Niech się pani raczej zajmie pana-mi. Może sobie potańczycie. Nastawcie adapter.

-

Obiecałaś koniak - powiedział zmięty blondyn, nazywany przez swą towarzyszkę „najdroższym Juleczkiem” albo „kochanym małpisonem”.

-

Bądź tak dobry i zajrzyj do szafki w przedpokoju. Znajdziesz tam coś do picia.

Po chwili „najdroższy Juleczek” napełniał złotawym płynem kieliszki.

-

O, do diaska, oryginalny Chenessy. Gdzieś ty wyfasowała ta-ki zacny trunek? Chyba jakiś maleńki szmugielek, co?

Korzybska uśmiechnięta wyszła z kuchenki.

-

Powiedz mi, mój drogi, czy ty przyszedłeś do mnie prywatnie czy służbowo? Bo jeżeli prywatnie to odmawiam wszelkich wyjaśnień.

-

Najlepszym wyjaśnieniem sytuacji będzie opróżnienie tej butelki - zaśmiał się blondyn.

Downar z zapalem kręcił gałkami radia. Uważnie przyjrzał się

„kochanemu małpisonowi”.

Po drugim kieliszku koniaku ciężkonoga Irma powiedziała:

- Ja chcę tańczyć! Mieliśmy tańczyć.

Wyciągnęła ręce do Wrońskiego. Nie mógł odmówić. Downar usiadł na tapczanie koło blondyna.

-

Fatalną mamy wiosnę w tym roku. Te ciągłe zmiany pogody...

-

Rzeczywiście - zgodził się Juleczek i zaraz dodał: - Czy pan wie, że parę dni temu zamordowano tutaj jakiegoś człowieka?

-

Tutaj? - zdziwił się Downar.

-

Tak! Na tym osiedlu znaleziono trupa w samochodzie. Nie czytał pan w gazetach?

-

Wie pan, że jakoś nie zwróciłem na to uwagi.

Blondyn podniósł do góry kieliszek i przyjrzał się pod światło jego zawartości.

-

Doskonały koniak. Dawno takiego nie piłem. Myślałem, że dziennikarze to tacy ludzie, którzy wszystko wiedzą - dodał po chwili. - Naprawdę nie słyszał pan o tym morderstwie?

-

Nie. Nie interesuję się kroniką kryminalną.

-

A mnie się zdawało, że to właśnie pańska specjalność?

-

Myli się pan. To mój kolega jest fachowcem od spraw kryminalnych. Ja jestem sprawozdawcą filmowym.

-

Ach tak! W takim razie bardzo przepraszam. Rzeczywiście coś mi się pomyliło.

Weszła Korzybska, niosąc na tacy kawę, filiżanki i kruche ciasteczka. Muzyka ucichła. Tańcząca para wróciła na tapczan.

-

Pan świetnie tańczy, panie Stachu - powiedziała Irma i wychyliła kieliszek koniaku.

-

Ach, jak ta kawa wspaniale pachnie. Nawet chyba ty, małpi-szonku, nie umiesz takiej zaparzyć.

-

Czy pan tańczy? - spytała Korzybska, zwracając się do Downara.

-

Owszem... Jeśli się nadarzy jakaś miła okazja.

Wroński wstał i wyszedł do łazienki. Bolała go głowa. Odświeżył

sobie twarz zimną wodą. Kiedy sięgał po ręcznik, zauważył na pó-

łeczce pod lustrem metalowy przedmiot. Klamra od włosów. Ze swojej podróży do Indii przywiózł Agnieszce dużą, srebrną broszkę.

Przerobiła ją na klamrę do włosów. Nie było takiej drugiej w Warszawie.

Nie wiedział o tym, że Agnieszka знаła Korzybską.

## ROZDZIAŁ IV

Padał deszcz.

Mokre krople zrobiły bruzdy na szybie wagonu. Wiatr szumiał, tarmosząc gałęzie przydrożnych drzew i poganiając stłoczone, kłę-

biaste chmury. Rytmiczny stukot kół unosił podróżnych coraz dalej w głąb deszczowego krajobrazu.

Nagle ruchy tłoków stały się wolniejsze, bardziej leniwe. Parowóz zatrzymał się i zaczął paraskać, wyrzucając kłęby białej pary. Za zalanymi wodą oknami majaczyły niewyraźne kształty zabudowań stacyjnych.

Trzasnęły drzwi. Ludzie zaczęli tłoczyć się do wyjścia.

Downar zapiął szczelnie płaszcz pod szyją, nasunął na oczy kape-lusz i wyskoczył na peron. Oddając bilet, spytał:

-

Czy tu u was zawsze tak leje?

-

Prawie zawsze - odparł z powagą kolejarz.

Jedyny hotel w mieście miał szare ściany. Niemłody już, zgarbio-ny mężczyzna spojrział znad

okularów na przybysza.

Downar postawił walizkę koło drzwi, zdjął mokry płaszcz i powiedział:

-

Dzień dobry.

Następnie wyjął swoją legitymację służbową. Stary obejrzał dokładnie dokument, kaszlnął i wytarł nos.

-

Potrzebuje pan pokoju?

- Jestem z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Przyjechałem tu z Warszawy w sprawie śledztwa, które prowadzę.

-

Potrzebuje pan pokoju? - powtórzył swe pytanie portier.

Głos miał bezbarwny, beznamiętny. Osoba przedstawiciela Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

Downar oparł się o kontuar i poczęstował smutnego staruszka papierosami.

-

Przede wszystkim chciałbym pana prosić, żeby absolutnie nikt się nie dowiedział, w jakim charakterze tu przyjechałem. Zależy mi na zupełnej dyskrecji.

-

Może być pan zupełnie spokojny. Ja mam zwyczaj mówić tylko to, co jest konieczne. Człowiek nigdy nie żałuje, jeśli powie za mało, natomiast prawie zawsze żałuje, jeśli powie za dużo. Milczenie jest złotem.

-

Bardzo cenna zasada - ucieszył się Downar. - Chciałbym, żeby pan mi udzielił kilku informacji.

- Jeśli tylko potrafię...

-

Czy pan pamięta dziennikarza z Warszawy, który przyjechał

tutaj przed paroma dniami, mniej więcej tydzień temu?

Portier zdjął okulary, chuchnął na szkła i starannie wytarł je niezbyt czystą chusteczką.

-

Dziennikarz, dziennikarz... z Warszawy... Taki młody, wysoki?

-

Tak. Młody, wysoki.

-

Sympatyczny chłopak. Czy coś przeszkrobał?

Downar nie uważał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

Niech mi pan powie, który pokój zajmował ten sympatyczny chłopak?

-

Który pokój? Który pokój? Zaraz... zaraz... – Pożółkły od ty-toniu palec począł wolno posuwać się po stronicach książki hotelo-wej. - O, jest! Andrzej Rowicki.

-

Właśnie o niego mi chodzi.

-

Mieszkał pod siódemką.

-

Czy moglibyśmy zajrzeć do tego pokoju?

-

No pewnie. Na razie nikogo tam nie ma. Mieszkał jeden inżynier z Krakowa, ale wczoraj na noc wyjechał.

-

To się dobrze składa. Niech mi pan da klucz.

Miejskiego hotelu w Augustowie, nawet przy najlepszych chę-

ciach, nie można nazwać luksusowym.

Downar otworzył drzwi i przez chwilę przyglądał się mrocznemu pokojowi. Trzy żelazne łóżka. Sienniki i wysłużone kołdry, pamięta-jące zapewne jakieś bardzo odległe, legendarne czasy.

Nie łóżka jednak interesowały Downara. Przysunął sobie krzesło do starej, rozklekotanej szafy. Na tej właśnie szafie morderca zostawił swój pamiętnik, przynajmniej tak twierdził Rowicki. Antyczny mebel pokryty był grubą warstwą kurzu.

Downar wyjął z kieszeni latarkę i szkło powiększające. Dokładnie obejrzał wierzch szafy. Był bardzo zadowolony z tego, że w Augustowie nie sprzątało zbyt pedantycznie.

Zszedł z krzesła i zapalił papierosa. W zamyśleniu patrzył na brudne, odrapane ściany, na których gdzieś tam widniały plamki z atramentu. Najwidoczniej przygodni lokatorzy wypróbowywali tu mechanizmy swych wiecznych piór.

Pokój numer siedem nie krył już żadnych tajemnic. Nie można było liczyć na to, ażeby tutaj wpaść na trop prowadzący do rozwiązania zagadki. Przynajmniej na pozór tak się zdawało.

Downar obejrzał jeszcze szybę i parapet okienny, a następnie zgasił światło i wyszedł na korytarz.

Portier z namaszczeniem odebrał klucz i powiesił go na gwoź-

dziu.

-

No i co? - spytał.

-

No i nic - odparł Downar. - Niech mi pan powie, drogi panie, czy od czasu do czasu robicie tu generalne porządki?

-

Od czasu do czasu robimy.

-

A pod tą siódemką to kiedy ostatni raz tak porządnie sprząta-no?

-

Pod siódemką? Zaraz, zaraz... Kiedy to mogło być? - Stary podrapał się w głowę. - Wie pan, że nie pamiętam. Musiałbym się żony spytać.

-  
Niech pan nie pyta. Takie pytanie mogłoby jej się wydać podejrzane.

-  
A prawda, przecież pan nie chce, żeby tego...

-  
Właśnie.

- Ale jakby pan tu nocował, to się specjalnie sprzątnie. Chociaż u nas tak bardzo brudno nie jest. Bywa gorzej.

-  
Bywa, ale rzadko. Niech mi pan powie, gdzie tu można coś zjeść.

-  
W rynku są dwie gospody. Tylko że to dzisiaj nie targowy dzień...

-  
To znaczy, że nic nie ma w tych gospodach?

-  
Nie, coś tam się znajdzie. Jak jest targ, to zawsze większy wybór, ale i w taki zwykły dzień coś pan dostanie.

Downar był głodny. Postanowił więc zaryzykować i odwiedzić miejscową gospodę.

Na rynku spacerowało parę zmokłych kur. Od czasu do czasu na-straszały pióra, otrzepując cierpliwie chłodne krople. Umorusane dzieci chlapały się w pobliskiej kałuży. Jakiś chłopak zataczał na rowerze szerokie koła, gwizdząc przy tym przeraźliwie.

Wypłwiałały szyld obwieszczał istnienie gospody. Dawno niemy-te okna zamazane były deszczem.

Downar pchnął drzwi. Poczł mocny zapach piwa zmieszany z jakąś inną, bliżej nieokreśloną wonią. Sala pogrążona była w melan-cholijnym półmroku. Tylko w głębi pod oknem siedział przy pustym kuflu pijany staruszek i przemawiał coś do czarno-białego kundla, który słuchał go z wyraźnym zainteresowaniem.

Downar usiadł przy bardzo brudnym stoliku i uzbroiwszy się w cierpliwość, czekał.

Nikt się nie poruszył. Pojawienie się nowego gościa nie wywołało niczyjzego zainteresowania. Pijany

staruszek usnął. Pies poszedł za przykładem swego pana. W gospodzie zapanowała zupełna cisza.

Wreszcie Downar, pod wpływem rosnącego głodu, krzyknął:

-

Hej, jest tam kto?

Rozległ się jakiś szelest, skrzypnęła podłoga i na salę wtoczyła się tęga kelnerka w buraczkowym swetrze. Nie była urodziwa.

-

Co pan życzy? - spytała schrypniętym, sennym głosem.

Downar uśmiechnął się uprzejmie, pragnąc nawiązać gastronomiczny kontakt z tą kobietą.

-

Chciałbym coś zjeść. Co można dostać...?

- Jest tylko krupnik i kiełbasa na gorąco - ucięła krótko kelnerka, nieczuła na miły uśmiech swego klienta. - Życzy pan?

-

No cóż, jak nie ma nic innego, to proszę. I może także kawa-  
łeczek chleba.

-

Dobrze.

Kelnerka odwróciła się i bez pośpiechu ruszyła w powrotną drogę.

Downar pograżył się w ponurej zadumie. Był naprawdę porządnie głodny, a sprawa obiadu rysowała się bardzo mgliście.

Krupnik był przypalony, kiełbasa zimna i bardzo tłusta. Nie moż-  
na było jednak grymasić.

Kiedy Downar przeżuwał ostatni kęs, drzwi otworzyły się z trza-skiem i do gospody wkroczyła nowa postać. Był to okazały mężczyzna. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, bawoli kark, imponujący brzuch i ogromna, zupełnie łysa, błyszcząca głowa. Szerokie, mięsiste wargi poruszały się nieustannie, co sprawiało takie wrażenie, że ich właściciel należy do gatunku istot przeżuwających. Przez chwilę stał na środku sali, mrugając przekrwionymi oczami. Kiedy przy-wykł do panującego tu półmroku,



rozejrzał się badawczo, a spostrzegłszy Downara, energicznym krokiem ruszył w jego kierunku.

- Czy mnie wzrok myli, czy też to rzeczywiście kapitan Downar?

Downar uścisnął potężną, tłustą dłoń.

-

Korolkiewicz! Cześć. Jak się macie? Zupełnie zapomniałem o tym, że wy mieszkanie w Augustowie.

-

A gdzie mam mieszkać? - zahuczał dudniącym basem grubas. - Przecież Augustów to moje rodzinne miasto.

-

No prawda, prawda. Całkiem mi to z głowy wyleciało. Cieszę się, że was spotkałem. Jak wam się powodzi?

-

Czy to się może powodzić w takim Augustowie. Bryndza.

Tak tam człowiek sobie jakoś radzi.

-

Patrząc na was, można dojść do przekonania, że sobie wcale nieźle radzicie - uśmiechnął się Downar. - Nie wyglądacie na gło-domora.

Korolkiewicz z zadowoleniem klepnął się po imponującym brzu-chu.

-

A co? Może jeszcze mam sobie na starość tej trochę stawy żałować?

-

Siadajcie - powiedział Downar. - Pogadamy.

Krzesło zaskrzypiało niepokojąco. Korolkiewicz sapnął, wytarł

chustką spocone czoło i krzyknął:

-

Panno Broniu! Panno Broniu!

Kelnerka żywszym nieco krokiem zbliżyła się do stolika.

-

Co pan tak krzyczy, panie Włodzimierzu?

-

Krzyczę, bo spotkałem przyjaciela. Trzeba to oblać. Niech nam pani da ćwiartkę i coś na przekąskę.

-

Mogą być nóżki w galarecie.

-

Dobra. Niech będą nóżki. Wolałbym, co prawda, nóżki panny Broni, ale na razie mogą być wieprzowe - zaśmiał się hałaśliwie ze swego dowcipu i familiarnym gestem klepnął kelnerkę po kręgosłupie.

-

Co pan robi, panie Włodziu? Tak nieładnie.

Odeszła, kołysząc się zalotnie w biodrach. Korolkiewicz zwrócił się do Downara.

-

Porządna dziewczyna z tej Broni, tylko strasznie lekkomyśl-na. Niedawno znowu zaszła w ciążę z urzędnikiem pocztowym. Powiedziałem mu, że powinien pójść na przeszkolenie wojskowe, żeby się nauczyć obchodzić z Bronią. Dobry kawał, nie? Ha, ha, ha. Ale mniejsza o to. Niech sobie radzi, jak może. Powiedźcie mi, kapitanie, co tam słyszać w Warszawie. Co się dzieje w komendzie?

- Ano nic. Pracuje się, jak zawsze. Roboty nigdy nie brak.

Korolkiewicz pokiwał głową.

-

Tak. Roboty nigdy nie brak. Ale jak człowiek chce pracować, to mu nie dają. Kazań iść na emeryturę. No, powiedzcie sami, czy ja wyglądam na takiego zgrzybiałego staruszka?

-

Ale skądże! - zaprzeczył energicznie Downar. - Wyglądacie na mężczyznę w pełni sił.

-  
No widzicie. A jednak wypchnęli mnie na emeryturę. Przecież mogłem jeszcze przez ładnych parę lat prowadzić to archiwum w komendzie. Przydałbym się. A tak co? Siedzę tu w tym cholernym Augustowie. Nudzę się jak pies w studni. Co tu można robić? Jedyne rozrywką to kieliszek wódki w tej śmierdzącej gospodzie.

-  
Macie rodzinę?

-  
Mieszkam z córką. Mąż ją rzucił w zeszłym roku. Pijak, kawał skurwysyna. Wyjechał gdzieś na Wybrzeże. Podobno zaciągnął się do marynarki.

-  
A żona?

-  
Umarła. Dostała zapalenia płuc i tak jakoś raz-dwa przeniosła się na tamten świat.

Kelnerka postawiła na stoliku wódkę i zakąski.

-  
Oprócz nóżek przyniosłam jeszcze kawałek pieczonego schabu, bo wiem, że pan Włodzio lubi takie świńskie artykuły.

-  
Bardzo to ładnie z pani strony, panno Broniu, że pani pamięta o tym, co ja lubię. Faktycznie świnka mi zawsze smakuje. A wó-

deczka ochłodzona?

-  
Zimna, jakby ją dopiero z Bieguna Północnego przywieźli, albo z tego Spitsbergenu. Stała w wodzie, w szafliku.

Korolkiewicz napełnił kieliszki.

-

Wasze zdrowie, kolego! Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że-

śmy się spotkali. Rzadko mam okazję widzieć tu kogoś z Komendy Głównej. A co tam porabia Walczak? Wyście się z nim przecież przyjaźnili...

Downar przełknął kawał schabu.

-

I przyjaźnię się z nim w dalszym ciągu. To bardzo porządny chłop. Rzadko spotkać takiego przyzwoitego człowieka.

-

Oj, tak, tak! W dzisiejszych czasach niełatwo o porządnego człowieka.

Gaworzyli o tym i o owym, wspominali czasy wspólnej pracy w komendzie, pili wódkę i zagryzali nóżkami w galarecie. W pewnej chwili Korolkiewicz pochylił się nad stolikiem i nadając głosowi ton konfidencyjny, spytał:

- A wy tu, kolego, prywatnie czy służbowo?

Od początku rozmowy Downar zastanawiał się nad tym, czyby chociaż częściowo nie wtajemniczyć Korolkiewicza i nie wyjawić mu właściwego celu swej podróży do Augustowa. Po namyśle jednak zrezygnował z tego projektu. Korolkiewicz to porządny chłop, ale straszny gaduła i plotkarz. Już na drugi dzień cały Augustów nie mówiłby o niczym innym jak tylko o zamordowaniu Gernerera.

- Ja tu właściwie prywatnie, w takich tam rodzinnych sprawach. Być może, że przy okazji załatwię także jakąś sprawę służbo-wą.

-

Gdybym mógł być wam w czymkolwiek pomocny, jestem do waszej dyspozycji. Znam tutejszy teren jak własną kieszeń. Wiem wszystko: kto, z kim, gdzie, dlaczego. Tutaj nie ma dla mnie tajemnic. Więc jeżeli tylko potrzebne wam są jakieś informacje...

Downar przyjacielsko poklepał grubasa po ramieniu.

-

Bardzo wam dziękuję, kolego, za dobre chęci, ale na razie żadnych takich ekstrainformacji nie potrzebuję. W razie czego nie omieszkać się do was zwrócić.

Korolkiewicz westchnął i zamówił drugą ćwiartkę.

-

Tak by człowiek chciał być jeszcze pożytecznym, przydać się na coś. Daję wam słowo, że nie mogę się w żaden sposób przyzwycząić do roli emeryta. Czuję się jeszcze na siłach poprowadzić jakieś śledztwo. Zapewniam was, że dałbym sobie radę.

-

Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - skwapliwie przytaknął Downar.

Korolkiewicz zapatrzył się przed siebie.

-

Mój Boże, jak ten czas leci. Pamiętam, jak w roku pięćdziesiątym czwartym Leśniewski wysłał mnie do Bydgoszczy. Nie mogli sobie poradzić z morderstwem tej Wójcickiej. To była tajemnicza sprawa.

-

To wy prowadziliście to śledztwo? - zainteresował się Downar.

-

No, niezupełnie. Śledztwo prowadziła Komenda Wojewódzka. Ja tam później doszłusowałem do tego interesu, żeby im pomóc.

- No i...?

-

No i nic. Nie mogłem nic zrobić. Wstępne dochodzenie było fatalnie przeprowadzone. Właściwie nie było się czego chwycić.

Trochę bardzo mętnych poszlak.

-

W jaki sposób została zamordowana ta kobieta?

-

Udużona szalikiem. Prosty sposób.

-

A jak daktyloskopia? Nie pamiętacie?

-

Doskonale pamiętam. Badania daktyloskopijne nie dały żadnych rezultatów. Morderca bardzo

dokładnie zatarł za sobą ślady.

-

Czy uważacie, że tej zbrodni mogła dokonać kobieta?

Grubas nie odpowiedział od razu. Całe usta miał wypełnione ga-laretką z nóżek. Kilkakrotnie poruszył energicznie grdyką i odzyskał

mowę.

-

Kobieta? Bardzo wątpię, żeby to mogła zrobić kobieta. Kobiety na ogół wolą truciznę. Szalikiem to trzeba siły i zdecydowania.

To nie jest takie proste.

Downar w zamyśleniu obserwował twarz byłego archiwisty.

Różne myśli krążyły mu po głowie.

-

To nie jest takie proste - powtórzył. - No co, chyba już pójdziemy - dodał, wyjmując portfel.

Korolkiewicz zaprotestował energicznie:

-

O nie, nie, nigdy nie pozwolę na to, żebyście płacili.

-

Ale z jakiej racji?

-

Z takiej racji, że w Augustowie ja jestem gospodarzem i kto-kolwiek przyjedzie tu z Komendy Głównej jest moim gościem. Panno Broniu, proszę wszystko zapisać na mój rachunek.

-

Uważajcie, żebyście nie zbankrutowali na takiej gościnności.

-

Nie ma strachu. Prawie półtora roku już tu siedzę i dopiero pierwszy raz postawiłem ćwiartkę.

Kiedy wychodzili, Korolkiewicz nagle zaczął się głośno śmiać, po prostu chwycił go jakiś paroksyzm śmiechu. Downar spojrział na niego niespokojnie.

-

Co wam się stało? Z czego tak się śmiejecie?

-

Nic, nic - wykrztusił przez łyżę grubas. - Coś mi się przypomniało. Nie zwracajcie na mnie uwagi. To mi zaraz przejdzie.

Na rynku Downar pożegnał rozbawionego emeryta i wrócił do hotelu.

Miejsce starego portiera zajęła tęga kobieta o wypukłych oczach i szerokiej, nalanej twarzy. Robiła na drutach sweter z fioletowej włóczki. Głośno pociągała nosem, nie chcąc najwidoczniej tracić cennego czasu na zbyt częste używanie chusteczki.

-

Dobry wieczór - powiedział Downar.

Spojrzała na niego obojętnie. Z pewnym wysiłkiem stłumiła ziewnięcie.

- Dobry wieczór.

Downar nawiązał dyplomatyczną rozmowę. Dowiedział się, iż zażywna jejmość zastępuje swego męża, który poszedł odwiedzić chorego brata. Tu nastąpiła długa i dość zawiła opowieść, dotycząca spraw rodzinnych.

Downar nie miał zamiaru zgłębiać tajników drzewa genealogicznego, wysłuchał jednak cierpliwie historii rodziny, a kiedy elo-kwentna kobieta umilkła, spytał:

-

Czy pani zna niejakiego Włodzimierza Korolkiewicza?

Przestała machać drutami. Była trochę zdziwiona.

- Włodzimierza Korolkiewicza? Oczywiście, że go znam.

Wszyscy go tu znają. Ale to nie nasz krewny.

-

Sympatyczny człowiek?

Wzruszyła ramionami.

-  
Bo ja wiem. Czasem sympatyczny, a czasem nie.

-  
Nie rozumiem.

-  
-  
No, jak by tu panu powiedzieć. Ten Korolkiewicz to bardzo dziwny człowiek, bardzo dziwny. Jednego dnia jest wesoły, rozmowny, śmieje się, żartuje, każdemu gotów pomóc. A znowu innego dnia chodzi zły i ponury, że lepiej go z daleka omijać. Wygląda wtedy jak morderca. Ja go się boję. Jeżeli mam być szczerą, to nie jestem zupełnie pewna, czy mu się coś w głowie nie przekręciło.

No, takie ma napady, że powiadam panu...

-  
Często tu was odwiedza?

-  
Dosyć często. Czasem przychodzi nawet codziennie.

-  
Po co przychodzi?

-  
A bo ja wiem? Tak sobie. Pogada trochę z mężem, trochę ze mną. Dopytuje się, kto przyjechał. Czasem to mi się zdaje, że on na kogoś czeka.

-  
Hm.

Downar zapalił papierosa. Miał ochotę zapytać jeszcze o to i o owo, ale nie chciał przeciągać struny. Bał się, że zbytnia ciekawość może wydać się podejrzaną żonie portiera. Powiedział:

-  
Miałem dzisiaj na noc wracać do Warszawy, ale nie zdążyłem załatwić swoich spraw i muszę zostać do jutra. Mam nadzieję, że znajdzie się dla mnie jakieś wolne łóżko.



-  
Ale oczywiście. Dam panu siódmkę. Do tej pory nikogo tam jeszcze nie ma. Będzie pan sam w pokoju. Zawsze to przyjemniej.

- Oczywiście.

Downar wziął walizkę i poszedł na górę. Czuł się zmęczony. Postanowił wcześniej położyć się spać.

Zdjął marynarkę i zaczął rozpakowywać swoje rzeczy. Wyjął pi-dżamę, ręcznik, mydło, szczotkę do zębów i przybory do golenia.

Nie był pewien, czy potrzebnie zostaje w Augustowie. Czego wła-

ściwie mógł się tutaj dowiedzieć? Czy nie jest to strata czasu? Tyle miał roboty w Warszawie. Korolkiewicz... Korolkiewicz... Śmieszny, stary głupiec. A może nie taki głupiec?

Ktoś zastukał.

-  
Proszę. Skrzypnęły drzwi.

Downar odwrócił się i spojrzał zdziwiony.

-  
Była bardzo młoda. Miała wąską, bladą twarz i gęste włosy koloru marchwi. Duże, ciemne oczy wyrażały niepokój.

-  
Proszę pana...

Downar uśmiechnął się życzliwie. Dziewczyna wydała mu się bardzo zażenowana, a nawet wystraszona. Chciał ją jakoś ośmielić.

-  
Słucham? Czym mogę pani służyć? - powiedział uprzejmie.

Stała niezdecydowana. Usta jej drżały. Wyglądała jak małe dziecko, które za chwilę się rozplacze.

- Ja... ja bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam, ale...

- Wcale mi pani nie przeszkadza. Proszę bardzo, może pani usiądzie.

Usiadła na brzegu krzesła i ze zdenerwowania zaczęła sobie wy-

łamywać palce.

-

Widziałam, jak pan wychodził z gospody z tatusiem i dlatego...

-

To pani jest córką Korolkiewicza?

-

Tak. Przepraszam, że się panu do tej pory nie przedstawiłam.

Jestem strasznie głupia. Nazywam się Elwira Korolkiewicz, to znaczy teraz nazywam się właściwie Lubertowa, bo wyszłam za męża.

-

Wiem. Opowiadał mi o tym pani ojciec.

-

Mówił także zapewne, że ja nie żyję z mężem?

-

Coś wspominał.

Spuściła głowę. Kiedy ją znowu podniosła, w oczach jej dojrzał łzy.

-

Niech pan się na mnie nie gniewa, proszę. Niech pan nie będzie na mnie zły...

-

Ale skądże?

-

Bo widzi pan, ja... ja nie mam się do kogo zwrócić o pomoc.

A pan jest przyjacielem tatusia. Prawda, że pan jest jego przyjacielem?

-  
No tak - powiedział niepewnie Downar. - Pracowaliśmy kiedyś razem...

-  
Błagam pana, niech mi pan pomoże. Ja już dłużej tego nie wytrzymam. Ja w końcu zwariuję.

Downar zadał sobie pytanie, czy to się już nie stało. Powiedział:

- Jeśli tylko potrafię, to oczywiście bardzo chętnie pomogę pa-ni. Nie orientuję się jednak, o co chodzi. Może zechce mi pani obja-

śnić, w czym mógłbym być pani pomocnym.

-  
Boję się, bardzo się boję.

Głos jej się załamał. Wybuchła gwałtownym płaczem.

Downar wyjął z górnej kieszeni marynarki czystą chustkę i podał

ją dziewczynie. Czekał cierpliwie, aż minie paroksyzm rozpacz.

Wiedział z doświadczenia, że w podobnych wypadkach najwłaściwszym postępowaniem jest taktowne milczenie.

Niebawem przestała płakać. Wytarła zaczerwienione oczy.

-  
Przepraszam - szepnęła. - Bardzo przepraszam, ale nie mogłam się opanować. Taka jestem ostatnio roztrzęsiona. Właściwie nie wiem, po co ja panu to wszystko mówię. Niepotrzebnie tylko zawracam panu głowę.

Downar uśmiechnął się z wyrozumiałą cierpliwością.

-  
Tym niech się pani zupełnie nie przejmuje. Ja naprawdę bardzo chętnie pani pomogę. Byłoby bardzo dobrze, gdyby pani zechciała mi jednak powiedzieć, o co chodzi.

-  
Kiedy ja sama nie bardzo wiem, o co chodzi.

Downar miał już dosyć rozmowy z córką Korolkiewicza, która była albo wariatką, albo skończoną

histeryczką. Postanowił jednak uzbroić się w cierpliwość i dowiedzieć się wreszcie przyczyny jej zdenerwowania.

-

Może by pani spróbowała trochę dokładniej sformułować powód swego niepokoju - zaproponował.

-

Boję się, bardzo się boję, że stanie się coś strasznego.

-

Ale co się ma stać?

-

Nie wiem, nie wiem... Mój ojciec zachowuje się bardzo dziwnie.

- Niedawno jadłem z nim obiad. W jego zachowaniu się nie zauważyłem nic dziwnego. Chyba się pani zdaje.

-

Nie, nie, nic mi się nie zdaje. Ja z nim jestem ciągle, cały czas i dlatego wiem. On nie zawsze jest taki, ale czasem jak go coś na-padnie. Wczoraj nawet mnie uderzył, co się nigdy nie zdarza.

-

Uderzył panią?

-

Tak, i właściwie bez powodu. Jakieś głupstwo. Był straszliwie zdenerwowany... I dzisiaj znowu...

-

Nie zna pani przyczyny tego zdenerwowania ojca?

-

Nie. Czasem odnoszę takie wrażenie, jakby na coś czekał, jakby... Proszę pana... proszę pana... niech mi pan nie odmawia.

Niech pan do niego pójdzie, chociaż na chwilę.

Downar zawahał się. Był zmęczony i perspektywa rozmowy z Korolkiewiczem wcale go nie

zachwycala. Nie mógł jednak odmó-

wić proście młodej kobiety. Była tak podniecona...

-

Dobrze - powiedział i włożył marynarkę. - Chodźmy.

Korolkiewicz mieszkał za miastem. W ogródku rosły malwy.

Dom pogrążony był w ciemności. Szyby okienne błyszcząły czernią.

-

Dlaczego tatuś zgasił światło? - zaniepokoiła się Elwira.

Downar wyjął z kieszeni latarkę i pchnął furtkę.

- Czy pani...? - Urwał gwałtownie.

Dziewczyna krzyknęła. Przytrzymał ją za rękę. Niedaleko kamiennych schodków leżało nieruchome ciało. Łysa głowa wyglądała jak ogromna dynia.

## ROZDZIAŁ V

Grupa operacyjna z Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku przyjechała dopiero nad ranem.

Barczysty mężczyzna o szerokiej, pryszczatej twarzy potężnie uściśnął dłoń Downara.

-

Nazywam się Pietrzak. Nawalił nam ten cholerny wóz. Prawie dwie godzin staliśmy na szosie. Zawsze jak jest coś pilnego, to nam wóz nawala. Zaraz zabieramy się do roboty, towarzyszu kapitanie.

Downar miał czerwone oczy z niewyspania. Całą noc pracował, wspomagany przez porucznika Pliszczyka, komendanta miejscowego posterunku.

-

Znaliście Korolkiewicza? - spytał.

Pietrzak zaśmiał się. Jego wąskie, nieco skośne oczy zwęziły się jeszcze bardziej.

-

Korolkiewicza? A kto by go nie znał. To była najbardziej znana postać w całej okolicy. Parę razy przyjeżdżał do nas do Białe-gostoku. Chciał dostać w komendzie jakąś robotę. Uważał się za

znakomitego detektywa. Śmieszny stary! Ciekawe, kto go mógł rąb-nać? Co wy o tym sądziecie, towarzyszu?

Downar wzruszył ramionami.

-

Cóż ja mogę w tej chwili sądzić? Nic. Trzeba przeprowadzić dochodzenie.

-

Słusznie. Trzeba przeprowadzić dochodzenie - zgodził się Pietrzak.

-

Macie dobrego fachowca od daktyloskopii?

-

Oczywiście, że mamy. Każdą robótkę załatwi na medal.

-

To dobrze. Chciałbym, żeby badania daktyloskopijne przeprowadzić bardzo dokładnie. Od tego może dużo zależeć. Szczególnie zwróćcie uwagę na te szklanki z piwem.

-

Załatwi się, towarzyszu kapitanie.

Downar poszedł do hotelu. W hallu spotkał Elwirę. Po odkryciu morderstwa przyprowadził ją tutaj i oddał pod opiekę żonie portiera.

-

Pani nie śpi?

Potrząsnęła głową. Twarz miała jeszcze bledszą. Ciemne oczy płonęły gorączkowym blaskiem.

-

Nie mogę spać. Nie mogę... Nie wiem, co mam robić... Nie wiem, gdzie mam iść... Nic nie wiem, nic nie wiem - skarżyła się jak małe, bezradne dziecko.

-

Na razie o niczym proszę nie myśleć - powiedział Downar. -

Niech się pani położy i niech pani spróbuje zasnąć. Dam pani pro-szek nasenny.

Chwyciła go za rękę.

-

Dlaczego go zabili? Dlaczego go zabili? On nic przecież złe-go nikomu nie zrobił. Dlaczego go zabili?

Downar uspokajająco pogładził ją po dłoni.

-

Niech się pani uspokoi. Nie mówmy teraz o tym.

Zaprowadził dziewczynę do swego pokoju i posadził na krześle.

Następnie wyjął z walizki flakonik z phanodormem. Położył na stole jedną pastylkę.

-

Proszę, niech pani to zażyje, a potem zaraz do łóżka. Przede wszystkim musi się pani dobrze wyspać. Nie trzeba się poddawać.

Wyszła.

Przez dłuższą chwilę patrzył w zamyśleniu na drzwi, za którymi zniknęła.

Spojrzał w lustro. Zobaczył bladą, okoloną ciemnym zarostem twarz i przekrwione, zmęczone oczy. Nie był to miły widok. Po-

śpiesznie sięgnął po przybory do golenia.

Ktoś zastukał.

Przez uchylone drzwi wsunęła się siwa głowa portiera.

-

Pan kapitan życzył sobie przejrzeć zeszłoroczną książkę meldunkową. Już ją znalazłem.

-

Dobra. Dziękuję. Niech pan położy na stole.

Stary wykonał polecenie, ale nie kwapił się jakoś do odejścia.

Miał najwidoczniej ochotę coś powiedzieć, nie bardzo jednak wiedział od czego zacząć. Downar

spojrzał na niego zdziwiony.

-

Ma pan do mnie jeszcze jakiś interes?

Portier zmieszał się. Rzucił niepewne spojrzenie w kierunku drzwi.

-

Niech pan mówi śmiało. Nikt nas nie słyszy - zachęcił go Downar.

-

Bo to widzi pan kapitan... Sam nie wiem. Żona mi zawsze mówi, żebym się nie wtrącał do nie swoich spraw. Powiada, że się tylko mogę niepotrzebnie narazić na jakieś nieprzyjemności. Może i ma rację. Zawsze to lepiej trzymać język za zębami. Ale z drugiej znowu strony morderstwo to nie bagatela i jeżeli można w czymś pomóc milicji...

-

Sądzę, że to jest obowiązkiem każdego przyzwoitego człowieka - powiedział Downar.

-

No właśnie... no właśnie... - przytaknął z zapałem. - Ja także tak sobie pomyślałem.. Szybkim truchtem podbiegł do okna i zamknął je starannie. - Nie chciałbym, żeby ktoś podsłuchał naszą rozmowę. Strzeżonego, jak to powiadają, Pan Bóg strzeże.

Zbliżył się do Downara i szepnął.

- Ja myślę, że ta pasta do zębów to miała coś wspólnego z morderstwem.

- Jaka pasta do zębów? - spytał Downar. - Nic nie rozumiem.

Stary uderzył się w czoło.

-

No prawda, skądże pan kapitan ma rozumieć, kiedy nie opowiedziałem całej historii. Oj, głowa, głowa. Co robić? Skleroza.

Downar uprzejmie nie przytaknął. Spytał:

-

No i co z tą pastą do zębów?



- No właśnie. Otóż niech pan sobie wyobrazi, panie kapitanie, że któregoś dnia przychodzi do mnie Korolkiewicz, śmieje się i pokazuje dużą tubę: zagraniczna pasta do zębów Colgate. Pytam, dlaczego go tak śmieszy pasta do zębów, a on powiada: „Widzisz stary, chcieli mnie otruć, dranie, ale nie na frajera trafiło”. Tak właśnie powiedział i znowu się śmiał.

- No i co dalej? Co się stało z tą pastą?

-

Nie wiem. Wsadził ją do kieszeni i poszedł. Widocznie już wtedy przeczuwał, że ktoś go chce zabić.

Downar zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju.

-

Niech mi pan powie, kiedy, mniej więcej, zdarzyła się ta historia.

-

Niedawno. Jakies może tydzień temu, może dziesięć dni. Dokładnie nie pamiętam.

-

A czy wczoraj widział pan Korolkiewicza?

-

Tak. Przyszedł, jak tylko pan poszedł na obiad. Pytał, czy ktoś nie przyjechał. Powiedziałem mu, że przyjechał jeden pan z Warszawy i że je obiad w gospodzie. No to i on zaraz poszedł do gospody. Może źle zrobiłem, że mu powiedziałem?

-

Dobrze pan zrobił - uspokoił go Downar. - Bardzo dobrze pan zrobił.

-

Czy pan kapitan jeszcze sobie czegoś życzy?

-

Nie. Na razie dziękuję. Chciałbym tylko, żebyście się serdecznie zajęli tą córką Korolkiewicza. Jest bardzo przybita tym, co się stało.

-

Może pan kapitan być zupełnie spokojny. Zajmiemy się nią.

To przecież chrześcijański obowiązek.

Portier wyszedł, Downar zaś ogolił się, umył i wyciągnął na łóż-

ku. Chciał przespać się chociaż z godzinę. Zamknął oczy. Sen jednak nie przychodził. Mózg nie przestawał pracować. Coraz to nowe my-

śli napływały gromadnie. A więc Korolkiewicz już od dłuższego czasu żył w obawie przed śmiercią. Czekał na mordercę. Powód zbrodni? Rabunek? Porachunki osobiste? Zemsta? Nic nie wskazywało na to, żeby zbrodniarz szukał czegoś w domu. A więc nie rabunek. Czy rzeczywiście pasta do zębów, o której opowiadał portier, była zatruta, czy też to tylko wytwór chorej wyobraźni? Mania prze-

śladowcza? To zupełnie możliwe. Korolkiewicz nie robił wrażenia człowieka zupełnie normalnego. Ta jego córka także trochę dziwna.

No cóż... stary maniak mógł zmęczyć dziewczynę.

Downar otworzył oczy i usiadł na łóżku. Czuł, że nie zaśnie. Nie było sensu przewracać się z boku na bok. Sięgnął po papierosy. Wła-

ściwie nie bardzo wiedział, dlaczego tak się interesuje zabójstwem Korolkiewicza. Co go to w końcu może obchodzić? Niech się tym zajmuje Komenda Wojewódzka. Jego interesuje sprawa Gernerera i sprawa tego fantastycznego pamiętnika. Badanie zakurzonej szafy wypadło raczej pozytywnie. Rowicki chyba rzeczywiście znalazł ten zeszyt na szafie: w grubej warstwie kurzu można było dostrzec niewyraźny zarys prostokąta. A jeżeli jednak morderstwo Korolkiewicza ma coś wspólnego z tą sprawą? Do licha!

Wzrok Downara padł na książkę meldunkową. Wstał, przysunął

sobie do stołu krzesło i zaczął przeglądać zapisane stronice. Jak tu z tej powodzi nazwisk wyłowić faceta, który zostawił na szafie swój pamiętnik? Zadanie właściwie nie do wykonania. W pokoju numer siedem nocowało bardzo wielu ludzi. Który z nich? I kiedy? Czy w tym roku, czy w zeszłym? Morderca nie musiał przecież położyć swego pamiętnika na szafie. Ktoś, sprzątając, mógł go tam ulokować. Fakt, że na końcu pamiętnika znajdowała się wzmianka o projektowanym zabójstwie Gernerera, wskazywał na to, że cała sprawa była raczej niedawna. Chociaż i co do tego nie można było mieć żadnej pewności. Przecież zbrodniarz mógł powziąć w pewnym momencie decyzję zamordowania Gernerera, ale nie jest powiedziane, że swój plan zrealizował natychmiast. Trudno było przewidzieć, ile czasu oddzielało ostatnie słowa pamiętnika od morderstwa Gernerera.

Nie było też żadnej pewności, że autor pamiętnika był rzeczywiście zabójcą Gernerera. A jeżeli jednak ktoś go uprzedził...

Długie szeregi imion i nazwisk nic nie mówiły. Downara poczy-nało ogarniać zniechęcenie. Czego właściwie szukał? Co spodziewał

się znaleźć w książce meldunkowej z zeszłego roku. Na próżno tracił

czas. Nagle drgnął. Na samym dole stronicy przeczytał: Edmund Gerner. A więc jednak... Więc intuicja i tym razem go nie zawiodła.

W październiku zeszłego roku Gerner był w Augustowie. Coś go musiało łączyć z tutejszym terenem, ale co? Mało prawdopodobne, żeby przyjechał tu wyłącznie w celach turystycznych. Czy znał Korolkiewicza? Czy to może właśnie na niego czekał były archiwista?

Downar niecierpliwie trzasnął w palce. „Dlaczego, u diabła, cią-

gle łączę sprawę Gernerera z Korolkiewiczem? Sugestia, bezpodstaw-na sugestia”.

Zamknął książkę, odświeżył sobie twarz zimną wodą i zaczął się ubierać. Miał ogromną ochotę porozumieć się z Elwirą.

Znalazł ją na dole, w hallu. Rozmawiała z portierem.

- Jak się pani czuje? Nie spała pani?

-

Nie, nie mogę zasnąć.

-

Mam wrażenie, że nam obojgu doskonale by zrobiła filiżanka mocnej, gorącej kawy - powiedział Downar.

Uśmiechnęła się blado.

-

Pan jest bardzo dobry. Dziękuję.

Downar zwrócił się do portiera:

-

Czy nie dałoby się skombinować trochę dobrej kawy? Jak pan myśli?

-

Myślę, że dałoby się, panie kapitanie. Zaraz powiem żonie.

Wyszedł.

Usiedli przy stoliku pod oknem. Przez chwilę milczeli. Downar serdecznym ruchem pogładził drobną dłoń dziewczyny.

-  
Musi się pani opanować. Nie wolno poddawać się rozpacz.

Ja wiem, że to trudno, że to bardzo ciężki cios dla pani. Musi pani znaleźć w sobie dosyć siły, żeby przetrwać, żeby żyć.

Zaśmiała się krótkim, drwiącym śmiechem.

-  
Żyć? Po co? Dla kogo?

-  
Nie ma pani nikogo?

-  
Nie. Z mężem się rozeszłam. Ojciec nie żyje. Nie mam nikogo.

-  
Czy pani gdzieś pracuje?

-  
Tak. W Powiatowej Radzie Narodowej.

-  
Lubi pani swą pracę?

Wzruszyła ramionami.

-  
Cóż to można lubić czy nie lubić. Zwykła urzędnicza, papier-kowa robota.

-  
Zapali pani? - spytał Downar, wyjmując papierośnicę.

Zawahała się, wyciągnęła jednak rękę i wzięła papierosa.

-  
Tatusz zabraniał mi palić - szepnęła... - ale teraz... - Łzy napły-nęły jej do oczu.

Pośpiesznie podsunął jej zapaloną zapalną.

-

Bywa pani czasem w Warszawie? - spytał, chcąc skierować rozmowę na inny temat.

-

Och, bardzo rzadko. Nie stać mnie na takie kosztowne podró-

że. Kilka miesięcy temu jeździłam służbowo do Warszawy, ale tylko na parę dni.

-

Podczas podróży często nadarzają się okazje do zawierania nowych znajomości.

-

O, tak. Poznałam nawet wtedy bardzo miłego człowieka.

Dziennikarz. Nazywa się Andrzej Rowicki. Może go pan zna?

-

Owszem, znam go - powiedział obojętnie Downar, starannie ukrywając wrażenie, jakie na nim zrobiła ta wiadomość.

-

Prawda, że sympatyczny?

-

Bardzo. Jeśli się nie mylę, to niedawno był w Augustowie.

-

Tak. Przyjechał tu na reportaż. Mówił panu? Może opowiadał

panu o mnie?

-

Nie. Nie opowiadał mi o pani. To jest bardzo dyskretny, młody człowiek.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

-

Cieszę się, że pan tak mówi. Bo... bo widzi pan, w takim ma-

łym miasteczku... Pan mnie rozumie, prawda?

-

Doskonale panią rozumiem.

W tej chwili żona portiera postawiła przed nimi maszynkę z kawą, filiżanki i cukiernicę.

-

Proszę. Jest gorąca kawa. Niech państwo piją!

Downar podziękował i napełnił filiżanki. Mocny aromat uderzył

ich w nozdrza. Kawa rzeczywiście była dobra.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali na tematy obojętne. Downar opowiadał o życiu w stolicy, o swej pracy, o ostatnich filmach i przedstawieniach teatralnych. Był ostrożny. Bał się ją spłoszyć zbyt natrętnym pytaniem. Wiedział z doświadczenia, że w takich sytuacjach tylko cierpliwością można uzyskać jakieś rezultaty. Wreszcie doszedł do przekonania, że może zaryzykować. Spytał od niechcienia:

-

Czy poznała pani może w Warszawie także niejakiego Gnera?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

-

Gnera? Nie. Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Dlaczego pan pyta?

-

Nie, nic, tak sobie zapytałem. To jeden z moich znajomych, zna także Rowickiego, więc myślałem, że może... Był tu w Augustowie na jesieni. Możliwe, że ojciec pani go znał.

-

Nie wiem. Tatuś znał bardzo wielu ludzi, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wspominał to nazwisko.

-

Tatuś pani był człowiekiem bardzo towarzyskim.

-  
O, tak. Lubił przebywać między ludźmi. Miał wielu przyjaciół.

-  
Okazuje się, że miał także i nieprzyjaciół.

Oczy jej znowu zaszkliły się łzami. Wypiła duży łyk kawy.

-  
Nie wiem, kto to mógł zrobić, zupełnie nie wiem. Nigdy nie sądziłam, że istnieje człowiek, który aż tak nienawidzi tatusia.

-  
Pani, oczywiście, zależy na tym, żeby ten człowiek został ujęty i poniósł karę?

Niezdecydowanie potrząsnęła głową.

-  
Bo ja wiem? Chyba nie... Już przecież niczego nie da się cofnąć, nic już nie zmieni tego, co się stało.

Downar uważnie obserwował dziewczynę.

-  
A chęć zemsty? - spytał. - Czy nie doznaje pani takiego uczucia?

-  
Nie. W każdym razie w tej chwili o niczym takim nie myślę.

-  
Niech mi pani powie, czy wczoraj prosto z domu przyszła pani tutaj do hotelu, żeby ze mną pomówić.

-  
Nie. Byłam u przyjaciółki i to właśnie ona mi poradziła, żeby do pana pójść. Zwierzyłam jej się z moich obaw, powiedziałam, że widziałam tatusia w towarzystwie jakiegoś nieznanego mężczyzny, który zapewne niedawno przyjechał do Augustowa.

- Jak długo była pani u tej swojej przyjaciółki?

-

Bo ja wiem...? Pewnie z godzinę, a może dłużej. Nie pamiętam.

-

Czy ojciec pani spodziewał się wczoraj czyichś odwiedzin?

-

Wyraźnie mi tego nie powiedział, ale miałam takie wrażenie, że czeka na kogoś. Chciał się mnie pozbyć z domu.

-

Ach tak. I pani nie domyśla się na kogo ojciec wczoraj czekał?

-

Nie, absolutnie nie.

Downar umilkł i w zamyśleniu palił papierosa. Sprawa stawała się coraz bardziej zawikłana. Instynktownie wyczuwał, że Elwira nie jest zupełnie szczerą, że pragnie coś ukryć, że nie chce powiedzieć mu wszystkiego. Zastanawiał się nad tym, czy w stosunku do niej obrał właściwą taktykę. W danej sytuacji nie mógł właściwie nic innego wymyślić. Wiedziała, że jest milicjantem. W tych warunkach trudno było prowadzić jakąś bardzo precyzyjną grę. Doszedł do przekonania, że niczego więcej się nie dowie. Spytał:

-

Czy pani mogłaby chociaż na kilka dni zamieszkać u tej swojej przyjaciółki?

-

Sądzę, że tak.

-

Bo zapewne po tym, co się stało, nie miałyby pani ochoty wrócić do domu. Przynajmniej na razie.

-

Och, za nic na świecie.



-  
No, właśnie. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przez pewien czas skorzysta pani z gościny przyjaciółki, a potem to się wszystko jakoś ułoży.

-  
Najchętniej wyjechałabym stąd.

-  
O tym także będzie można pomyśleć.

Downar zapłacił za kawę, pożegnał się z Elwirą i wyszedł z hotelu. W głowie miał pełno koncepcji, z których jedna wydawała mu się bardziej fantastyczna od drugiej.

Na posterunku milicji czekano już na niego. Grupa operacyjna z Komendy Wojewódzkiej zakończyła swoje czynności.

-  
Dobrze, że jesteście, towarzyszu kapitanie - ucieszył się Pietrzak. - Właśnie miałem zamiar iść do hotelu i poszukać was.

-  
No i cóż? - spytał Downar. - Jakież rezultaty dało wstępne dochodzenie?

Pietrzak skrzywił się. Jego czerstwej twarzy nie ożywiał uśmiech entuzjazmu.

-  
Ano cóż... Właściwie na razie niewiele można powiedzieć.

Zrobiło się, co trzeba. Odciski palców zdjęte, mieszkanie przeszukane, zwłoki zabezpieczone.

- Jak oględziny lekarskie?

-  
Nasz lekarz potwierdził tylko to, co powiedział tutejszy lekarz. Dwa strzały z pistoletu w tył głowy. Kaliber pewnie 38. Zresztą to będzie można dokładniej ustalić po sekcji. Jeden pocisk pozostał

w czaszce. Lekarz twierdzi, że mógł się zatrzymać przy kości nosowej. Strzelano z niedużej odległości, metr, dwa najwyżej.

Żadnych śladów walki?

-

Żadnych. Na mój nos to było tak: pili piwo w pokoju i gadali o jakichś interesach. Potem stary wyszedł, żeby odprowadzić gościa do furtki, a ten rąbnął go w ogródku.

-

Zastanawiam się, dlaczego nie zastrzelił go w mieszkaniu -

powiedział w zamyśleniu Downar. - Przecież to było bezpieczniej-sze.

Pietrzak wzruszył ramionami.

-

Diabli go wiedzą. Może się bał, że ktoś w mieszkaniu niespodziewanie zaskoczy, a na dworze czuł się pewniejszy. Zresztą tam pustkowie, a o siódmej już się robi ciemno. Niewiele ryzykował.

Możliwe też, że zdecydował się na to w ostatnim momencie.

Downar potrząsnął głową.

-

To mi się wydaje mało prawdopodobne. Jak facet przyszedł

ze spluwą w kieszeni, to chyba miał już z góry ułożony plan działania. Chociaż mógł wziąć pistolet na wszelki wypadek... Nie wiedział, jak się potoczy rozmowa. Widocznie z Korolkiewiczem nie mógł

dojść do porozumienia i dlatego...

-

A gdzie go teraz szukać? - zasepił się Pietrzak.

-

Ba! Nie wydaje mi się, żebym mógł wam w tej chwili odpowiedzieć. Natomiast jestem pewny, że będzie to jedna z trudniej-szych spraw, na jakie napotkaliście w swojej praktyce.

-

Tak sądzicie?

-

Nie mam co do tego wątpliwości.

Pietrzak podrapał się za uchem.

-

Cholerny świat... Zdaje mi się, że macie rację. Najgorsze jest to, że nikt w tej sprawie nie jest podejrzany. Pogadałem sobie już trochę z ludźmi, ot, tak sobie, po przyjacielsku. Nikt tu nie słyszał o tym, żeby Korolkiewicz miał jakichś wrogów. Był powszechnie lubianym człowiekiem. Zapraszał na piwo, nieraz i wódkę postawił, z nikim się nie kłócił, z nikim się nie procesował. Czort wie, komu mogło zależeć na tym, żeby go sprzątnąć.

-

Tak - powiedział Downar. - To bardzo zagadkowa historia.

Rozmawiałem z Korolkiewiczem na parę godzin przed morderstwem. Byliśmy razem w gospodzie. Z tego, co mi opowiadał o swoich sprawach rodzinnych, wynikało, że nie jest zbyt zachwycony zięciem, który rzucił żonę i wyjechał gdzieś na Wybrzeże.

-

To jeszcze nie powód, żeby miał starego zastrzelić.

-

Oczywiście. Mogło jednak być między nimi coś poważniejszego. Na wszelki wypadek trzeba będzie to sprawdzić.

Pietrzak z powątpiewaniem pokręcił głową.

-

No cóż... Porozumiemy się z Gdańskiem. Z tego, co wiem, ten Lubert pływa na jakimś frachtowcu. Nie sądzę jednak, żeby facet specjalnie tutaj przyjeżdżał po to, żeby strzelić staremu w łeb. Po co?

Musi przecież być jakiś powód zbrodni. Korolkiewicz nie był bogaczem. Nie wchodzi tu w grę jakieś sprawy majątkowe, a poza tym...

Downar już myślał o czymś innym. Nie słuchał wywodów porucznika. Zgasił papierosa i wstał.

-

Wiecie co, towarzyszu? Nie jest wykluczone, że ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż się to nam obu w tej chwili wydaje. Mam pewne dane po temu, aby przypuszczać, że morderstwo Korolkiewicza wiąże się w jakiś sposób ze sprawą, którą w tej chwili prowadzę w Warszawie. Wszystko to jest oczywiście jeszcze zupełnie mgliste i nic pewnego powiedzieć nie mogę. Być może

nawet, że się mylę. Tym niemniej nie jest wykluczone, że Komenda Główna przejmie od was śledztwo. W związku z tym chciałbym was prosić, żebyście bardzo starannie przygotowali cały materiał docho-dzeniowy. Specjalnie zależy mi na dokładnym wykonaniu prac dak-tyloskopijnych.

Pietrzak uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie miał nic przeciwko temu, żeby zabójstwem Korolkiewicza zajęła się Komenda Główna.

Miał dosyć lokalnych białostockich spraw, a poza tym bał się trochę, że nie da sobie rady.

-

Możecie być zupełnie spokojni, towarzyszu kapitanie.

Wszystko załatwi się na medal. Jak tylko zażądacie, natychmiast przekażemy wam akta sprawy i wszystkie kmateriały dowodowe.

Downar wyciągnął rękę na pożegnanie.

-

No, to na razie cześć. Aha, jeszcze jedno. Dajcie mi klucze od domu Korolkiewicza. Chciałbym tam na chwilę zajrzeć, jeszcze raz rzucić okiem na wszystko przy świetle dziennym.

Pietrzak sięgnął do kieszeni i wyjął klucze.

- Odniesiecie je tutaj?

-

Tak.

Dzień był pogodny. Po wczorajszym deszczu wiatr w nocy rozpędził chmury i wiosenne słońce wesoło przeglądało się w kałużach.

Downar poprawił na sobie płaszcz i pogwizdując, ruszył różnym krokiem w kierunku domu Korolkiewicza. Nie wiadomo dlaczego, zrobiło mu się nagle wesoło. Może to słońce, a może podskakujące na drodze wróble tak go optymistycznie nastroiły.

Najbliższym sąsiadem Korolkiewicza był stolarz, Józef Wojtaś.

Dom parterowy, kryty dachówką. Świeżo pobielane ściany błyszczą-

ły w słońcu. W ogrodzie rosły krzaki agrestu, rzodkiewka, sałata i truskawki.

Wojtaś we flanelowej, kraciastej koszuli kopał właśnie grządki.

Chłop był duży, szeroki w ramionach. Siwiejące wąsiska, opuszczo-ne ku dołowi, nadawały wąskiej,

śniadej twarzy wyraz melancholijny.

-

Dzień dobry- powiedział Downar, podchodząc do furtki.

Stolarz wbił w ziemię łopatę i niezbyt życzliwie spojrział na przybysza.

-

Dzień dobry - mruknął. - A pan do kogo?

-

Do pana Wojtasia.

-

To ja jestem. O co chodzi?

-

Chciałem z panem pomówić w sprawie Korolkiewicza.

-

Powiedziałem już raz, że nie będę robił trumny.

Splunął w dłonie i zabrał się znowu do kapania.

Downar odczekał chwilę cierpliwie, oparty o płot. Wreszcie pchnął furtkę i wszedł do środka.

- Ja wcale nie w sprawie trumny.

Stary rzucił spod czapki szybkie, podejrzliwe spojrzenie.

-

Więc czego pan chce?

- Wie pan zapewne o tym, że pański sąsiad Korolkiewicz został

wczoraj wieczorem zamordowany.

-

Wiem.

-  
Właśnie o tym chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

Wojtaś nie przestawał kopać.

-  
A bo co?

-  
A bo jestem z milicji.

-  
Milicja tu już u mnie była - warknął niecierpliwie stary. - Powiedziałem, co wiedziałem.

-  
Nie szkodzi. Powie pan jeszcze raz. Może pan przestanie na chwilę kopać. Zapalimy sobie papieroska i pogadamy.

Stolarz, aczkolwiek niechętnie, odstawił łopatę i wskazał niską ławeczkę, stojącą pod młodą jabłonką.

-  
No to siadaj pan.

Usiedli i Downar wyjął papierośnicę.

-  
Niech mi pan powie, panie Wojtaś, czy pan dobrze żył z tym Korolkiewiczem.

-  
Pewnie, że dobrze. A dlaczegoż miałbym z nim źle żyć? Po-rządny był człowiek.

-  
I chodziliście do siebie na piwko, na kieliszek gorzały?

-  
Chodziliśmy, a jakże.

-  
A Korolkiewicz nie wspominał kiedyś w rozmowie z panem, że się czegoś obawia?

Twarz starego stolarza stała się nagle czujna. Powiedział krótko:

- Nie.

-  
Hm... Jak pan myśli, kto go mógł zabić?

-  
A skądżeż ja to mogę wiedzieć?

-  
Czy słyszał pan wczoraj wieczorem strzały?

-  
Wczoraj od południa nie było mnie w domu. Pojechałem na wieś do córki. Wróciłem dopiero po północy - wyjaśnił pośpiesznie Wojtaś.

„Ma alibi” - pomyślał Downar i pytał dalej:

-  
Czy pan tu mieszka sam?

-  
Nie. Z żoną i z synem. Syn pracuje w fabryce obuwia.

-  
I oni też nie słyszeli strzałów?

-  
Żona pojechała ze mną do córki, a syn poszedł do kolegów na karty.

-  
To nikogo w domu nie było?

-

Ano, nie było. Tak się czasem zdarza, że nikogo nie ma w domu.

-

Pewnie, że się zdarza. Niech mi pan powie, panie Wojtaś, czy Korolkiewicz mówił panu kiedy o jakichś pieniądzech?

Stolarz wyjął niedopałek papierosa, wcisnął go obcasem w piasek i splunął przez zęby.

-

O pieniądzech? Nie. Chociaż jak sobie podpił, to czasem mówił o tym, że niedługo będzie bardzo bogatym człowiekiem. Wybierał się nawet za granicę. Nie zwracałem tam na to uwagi. Ot, zwyczajnie, jak to po wódce, gada się to i owo.

Downar posiedział jeszcze chwilę zamyślony. Stracił nagle ochotę do rozmowy. Wstał, pożegnał Wojtasia i ruszył ku wyjściu. Kiedy otwierał furtkę, wzrok jego padł na mały błyszczący przedmiot, leżą-

cy pod krzakiem agrestu. Schylił się błyskawicznie.

-

Zgubił pan coś? - spytał stolarz.

-

Ach, nic, głupstwo, urwał mi się guzik od płaszcza.

Gdy wyszedł na szosę, otworzył zaciśniętą pięść i uważnie obejrzał łuskę. - Kaliber 38 - mruknął.

Dom Korolkiewicza robił przykre wrażenie. Panowała tu jeszcze atmosfera niedawnej zbrodni.

Downar uważnie obejrzał ogród, a następnie otworzył drzwi i wszedł do niewielkiej ciemnej sionki. Pod ścianą stała zniszczona komoda. Górna szuflada była wypełniona po brzegi różnymi papierami, rachunkami i kwitami. Zeszyt, zwykły sześćdziesięciokartkowy zeszyt w żółtej okładce. Downar rzucił okiem na zapisane strony i nagle poczuł, że mu krew nabiega do twarzy. To samo bardzo charakterystyczne pismo...

Nie ulegało żadnej wątpliwości - autorem pamiętnika mordercy był Korolkiewicz.

## ROZDZIAŁ VI

W życiu każdego człowieka zdarzają się takie chwile, że zdrowy rozsądek na próżno usiłuje stawić skuteczny opór nastrojom. Racjonalistyczna, trzeźwa postawa wobec otaczającego nas świata zostaje poważnie zachwiana, a nawet czasem rozpada się w gruzy pod naporem irracjonalnego uczucia. Konflikt pomiędzy rozumem, a tak zwanym sercem trwa od tysięcy lat.



Wroński bez większego powodzenia usiłował wmówić w siebie, że Agnieszka nic go już nie obchodzi, że przestała dla niego istnieć.

Wiedział, że sprawę tę powinien uważać za zamknięty fragment swojego życia. Pokochała innego, odeszła. O czym tu w ogóle mó-

wić, o czym rozmyślać? Coś się w życiu pojawia, coś przemija... Nie ma najmniejszego sensu tracić czasu i nerwów na rozważania o przeszłości.

Wszystko to nie było jednak takie proste. Nie mógł zapomnieć.

Zbyt wiele rzeczy przypominało mu ją, zbyt często wracał myślą do ich wspólnego życia. Nieraz zastanawiał się nad tym, czy nie powinien rzucić pracy w redakcji i wyjechać gdzieś na daleką, głąchą prowincję. Nie był jednak pewien tego, czy życie na zapadłej wsi przyniosłoby mu zapomnienie. Na pewno doskonale by mu zrobiła podróż za granicę. Starał się o wyjazd do Afryki lub na Kubę, ale trudno było liczyć na szybkie zrealizowanie tych planów.

Gdyby żył Gerner i gdyby Agnieszka była z nim szczęśliwa, to sytuacja, aczkolwiek bolesna, byłaby łatwiejsza. Teraz została sama, opuszczona... Musiało jej być bardzo ciężko.

Kiedyś spotkał Zbyszka Jaworskiego z żoną. Utrzymywali z nimi serdeczne stosunki. Po rozwodzie stracił z nimi kontakt. Zaprosili go na obiad. Przy deserze Ninka powiedziała:

-

Wiesz, widziałam się wczoraj z Agnieszką. Jest bardzo przybita. Boję się o nią. Może byłoby dobrze, żebyś ją kiedyś odwiedził?

-

Daj że spokój! - zachnął się Zbyszek. - Też masz pomysły...

Innym znowu razem podeszła do niego na ulicy Baśka Krychow-ska. Lubił tę dziewczynę. Jeszcze za szkolnych lat przyjaźniła się z Agnieszką. Poszli na kawę do Nowego Światu. Początkowo opowiadała mu o swojej pracy w szpitalu, potem o kłopotach z narzeczo-nym, a wreszcie zaczęła mówić o Agnieszce.

-

Przyznam ci się, Stachu, że jestem o nią zaniepokojona. Z nią się dzieje coś niedobrego. Rozumiem, że ten straszny wypadek mógł

ją wytrącić z równowagi, ale wreszcie... Czekaj... Czekaj... Pozwól mi skończyć. Wiem, co chciałeś powiedzieć: że jestem obrzydliwie cyniczna. Może masz rację. Nie zapominaj jednak o tym, że jestem lekarką, a to jest zawód, który uczy człowieka patrzeć trzeźwo na wiele spraw. A poza tym... - zniżyła głos, jakby się bała, że ją ktoś może podsłuchać. - A poza tym wcale nie jestem przekonana o tym, że ona była w nim tak szalenie zakochana.

-  
No to po cóż wyszła za niego za mąż, chyba nie dla pieniędzy?

-  
O, na pewno nie! Agnieszka nie należy do tego typu kobiet, które lecą na forszę.

-  
No więc...?

Baśka wyjęła z paczki giewonta i w zamyśleniu poczęła obracać go w palcach. Wroński podsunął jej zapaloną zapalną. Głęboko za-ciągnęła się dymem.

-  
Widzisz... - powiedziała po chwili - ta historia od początku wydawała mi się dziwna. Cały czas byłam przekonana, że Agnieszka cię kocha.

- Ja także tak sądziłem - mruknął Wroński.

- Jeśli się orientuję, nie zaszło między wami nic takiego, co mogłoby jakoś zdecydowanie zmienić stosunek Agnieszki do ciebie.

-  
Niczego takiego sobie nie przypominam.

-  
No więc właśnie. Wiesz przecież, że żyjemy z Agnieszką bardzo blisko, przyjaźnimy się od pierwszej klasy. Komu jak komu, ale mnie powiedziałyby przecież, że coś się psuje w waszym małżeń-

stwie. Daję ci słowo, że sprawą z Gernerem byłam zaskoczona nie mniej od ciebie.

Rozmowa ta sprawiała Wrońskiemu wyraźną przykrość. Spytał:

-  
Czy nie moglibyśmy mówić o czymś innym?

Przyjacielskim ruchem dotknęła jego dłoni.

-

Nie gniewaj się, kochany. Nigdy bym nie rozmawiała z tobą na ten temat, gdyby nie to, że naprawdę bardzo poważnie niepokoję się o Agnieszkę.

-

Właściwie niezupełnie rozumiem... - zaczął Wroński.

-

Pozwól, że ci wyjaśnię, o co chodzi. Otóż wyczuwam w Agnieszce jakiś lęk. To nie jest rozpacz po stracie ukochanego człowieka, to jest strach. Ona się czegoś boi.

Wroński był wyraźnie zaskoczony. Znał dobrze Baškę i wiedział, że jest ona ostatnią istotą na świecie, którą można by posądzić o wybujałą imaginację. Była nawet przesadnie trzeźwa i rzeczowa.

Zapewne też dlatego nie miała powodzenia u mężczyzn, których przy każdej okazji lubiła oblewać zimną wodą.

-

Czegóż Agnieszka mogłaby się obawiać? Może ci się zdaje?

-

Nic mi się nie zdaje.

-

Próbowałaś z nią mówić na ten temat?

-

Oczywiście, i to niejednym razem. Ale nie udało mi się od niej wyciągnąć. Zrobiła się straszliwie skryta. Wyraźnie wyczuwam, że coś ukrywa.

- Więc jak sobie tłumaczysz zdenerwowanie Agnieszki?

-

Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ale... Widzisz... Wprawdzie o umarłych nie należy źle mówić, ale ten Gerner robił na mnie wrażenie skończonego hochsztaplera.

-

A gdyby nawet tak było w istocie, co to ma wspólnego z obawami Agnieszki, o których mówisz?

-

Czekaj... Nie denerwuj się. Może i ma. Jeżeli ten facet zaplą-

tał się w jakąś aferę, że mu strzelili w łeb, to nie jest wykluczone, że wciągnął Agnieszkę w jakieś mętne sprawy i że teraz ona... Rozumiesz mnie?

Wroński tak machnął ręką z wrażenia, że przewrócił filiżankę i wylał kawę.

-

Rozumiem, oczywiście, że rozumiem. Do licha, to, co mó-

wisz, jest najzupełniej logiczne. Ale co można zrobić w tej sytuacji?

Jeżeli Agnieszka nie chce mówić...

Baśka spojrzała mu w oczy i powiedziała:

-

Chciałam ci zaproponować, żebyś się zobaczył z Agnieszką.

-

Czy sądzisz, że to coś może dać?

- Nie wiem, ale uważam, że trzeba spróbować.

Któregoś dnia do pokoju, w którym zazwyczaj urzędował Wroń-

ski, wpadł Andrzej Rowicki.

-

Telefon do ciebie w sekretariacie. Dzwoni jakaś szalowa babka, śpiesz się.

„Szalową babką” okazała się matka Agnieszki.

-

Stasieczku kochany, dziwisz się zapewne, że do ciebie telefo-  
nuję. Nie gniewaj się, że ci zawracam  
głowę, ale bardzo chciałabym się z tobą spotkać gdzieś na chwileczkę. Nie zabiorę ci dużo czasu.

Gdybyś mógł o piątej w Telimenie. Naprawdę na chwileczkę.

Wroński wiedział z doświadczenia, że na taką „chwileczkę” musi sobie zarezerwować co najmniej  
dwie godziny czasu. Nie było rady.

Zgodził się. Zaraz, po obiedzie zasiadł w Telimenie i czekał.

Pani Chojecka przyszła z półgodzinnym opóźnieniem. Roztaczała wokół siebie mocną woń perfum. Była nieco zbyt fantazyjnie umalowana. Podczernionymi rzęsami mrugała kokieteryjnie, od czasu do czasu w dziecinny zduśnieniu, otwierając szeroko niebieskie oczy.

Modny kapelusik, z podwiniętym zawadiacko rondkiem, był niewątpliwie ostatnią kreacją jakiegoś znanego domu mody. Mimo swych pięćdziesięciu paru lat wyglądała jeszcze młodo i przyciągała zacie-kawione spojrzenia mniej zblazowanych mężczyzn.

Przywitała się pośpiesznie ze swym byłym zięciem, siadła, wyjęła z torby ogromną puderniczkę i pogрузyła się bez reszty w pracy nad podniesieniem walorów makijażu.

Wreszcie skończyła. Schowała puderniczkę i zaczęła mówić.

-

Kochany Stasiuniu, bardzo cię dawno nie widziałam. No, co u ciebie słychać? Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam. A wiesz, że ty nieszczególnie wyglądasz? Nie ma się kto tobą zająć, biedaku. Oj, tak, samotność to przykra rzecz, bardzo przykra, szczególnie dla mężczyzny. No cóż... różnie się ludziom układa. Raz dobrze, raz źle, takie to już życie. Trzeba przyznać, że i ludzie sobie nieraz sami życie komplikują, szukają nie wiadomo czego. Ale trzeba mieć dla ludzi dużo wyrozumiałości, nie można tak od razu kogoś potępiać. Z biegiem lat doszłam do przekonania, że najważniejszą sztuką w życiu jest sztuka przebaczenia. Tak, mój drogi, tak, trzeba umieć przebaczać. Mizernie wyglądasz, kochany, bardzo mizernie.

Tak się jakoś ludzie marnują. Agnieszka także mizernie wygląda, bardzo. A jaka zdenerwowana... Pojęcia nie masz. Po prostu trudno z nią rozmawiać. Zaczynam się o nią poważnie obawiać. Bo to teraz takie modne te różne choroby nerwowe. Potrzebne jej było to wszystko? No powiedz, mój drogi?

-

Nie wiem - mruknął Wroński. - Widocznie potrzebne.

- Ach, mój Boże, mój Boże - westchnęła pani Chojecka i wsunęła sobie do ust spory kawałek szarlotki z kremem. - Jak to wszystko się fatalnie pokręciło. Ja od samego początku byłam przeciwna temu bezsensownemu małżeństwu z Gernerem. No prawda, że za-możny, solidny człowiek, ale... Moim zdaniem nie powinien się że-nić z Agnieszką. To nie było z jego strony uczciwe. Starszy człowiek, którego mają zamordować, nie powinien się żenić z młodą dziewczyną. Mój Stasieczku, i po cóż tyś się wtedy tak łatwo zgodził

na ten rozwód?

Wroński z irytacją zgasił papierosa.

-

Nie mam zamiaru trzymać kogoś przy sobie wbrew jego woli.

Jak to sobie w ogóle mamusia wyobraża?

Pani Chojecka nerwowo zatrzepotała rękami.

-

Ach, nie, ach, nie. Nie miałam tego na myśli. Nie gniewaj się.

Wszyscy teraz mamy tak rozstrojone nerwy. Mnie to na nerwy najlepiej robi kino. A propos: może byśmy poszli wieczorem gdzieś do kina? Widziałeś *Matkę Joannę od Aniołów*?

-

Nie widziałem, ale niestety, dzisiaj nie mogę iść do kina. Jestem zajęty.

-

To szkoda. To wielka szkoda. No, ale innym razem się wybieremy. Zabierzemy może ze sobą Agnieszkę? Powinna się dziewczyna trochę rozerwać. Niepodobna tak ciągle siedzieć w domu i rozmyślać. Toż to w końcu można naprawdę dostać kręćka.

Agnieszka jest w fatalnym stanie nerwów, po prostu w fatalnym.

Wiem, że całkowita wina jest po jej stronie. Ale jestem głęboko przekonana, że gdybyś tylko chciał, to wszystko między wami mogłoby być tak jak kiedyś.

Pospieszenie wypła kawę i odsunęła się od stolika, jakby się obawiała wybuchu ze strony byłego zięcia.

Wroński nie od razu odpowiedział. Machinalnie mieszał łyżeczką cukier, wylewając zawartość filiżanki na spodeczek.

-

Nie sądzę, żeby to było możliwe. Za dużo rzeczy się stało, za dużo nas dzieli. To nie są sprawy, nad którymi można by przejść do porządku dziennego, ot tak sobie. Może inni to potrafią, ja nie. Zbyt gorąco kochałem Agnieszkę, żeby teraz...

-

Właśnie dlatego, właśnie dlatego - podchwyciła z ożywieniem pani Chojecka. - A może jeszcze do tej pory nie jest ci zupełnie obojętna...?

Pani Chojecka posmutniała.

-

No cóż... jak chcesz, kochany. Ale widzisz, tak bym chciała, tak bardzo bym chciała, żebyście się pogodzili, żebyście do siebie wrócili. Nie masz pojęcia, nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo Agnieszka teraz ciebie potrzebuje. Proszę cię, bardzo cię proszę, zastanów się. Pomóż Agnieszce!

Wroński skinął na przechodzącą obok kelnerkę.

-

Proszę, płacić.

Po tych rozmowach upłynęło kilka dni. Wroński był zavalony robotą w redakcji i nie miał czasu na zajęcie się swymi prywatnymi sprawami. Ciągle jednak rozmyślał o tym, co słyszał od Baśki Krychowskiej i od teściowej. Wiadomości o złym nastroju Agnieszki dochodziły do niego z różnych stron. Posiadały najrozmaitsze odcie-nie, ale sens ich był bardzo podobny. Agnieszka znajdowała się w fatalnym stanie nerwów. Baśka twierdziła, że główną przyczyną jej zdenerwowania jest strach. Przecież już wtedy, Pod Kurantem, mó-

wiła, że się czegoś boi, że jest niespokojna. Zdecydowała się do niego zadzwonić, prosiła o spotkanie. W parę godzin potem Gerner...

W rozmowie z Downarem zaprzeczyła wszystkiemu. Co się za tym kryło? Czy wolno mu ją tak zostawić bez żadnej pomocy? A jeżeli rzeczywiście grozi jej niebezpieczeństwo, jeżeli rzeczywiście Gerner wciągnął ją w jakieś ryzykowne przedsięwzięcie, które sam przyplacił życiem? Trzeba to zbadać i w razie czego pomóc Agnieszce.

Wroński powziął postanowienie. W sobotę po południu ogolił się starannie, włożył czystą koszulę i pojechał na Bielany. Początkowo miał zamiar zadzwonić do Agnieszki, ale potem zrezygnował. Może nie chciałaby się z nim spotkać i wtedy znalazłby się w trudnej sytuacji. Wolał działać przez zaskoczenie.

Kiedy wchodził na górę, dziwnym mu się wydało, że on tu już nie mieszka, że to nie jest jego dom. Ileż to razy zbiegał tymi schodami w dół po mleko, po pieczywo, po papierosy. Przygotowywała kolację. Czekala na niego. Byli szczęśliwi. Tak mu się przynajmniej wydawało. To wszystko takie niedawne, a tak straszliwie w tej chwili odległe...

Zatrzymał się przed dobrze znanymi drzwiami Zawahał się. Czy rzeczywiście powinien jej narzucić swoją obecność? Czy nie będzie uważać tego za natręctwo z jego strony albo, co gorsza, za brak ambicji?

A niech sobie myśli, co chce. Nacisnął czerwony guzik. Dźwięk dzwonka wydał mu się ostry jak sygnał alarmowy. W mieszkaniu nikt się nie poruszył. Po chwili zadzwonił znowu. Tym razem dłużej trzymał palec na dzwonku. „Nie ma jej” - pomyślał i doznał uczucia bolesnego zawodu. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, jak bardzo chciał ją zobaczyć.

Skrzypnęła podłoga. Za drzwiami rozległ się niespokojny głos Agnieszki:

-

Kto tam?

Powiedział swoje imię i nazwisko. Zabrzmiało to może trochę zbyt oficjalnie.

-

To ty, Stachu? Naprawdę ty?

-

Ależ tak, to ja. Otwórz. Pośpiesznie szczęknęła zasuwa.

Doznał dziwnego uczucia, wchodząc do swojego mieszkania w charakterze gościa. Agnieszka była bardzo blada.

-

Cieszę się, że przyszedłeś. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Mogłeś mnie nie zastać w domu.

Głos jej się łamał. Otwartymi ustami szybko chwytała powietrze.

Była zadyszana, jakby przed chwilą wbiegła na trzecie piętro.

-

Miałem coś do załatwienia w tej okolicy i przy okazji wstąpi-

łem do ciebie - skłamał Wroński. - Chciałem się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

-

To bardzo ładnie z twojej strony, że sobie o mnie przypomniałeś. Proszę cię, wejdź.

Wprowadziła go do pokoju, który kiedyś był jego pokojem. Nic tu się nie zmieniło, tylko półki z książkami stały teraz pod inną ścianą.

Usiedli. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Trudno im było zacząć tę rozmowę. Pierwszy odezwał się Wroński:

-

W dalszym ciągu pracujesz w Metalexporcie?

-

Tak. Oczywiście. Teraz mam urlop.



-  
I nigdzie nie wyjeżdżasz?

-  
Nie. Miałam zamiar pojechać do Kudowy, ale... Odechciało mi się. Wolałam zostać w Warszawie.

Wroński nerwowym ruchem zapalił papierosa. Nie bardzo wiedział, jak podtrzymać rozmowę. To go drażniło.

- Widzisz, Agnieszko... właściwie to ja... właściwie przyszedłem, żeby cię zapytać, czy ci czegoś nie potrzeba, czy nie mógłbym ci być w czymś pomocny? Wiesz przecież, że w razie czego zawsze możesz na mnie liczyć.

Odwróciła głowę. Wydało mu się, że w oczach jej dojrzał łzy.

-  
Bardzo ci dziękuję, ale nie potrzebuję niczyjej pomocy.

-  
Sądziłem, że może...

-  
Nie, nie, dziękuję ci. Nic mi nie trzeba, naprawdę nic. - Powiedziała to tak, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

Nie wiedział, jak się zachować, co powiedzieć. Tak bardzo pragnął jej dopomóc, pocieszyć. Serce mu się ścisnęło, gdy patrzył na tę zmęczoną, mizerną twarz, na niespokojne oczy, w których czaił się strach.

-  
Ostatnio widzieliśmy się Pod Kurantem. Wydawało mi się wtedy, że masz do mnie jakąś ważną sprawę. Nie zdążyłaś powiedzieć, bo twój znajomy przerwał naszą rozmowę.

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Spojrzała w kierunku drzwi.

-  
Czy sądzisz, że ktoś nas podsłuchuje? - spytał Wroński. Wstał

i zajrzał do sąsiedniego pokoju. Nie było tam nikogo. - Coś ty taka zdenerwowana? Co ci jest?

Nic, nie, nic, naprawdę nic. Zdaje ci się.

Podszedł do Agnieszki i delikatnie wziął ją za rękę.

-

Posłuchaj mnie, kochanie. Przecież jesteśmy w dalszym ciągu przyjaciółmi. Nie rozstaliśmy się w gniewie. Przyznaję, że byłem tym wszystkim zaskoczony. W pierwszej chwili miałem nawet do ciebie żal. Ale... potrafiłem to sobie wyperswadować. No cóż... każ-

demu się może zdarzyć, że się zakocha, że napotka na swojej drodze kogoś takiego, bez kogo nie wyobraża sobie życia i...

-

Proszę cię, przestań! - zawołała Agnieszka i wyrwała rękę z jego dłoni.

-

Mówię to wszystko dlatego - ciągnął Wroński - żeby cię zapewnić o mojej przyjaźni. Chciałbym, żebyś miała do mnie więcej zaufania. Widzę, że jesteś jakaś bardzo zdenerwowana, niespokojna, że coś cię gnębi. Bo to nie jest tylko rozpacz po utracie kochanego człowieka... Może znajdujesz się w jakiejś takiej sytuacji, z której nie umiesz znaleźć wyjścia? Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby ci pomóc. Zaufaj mi!

Wstała, podeszła do okna i oparła rozpalone czoło o szybę.

-

Nic mi nie trzeba, nic mi nie trzeba. Nie męcz mnie.

Wobec jej uporu czuł się bezsilny. Teraz już wiedział na pewno, że obawy Baśki były całkowicie uzasadnione. Nie potrafił jednak przełamać milczenia Agnieszki. Poczynał ogarniać go gniew.

-

A może masz większe zaufanie do milicji aniżeli do mnie.

Powiedz! Poproszę Downara, żeby cię znowu odwiedził.

Odwróciła się gwałtownie.

-

Nie rób tego. Błagam cię na wszystko! Nie rozmawiaj na mój temat ani z Downarem, ani z nikim z milicji. Zaklinam cię, Stachu...

Jeżeli nie chcesz, żeby się to wszystko dla mnie tragicznie skończy-

ło, to nie mieszaj w te sprawy milicji. Musisz mi to przyrzec!

Patrzył na nią zaskoczony tym nagłym wybuchem.

- Jeżeli sobie nie życzysz, to oczywiście z nikim na ten temat nie będę rozmawiał. Ale zrozum, kochanie, że jestem o ciebie niespokojny i chciałbym ci pomóc.

-

Wiem, wiem. Bardzo ci dziękuję za dobre chęci, ale nikt mi pomóc nie może. Chciałabym skończyć rozmowę na ten temat. Nie gniewaj się.

Wroński wzruszył ramionami.

-

Dobrze. Jak sobie życzysz. Nie mam zamiaru narzucać ci się z pomocą. W każdym razie pamiętaj o tym, że zawsze możesz na mnie liczyć. Do widzenia.

-

Idziesz już?

-

Tak. Nie chcesz ze mną szczerze pogadać, to trudno. Nie będę ci dłużej zabierał czasu. Sądzę, że o pogodzie możemy sobie porozmawiać innym razem. Aha, byłbym zapomniiał. Oddaję ci twoją własność. Proszę.

Wyjął z kieszeni metalową klamrę do włosów, którą znalazł u Korzybskiej.

- Ach, tak - skinęła głową obojętnie. - Zupełnie o tym zapomniałam. Dziękuję ci. Podziękuj Krystynie.

-

Krystynie?

Spojrzała na niego zdziwiona.

-

No tak. Podziękuj Krystynie, że pamiętała o tym drobiazgu.

Wroński postanowił nie wyjaśniać sytuacji. Wyciągnął rękę na pożegnanie.

-  
Do widzenia. A w razie potrzeby dzwoń do mnie, o każdej porze dnia i nocy. Nie krępuj się.

-  
Dziękuję ci - powiedziała Agnieszka i odprowadziła go do przedpokoju.

Znalazłszy się na ulicy, Wroński stanął niezdecydowany. Co dalej? Co robić? Jakie kroki przedsięwziąć, żeby uchronić Agnieszkę przed nieznanym niebezpieczeństwem? Zachowanie się jej wyraźnie świadczyło o tym, że coś się dzieje. Wyglądała na sterroryzowaną przez kogoś. Ale przez kogo? Kto ją prześladowuje? Dlaczego nie chce nic powiedzieć? Dlaczego nie chce, żeby jej pomóc? Dlaczego tak panicznie boi się interwencji milicji?

Piętnastką dojechał do placu Zbawiciela. Następnie zaś przesiadł

się w czwórkę. Intrygowała go sprawa tej kłamry do włosów. Postanowił wybadać Krystynę.

Zastał ją w domu. Malowała obrazki na szkle. Było to jej najnow-sze hobby.

- Jak to dobrze, Stasieczku, że już wróciłeś - ucieszyła się. -

Dawno cię nie widziałam.

-  
Ostatnio rzeczywiście widujemy się dość rzadko - zauważył

Wroński.

-  
Napijesz się kawy?

-  
Chętnie, ale pod warunkiem że nie będę musiał sam parzyć.

-  
Nie, nie. Mam gorącą kawę. Siadaj. Zaraz ci przyniosę.

„Co ona tak dzisiaj rodzinie nastrojona?” - pomyślał

Wroński i zagłębił się w wygodnym fotelu. Nie był przyzwyczajony do takiej serdeczności siostry. Przyniosła kawę i kruche cia-steczka.

Masz, kochany. Posił się. Co u ciebie słyhać?

-

Nic specjalnego. Pracuje się, jak zwykle.

-

Powiedz mi, Stasieczku, czy to prawda, że masz zamiar zejść się z Agnieszką?

Spojrzał na nią zaskoczony.

-

Nic podobnego. Kto ci to powiedział?

-

Nie wiem. Nie przypominam sobie. Tak ludzie mówią... Możliwe, że słyżałam to od twojej byłej teściowej, pani Chojeckiej.

-

Stara plotkara - mruknał Wroński.

-

Bardzo miła i kulturalna osoba. - Ach, dajże spokój... Krystyna umoczyła pędzel w czerwonej farbie. - No cóż... właściwie nie byłoby to nic nadzwyczajnego, żebyście wrócili do siebie. Takie rzeczy się przecież zdarzają. Agnieszka zrobiła głupstwo, rozchodząc się z tobą dla tego Gernerera. Może to byłoby dobrze, żebyście się pogodzili... Szkoda mieszkania. Przecież ona nie utrzyma sama takiego metrażu.

Wroński niecierpliwym ruchem odstawił filiżankę z kawą.

-

Proszę cię, nie mówmy na ten temat. A jeśli chodzi o sprawę mojego mieszkania, to mogę cię zapewnić, że niedługo się od was wyprowadzę. Prawdopodobnie już w przyszłym miesiącu.

-

Ależ źle mnie zrozumiałeś, kochany - oburzyła się Krystyna. -

Wcale nie to miałam na myśli. Po prostu pragnę twego dobra.

Agnieszka to miła dziewczyna, a że zrobiła głupstwo, no to trudno, każdemu się zdarza. Dawno ją

widziałeś?

-

Dzisiaj.

-

No i...?

-

No i nic. Prosiła, żeby ci podziękować za klamrę do włosów!

Krystyna zdziwiła się. Podniosła brwi do góry.

-

Klamrę do włosów?

-

No tak. Taką metalową.

- Ach, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Byłyśmy kiedyś z Agnieszką w Bristolu i rozleciało mi się uczesanie. Myłam poprzedniego dnia włosy i dlatego pożyczyła mi tę klamrę. Bardzo się cieszę, że jej odniosłeś. Dziękuję ci.

Wroński w zamyśleniu palił papierosa. Wydało mu się, że w słowach siostry zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. Postanowił ostrożnie wybadać teren.

- Antoniego nie ma w domu? - spytał.

-

Nie. Znowu ma jakąś konferencję czy zjazd. Mówił, że wróci późnym wieczorem.

-

Zaniedbuje cię twój małżonek.

Westchnęła.

-

Cóż robić. Jest bardzo zajęty. Ma masę pracy.

-

Byliście gdzieś ostatnio, w jakimś kinie czy teatrze?

-

Ale skądże. Z Antosiem już od miesiący nigdzie nie byłam.

Jeżeli pójde czasem do kina, to z którąś z moich kum. Ostatnio widziałam *Pożegnanie z bronią*.  
Słabe.

-

A ja byłem niedawno na rewii - powiedział Wroński. - Program marny, ale Korzybska doskonała.  
Znasz ją?

Krystyna potrząsnęła głową.

-

Osobiście nie. Znam ją ze sceny, z telewizji, kilka razy słyszałam ją w radiu. Dlaczego pytasz, czy ją znam?

-

Nie, nic. Tak sobie zapytałem.

-

Podoba ci się?

-

Owszem. Bardzo miła dziewczyna.

Pogroziła mu palcem.

-

Uważaj, Stasieczku. Flirty z aktorkami bywają niebezpieczne.

Uśmiechnął się.

-

Nie obawiaj się o mnie. A flirty to są w ogóle dosyć ryzykowne historie. No... bardzo ci dziękuję,  
siostrzyczko, za doskonałą kawę. Pójde się trochę przespać. Jestem dzisiaj dziwnie zmęczony.

-

Idź, idź. Odpocznij.

Leżąc na tapczanie, Wroński myślał o Agnieszce. Dokładnie pamiętał każdy szczegół ich rozmowy, ich nieudanej rozmowy. Nie dał

sobie rady. Nie zdołał stworzyć atmosfery sprzyjającej zwierzeniom.

Dlaczego właściwie nie chce z nim szczerze pomówić? Czego czy kogo się boi? Jak rozszyfrować tę zagadkową historię? Czy próbować jeszcze raz porozumieć się z byłą żoną?

Jaką rolę gra w tym wszystkim Krystyna? Zostawiła u Korzybskiej klamrę Agnieszki. Twierdzi, że nie zna Korzybskiej. Dlaczego kłamie? Gdyby to była kawalerka jakiegoś przystojnego młodego człowieka, to sprawa wyglądałaby o wiele prościej. Krystyna nie należała do najcnotliwszych i najwierniejszych żon. Do znajomości z Korzybską mogła się przecież śmiało przyznać. To nie było nic kompromitującego. A jeżeli Agnieszka odebrała już dawniej swoją własność od Krystyny i jeżeli to ona zostawiła klamrę u Korzybskiej...? Niełatwo było znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Co robić? Jak działać? Czy zobaczyć się z Downarem i podzielić się z nim obserwacjami? W tej chwili zadźwięczały mu w uszach słowa Agnieszki: „...Jeżeli nie chcesz, żeby się to wszystko dla mnie tragicznie skończyło, nie mieszaj w te sprawy milicji”. Musiała mieć bardzo poważne powody, żeby tak powiedzieć. Agnieszka nie była histeryczką, nie miała skłonności do egzaltacji.

Zapalił nowego papierosa, ale natychmiast zgasił go z uczuciem wstrętu. Czuł gorzki smak w ustach i nieznośne drapanie w gardle.

Był zatruty nikotyną.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Szeroko otworzył okno. Odetchnął pełną piersią. Poczuł, jak wraz ze świeżym powietrzem wstę-

puje w niego nowa energia. W tej chwili powziął decyzję. Nie będzie szukał pomocy u Downara. Nie będzie mieszał w to milicji. Sam sobie da radę. Ostatecznie nie od dziś zajmuje się sprawami krymi-nalnymi. Zna się trochę na tym. Z powodzeniem mógłby od zaraz objąć funkcję oficera śledczego. Jeżeli Agnieszka zaklina go, żeby nie mówił na jej temat z milicją, to może rzeczywiście lepiej tego nie robić. Poradzi sobie i bez Downara!

Postanowił działać natychmiast. W tej chwili jedynym punktem zaczepienia była Korzybska. Powiedział Krystynie, żeby nie czekali na niego z kolacją, i pojechał do teatru.

Trafił akurat na przerwę. Od razu poszedł za kulisy. Minę miał

tak pewną siebie i ruchy tak zdecydowane, że nikt go nie zatrzymał.

Spotkało go jednak przykre rozczarowanie. Otyły funkcjonariusz poinformował go beznamiętnym głosem, że z powodu choroby pani Korzybska dzisiaj nie występuje. Tego nie przewidział. Co robić?

Wracać do domu? Pojechać na Senatorską? Ta druga koncepcja wydała mu się bardziej atrakcyjna.



Czy jednak wypadało mu odwiedzić niespodziewanie chorą śpiewaczkę? Znał ją przecież tak mało. Trzeba było obmyślić jakiś pretekst. Miał nadzieję, że w autobusie przyjdzie mu coś genialnego do głowy.

Na Nowym Świecie wsiadł w setkę. Na próżno jednak wysiłał

umysł. Nie mógł wymyślić nic takiego, co by usprawiedliwiało jego nieoczekiwaną wizytę.

Wyskoczył z autobusu na placu Teatralnym. Zaczął iść wolno, szukając rozpaczliwie w myśli jakiegoś wyjścia. Wszystkie jednak pomysły wydawały mu się tak fantastyczne, że o zrealizowaniu któ-

regoś z nich nie można było nawet marzyć. Trudno, musiał odłożyć na kiedy indziej rozmowę z Korzybską.

Naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie ulicy, stała taksówka.

-

Wolny? - spytał Wroński.

-

Nie widzisz pan, że zajęty? - odburknął szofer.

W tej chwili z błyszczących oknami wystawowymi bloków wyszedł wysoki mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu i skierował

się do wozu. Wroński drgnął. To był ten sam przystojny brunet, któ-

ry wtedy Pod Kurantem przerwał mu rozmowę z Agnieszką.

Trzasnęły drzwi taksówki. Zawarczał motor. Nie było chwili do stracenia. Wroński pochylił się i spytał szofera:

-

Może by mnie pan podwiózł na Mokotów?

-

Na jaki Mokotów? Jadę na Bielany.

Ruszyli. Granatowa warszawa skręciła w prawo na placu Dzierżyńskiego.

Wroński postać chwilę, namyślając się co robić. Wreszcie się zdecydował. Postanowił zablefować.

Do diabła, niech się dzieje, co chce. Jeżeli się uda, może dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy.

Wyjął z kieszeni rękawiczki i wbiegł na klatkę schodową, na której mieszka Korzybska.

Zadzwonił. Otworzyła mu niemal natychmiast. Tak jakby stała w przedpokoju. Miała na sobie ten sam ciemnoszary kostium, w któ-

rym ją widział w Bristolu. Nie wyglądała na chorą.

Dostrzegł zdziwienie w jej oczach.

-

Nie wiem, czy pani mnie sobie przypomina - powiedział, kłaniając się.

-

Ależ oczywiście.

-

Bardzo przepraszam, że panią niepokoję, ale odwiedziłem tutaj moich przyjaciół i znalazłem pod pani drzwiami rękawiczki. Są-

dziłem więc...

Uśmiechnęła się.

-

Dziękuję. Proszę może pan wejdzie na chwilę. Napije się pan kawy?

-

Nie, nie, bardzo dziękuję. Niech się pani nie fatyguje. Ja naprawdę tylko na chwileczkę.

Przyglądała mu się. Ironiczny uśmieszek nie schodził z jej warg.

Był speszony. Czynił rozpaczliwe wysiłki, aby nawiązać dowcipną, błyskotliwą rozmowę. Pustka, którą czuł w głowie, była nie do przewyciężenia.

-

Piękny mamy dzisiaj wieczór - powiedział.

Przestała się uśmiechać. Z komiczną powagą skinęła głową.

-

Rzeczywiście, wieczór jest bardzo piękny. Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma.

Zadzwieczał dzwonek.

Wroński drgnął. Korzybska wstała gwałtownie i wybiegła do przedpokoju. Rozległ się niski, męski głos.

- Proszą panią do telefonu.

Wyszła. Wroński został sam. Ze zdziwieniem spojrzął na aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę. Nie było sygnału.

Zapalił papierosa i począł rozglądać się po pokoju. Nieustannie wracał spojrzeniem do dużej, czarnej torby, leżącej na stoliku. Dwa razy wyciągał rękę i dwa razy ją cofał. Nie mógł się zdecydować.

Sam właściwie nie wiedział, dlaczego torba tak go fascynuje. Wreszcie przemógł wewnętrzne opory. Błyskawicznym ruchem otworzył

zamek. Od razu spostrzegł paszport. A więc Korzybska wybierała się za granicę. Tylko że paszport był wystawiony na nazwisko Agnieszki Lubertowej, z domu Chojeckiej. Ale fotografia była Korzybskiej, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Tak był zaskoczony swym odkryciem, że zapomniał o grożącym niebezpieczeństwie. Dopiero trzask otwieranych drzwi wyrwał go z zadumy. Dosłownie w ostatnim momencie odłożył na miejsce torbę i chwycił gazetę, udając zaczytanego.

-

Bardzo przepraszam, że zostawiłam pana samego - powiedziała Korzybska – ale popsuł mi się telefon i muszę chwilowo korzystać z uprzejmości sąsiadów. Jakaś komplikacja z kablem, czy coś w tym rodzaju.

Wroński wstał.

-

Nie będę pani dłużej zabierał czasu. Przepraszam za najście.

Jeżeli pani pozwoli, to może któregoś dnia odwiedzę panią w teatrze.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

-

Nie zatrzymuję pana, boja także muszę zaraz wyjść. Jestem umówiona na mieście. Ale... - zawahała się chwilę, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć. Spojrzała na niego niezdecydowanie.

Uklonił się i wyszedł do przedpokoju. Kiedy przekreślał zatrząsk, podeszła do niego blisko i powiedziała, zniżając głos niemal do szep-tu:

-

Wolałabym, żeby mnie pan nie odwiedzał ani w teatrze, ani w domu. Tak będzie lepiej. Proszę mi wierzyć. Niech pan nie usiłuje widywać się ze mną.

Był zaskoczony.

-

No cóż... Jak pani sobie życzy. Nie mam najmniejszego zamiaru narzucać się pani.

-

-

Proszę się na mnie nie gniewać, ale wolę, żebyśmy się nie widywali. Aha... i jeszcze jedno: niech pan zabierze swoje rękawiczki. Są jeszcze zupełnie dobre. To nie był zbyt pomysłowy pretekst. - Podała mu rękawiczki i otworzyła drzwi. - Żegnam pana.

Pośpiesznie zbiegł ze schodów.

Zwolnił kroku dopiero na placu Dzierżyńskiego. Z wściekłością uderzał rękawiczkami po rękę. Zrobiła z niego durnia. Zbłąźnił się, całkowicie się zbłąźnił. I on chce odegrać rolę detektywa?

Wsiadł do czwórki. Zapłacił za bilet i przeszedł na przednią platformę. Pesymistyczne rozważania na temat własnej osoby ustąpiły niebawem pod naporem innych myśli. Paszport znaleziony przypadkowo w torbie Korzybskiej to była sprawa, nad którą warto się było zastanowić. Dlaczego Korzybska miała paszport wystawiony na nazwisko Agnieszki? A właściwie niezupełnie. Agnieszka przecież nie nazywała się Lubertowa. Nazwisko panieńskie Chojecka zgadza-

ło się, ale z męża... Wrońska, Gernerowa, w porządku, w żadnym wypadku jednak nie Lubertowa.

A może Agnieszka po raz trzeci wyszła za mąż, natychmiast po śmierci Gnera?

Nieprawdopodobne! Nie ulegało wątpliwości, że paszport był sfałszowany. Wklejenie innej fotografii nie było takie bardzo trudne, ale wpisanie do paszportu innego nazwiska nie nale-

żało do rzeczy najprostszych. Dlaczego Korzybskiej zależało na tym, żeby występować pod fałszywym nazwiskiem? Czy fałszerstwa paszportu dokonała z wiedzą Agnieszki? Czy zdenerwowanie Agnieszki ma coś wspólnego z tą sprawą?

Wroński zadawał sobie dziesiątki pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie potrafił nawet stworzyć sobie jakiejś fikcyjnej teorii, do której mógłby jakoś przyczepić znane sobie fakty. Tajemnicze morderstwo Gnera, dziwne zachowanie się Agnieszki, klamra Agnieszki w mieszkaniu Korzybskiej, teraz paszport, no i niesamowity „pamiętnik mordercy”, znaleziony w hotelu w

Augustowie przez Andrzeja... Wreszcie te wszystkie kłamstwa! Agnieszka kłamie, Krystyna kłamie. Sam diabeł się w tym wszystkim nie połapie.

A może jednak pogadać z Downarem? Ale nie... Agnieszka błagała go, żeby nie zwracał się do milicji.

Wroński czuł instynktownie, że sprawa tego paszportu jest ważna i że powinien się podzielić odkryciem z Downarem. Nie chciał jednak tego zrobić. Nie chciał dawać Stefanowi nowych atutów do ręki.

Głos przekory szeptał mu nieustannie: „Nie mów nic Downarowi.

Nie mów nic Downarowi. Niech sobie sam radzi, kiedy taki mądry, sławny detektyw”. Chęć prowadzenia śledztwa na własną rękę była silniejsza niż nakaz zdrowego rozsądku. A zresztą nie można było lekkomyślnie narażać Agnieszki na niebezpieczeństwo. To był naj-istotniejszy argument, który ostatecznie przeważył szalę. Wroński postanowił w dalszym ciągu działać sam. Kiedy wszedł do przedpokoju, posłyszał głos Krystyny.

-

To ty, Stachu?

-

Tak, to ja. Dobry wieczór. Nie śpisz jeszcze?

-

Nie. Czekam na Antosia.

Z głośnika radiowego płynęły łagodne tony muzyki kameralnej.

Krystyna malowała na szkle. Wroński uważniej przyjrzał się siostrze.

Była blada i jakby zgaszona. Zdziwił się. Dotychczas nigdy jej takiej nie widział.

- Siadaj, Stachu.

Usiadł i zapalił papierosa. Nagle powziął decyzję.

-

Dlaczego mnie okłamałaś? - spytał.

Podniosła na niego zdziwione spojrzenie.

-

Okłamałam? Ja ciebie? Nie rozumiem.

-

Powiedziałaś mi, że nie znasz Korzybskiej.

-

Bo jej nie znam.

Głos Krystyny był tak spokojny i opanowany, że Wrońskiego zbi-  
ło to z tropu. Wyobrażał sobie, że ją zaskoczy, że się zmiesza.

-

Klamrę do włosów, którą pożyczyłaś od Agnieszki, znalazłem w łazience u Korzybskiej. Co to  
znaczy?

Uśmiechnęła się i beztroskim ruchem wypłukała pędzel w wodzie.

-

Nie wiedziałam, że masz takie utalentowane przyjaciółki -  
zauważyła.

Poderwał się.

-

Nie próbuj mnie zagadywać. To się na nic nie zda. Powiedzia-

łem, że znalazłem klamrę Agnieszki w łazience Korzybskiej. A ty mi oświadczyłaś, że nie znasz  
Korzybskiej. W jaki więc sposób ta klamra znalazła się w jej łazience?

-

Zapewne w taki sposób, że niejedną taką klamrę do włosów można znaleźć w Warszawie.

-

To nieprawda. Takiej klamry nikt nie ma! Agnieszka kazała ją sobie zrobić z broszki, którą jej  
przywiozłem z Indii.

-

Czy sądzisz, że tylko ty jeździłeś do Indii? Nie dalej jak wczoraj jeden z moich znajomych lekarzy

wyjechał do Kalkuty. A jeśli chodzi o tę klamrę, to radzę ci, odbierz ją od Agnieszki i oddaj pani Korzybskiej jej własność. Klamra Agnieszki jest jeszcze ciągle u mnie.

Wstała, podeszła do biurka, z szuflady wyjęła metalową klamrę do włosów i pokazała ją bratu. Wroński osłupiał.

## ROZDZIAŁ VII

Wroński źle spał tej nocy. Niespokojnie przewracał się z boku na bok. Często się budził, wstawał, szedł do łazienki pić wodę. Głowę miał rozpaloną, wargi spierzchnięte. Dręczyły go koszmarne sny.

Rano wstał blady, niewyspany, zupełnie rozbity. Ledwie powłóczył nogami. Dopiero zimny prysznic trochę go otrzeźwił. Wypił szklankę mocnej herbaty i zapalił papierosa. Nie mógł nic jeść.

- Może to grypa - mruknął, dotykając rozpalonego czoła.

Zmierz sobie gorączkę - rzekła Krystyna, spoglądając niespokojnie na brata.

Zmierzył. Trzydzieści sześć i siedem. A więc nie grypa.

Ciągle jeszcze nie mógł się otrząsnąć z sennych widziadeł. Przed oczami stawała mu nieustannie blada, tragiczna twarz Agnieszki.

Postanowił zaraz do niej pojechać. Zadzwoił do Fabiana i powiedział, że się źle czuje i że nie przyjdzie dzisiaj do redakcji.

Pewnie masz kaca - zadudnił w słuchawce tubalny głos. -

Przyznaj się, gdzieś pił wczoraj?

Daj spokój, Kaziu! Kropli wódki w ustach nie miałem. Musiałem się gdzieś przeziębic. Te ciągle zmiany temperatury...

No dobra, dobra, nie tłumacz się. Na dzisiaj cię zwalniam, ale jutro pokaż się w redakcji. Mam do ciebie parę spraw.

Wroński pojechał na Bielany. Chciał za wszelką cenę nakłonić Agnieszkę do szczerzej rozmowy. W

ostateczności zagrozi jej, że zwróci się o pomoc do Downara. Musiał też wyjaśnić sprawę tej klamry. Nie mógł w to uwierzyć, żeby Korzybska miała identyczną klamrę do włosów.

Kiedy znalazł się przed drzwiami, wyczuł instynktownie, że w mieszkaniu nie ma nikogo. Zadzwoił. Cisza. Zadzwoił drugi raz, trzeci, czwarty. Nikt się nie poruszył. „Wyszła już? Tak wcześnie?” - pomyślał zdziwiony. Postać chwilę i znowu zadzwonił. Bez skutku.

Począł wolno schodzić po schodach. „A może zeszła tylko na dół po pieczywo?”

Na półpiętrze spotkał znajomego listonosza.

-

Moje uszanowanie panu redaktorowi. Cieszę się, że spotykam pana redaktora. Już drugi dzień chodzę z listem do pana Gnera. Nie mogę nikogo zastać. Może by pan redaktor przyjął?

-

Dobrze - powiedział Wroński. Pokwitował odbiór i dał listo-noszowi dwa złote.

-

Dziękuję uprzejmie. Moje uszanowanie. Podłużna lotnicza koperta. Znaczkę argentyńskie. Pismo maszynowe. Señor Edmundo Gerner...

Niezdecydowany obracał list w palcach. Co robić? Otworzyć?

Nie wypada mu tego zrobić. W tej chwili korespondencja Gnera należy do Agnieszki. Powinien jej oddać ten list. Wsunął kopertę do bocznej kieszeni marynarki i ruszył w dół. Na pierwszym piętrze pojawiła się refleksja: a jeżeli list prowadzi do rozwiązania zagadki?

Jeżeli zawiera coś takiego, co umożliwi mu wydobyć Agnieszki z trudnej sytuacji? Czy ma z tego zrezygnować? Gerner nie żyje, więc...

Przystanął, wyjął list i rozerwał kopertę.

„Querido Amigo...”

Zaledwie kilka linijek gęstego maszynopisu. List był pisany w oj-czystym języku Cervantesa. Wroński nie znał hiszpańskiego. Wpatrywał się w tekst i na próżno usiłował go rozszyfrować. Trzeba było zwrócić się do kogoś o pomoc.

Piętnastką dojechał do Hożej. Pamiętał, że na Wspólnej znajduje się biuro tłumaczeń.



Szczęśliwym trafem zastał specjalistę od języka hiszpańskiego.

Parę minut i tłumaczenie było gotowe.

„Drogi przyjacielu, niepokoi mnie brak wiadomości od Ciebie.

Co się stało? Dlaczego milczysz? Czyżbyś miał jakieś trudności z wydostaniem się w Warszawy? Tutaj wszystkie formalności są już załatwione. Czekamy tylko na ciebie, no i oczywiście na twoją żonę.

Pośpiesz się. Dalsza zwłoka może przynieść jakieś nieprzewidziane komplikacje. Postaraj się załatwić polubownie z Korolkiewiczem.

Pamiętaj, że ten człowiek może być dla nas niebezpieczny. Sądzę, że powinien się zadowolić tysiącem dolarów. Czekam szybkiej wiadomości, twój Armando.”

Tłumacz uśmiechnął się i powiedział:

- Tajemniczy liścik, co?

Wroński mruknął coś niewyraźnie, zapłacił za tłumaczenie i wybiegł, zamykając energicznie drzwi za sobą.

To, co przeczytał, zupełnie go oszołomiło. Argentyński przyjaciel Gernerera pisał śmiało, bardzo śmiało. Najwyraźniej nie brał pod uwagę tego, że jego list może się dostać w niepowołane ręce. Ale co to wszystko znaczy? Jaki to ma związek z Agnieszką?

Wilcza. Najlepiej usiąść sobie Pod Kurantem i spokojnie, raz jeszcze przestudiować ten dziwny tekst.

Pchnął drzwi i wszedł do kawiarni. Zaraz w pierwszej sali zajął

stolik pod oknem. Zamówił małą kawę, a następnie wyjął z kieszeni tłumaczenie i przeczytał je bardzo uważnie. Nic nie rozumiał. Jakiś przyjaciel Gernerera czeka na niego w Buenos Aires. Nie wie, czywi-

ście, że jego kumpel już dawno nie żyje. „Tutaj wszystkie formalno-

ści są już załatwione.” O jakich formalnościach mowa? „Czekamy tylko na ciebie, no i oczywiście na twoją żonę.” To znaczy na Agnieszkę. Słowo „oczywiście” wskazuje na to, że Agnieszka w tej sprawie odgrywa jakąś ważną rolę. Ale co to może być? I dalej: „Postaraj się załatwić polubownie z Korolkiewiczem. Pamiętaj, że ten człowiek może być dla nas niebezpieczny.” Kto to jest Korolkiewicz? Takie jakieś znajome nazwisko. Zaraz... zaraz...

- Cóż ty tak z zapałem studiujesz? Liścik miłosny?

Wroński drgnął gwałtownie i podniósł głowę. Przy nim stał Andrzej Rowicki. Uśmiechnął się tym

swoim łobuzerskim uśmiechem.

-

Czekasz na kogoś?

-

Nie, nie. - Wroński pośpiesznie schował maszynopis do kieszeni.

-

Można się do ciebie przysiąc?

-

Proszę cię bardzo.

Andrzej przysunął sobie krzesło i zapalił papierosa.

-

Mówił mi Kazik, że jesteś ciężko chory. Pojechałem na Szustra, żeby cię odwiedzić, ale tam o tobie nie słyszeli. Szykowna babka ta twoja siostra. Szkoda, że mężatka. Coś ty, Stachu, dzisiaj taki przegrany? Może naprawdę jesteś chory?

Wroński nie odpowiedział. W zamyśleniu bębnił palcami po blacie stolika. Dopiero po chwili się odezwał:

-

Słuchaj no, Andrzej, powiedz mi, tylko tak zupełnie szczerze, jak to właściwie było z tym pamiętnikiem?

-

Z jakim pamiętnikiem?

-

No, z pamiętnikiem mordercy, który znalazłeś w Augustowie.

Rowicki wzruszył ramionami.

-

O rany, przecież ci już z dziesięć razy opowiadałem. Jeszcze mnie i ten twój milicjant męczył. Co miało być? Znalazłem ten stary brulion na szafie i kropka. Nie wiem, o co ci chodzi.

Wroński zgasił papierosa i z wahaniem spojrzął na przyjaciela.

-

Widzisz, Andrzej... Nie gniewaj się, bo... bo... No, gdybym miał do czynienia z kim innym, to tak bym się nie dopytywał, ale z tobą...

Rowicki zrobił zdziwioną minę.

-

Nie rozumiem...

-

Z tobą to nigdy nie wiadomo. Znamy się już tyle czasu, a właściwie nigdy nie wiem, czego się można po tobie spodziewać.

-

Na przykład?

-

No bo ja wiem... A może ty sam napisałeś ten pamiętnik? Tak dla draki. Przecież umiesz doskonale zmieniać charakter pisma. Nawet eksperci się nie kapną.

Rowicki parsknął śmiechem.

-

Ha, ha, ha! A to dobre! Wiesz, Stachu, że chyba naprawdę masz gorączkę. Co ci do głowy przychodzi? A gdybym nawet chciał

zrobić taki kawał, to skądże mógłbym wiedzieć o tych wszystkich morderstwach?

Wroński zamyślił się.

-

Nie wiem. Nie mam pojęcia. Mogłeś się od kogoś dowiedzieć. Może masz znajomych w milicji. Może znasz jakiegoś archiwistę? - Nagle tknięty jakąś myślą trzasnął w palce. - Czeka, czeka.

Do diabła! Że też o tym zapomniałem. Korolkiewicz... No oczywiście... Korolkiewicz...

-  
Korolkiewicz? - spytał zdziwiony Rowicki.

-  
No tak, Korolkiewicz, ten archiwista. Znasz go?

-  
Pewnie, że go znam.

-  
Gdzieś go poznał?

-  
W Augustowie. To ojciec tej dziewczyny, o której ci opowiadałem.

Wroński był niezwykle podniecony. Począł szarpać przyjaciela za rękaw.

-  
Ależ to sensacja! Rozumiesz? To sensacja.

-  
Co się stało? - dopytywał się Rowicki.

Wroński nerwowo zapalił papierosa.

-  
To niesłychanie ciekawe! Niesłychanie. Koniecznie muszę pomówić z Korolkiewiczem.

Andrzej z powątpiewaniem pokręcił głową.

-  
Nie sądzę, żeby to było możliwe.

-  
Dlaczego? Pojadę do Augustowa.

Tu nie chodzi o jazdę do Augustowa.

-

No, a o co? Dlaczegoż nie miałbym się zobaczyć z Korolkiewiczem?

-

Po prostu dlatego, że Korolkiewicz nie żyje. Został zamordowany.

Wroński podskoczył na krześle.

-

Zamordowany?! Co ty opowiadasz? Skąd wiesz?

-

Pisała do mnie ta mała. Wczoraj dostałem list.

-

I sądzisz, że to prawda?

Andrzej uśmiechnął się...

-

No, wiesz... nie przypuszczam, żeby sobie tak nietaktownie żartowała na temat tatusia.

-

-

To fatalnie... Do diabła... To fatalnie... - zmartwił się Wroński.

-

Co ty się właściwie tak zamartwiasz tym Korolkiewiczem?

Co cię to w końcu obchodzi?

-

Czy nie rozumiesz, że Korolkiewicz i ten pamiętnik...?

-

Uważasz, że to może mieć coś wspólnego?

-

No, jak to? Oczywiście. Korolkiewicz był przez wiele lat archiwistą w Komendzie Głównej Milicji. Znał wszystkie sprawy.

Wiedział, która poszła ad acta niewykryta. Mógł komuś, na przykład tobie, opowiedzieć o tych sprawach, a następnie... Proszę cię, Andrzej... bardzo cię proszę, powiedz, czy to tyś napisał ten pamiętnik...?

-

Prześnij mi wrabiać w tę historię - powiedział niecierpliwie Rowicki i uwolnił rękaw z palców Wrońskiego. - Coś ty się do mnie przyczepił? Jeszcze mnie gotowi przymknąć. Zostaw mnie w spokoju. Nie pisałem żadnego pamiętnika. W ogóle nigdy w życiu nie pisałem pamiętnika. Znalazłem brulion na szafie w hotelu w Augustowie i nic więcej nie wiem.

Wroński postanowił jakoś załagodzić sytuację.

-

Nie gniewaj się, kochany, ale ty czasem miewasz niesamowite pomysły, więc myślałem...

-

To źle myślałeś. A zresztą, nawet gdybym wpadł na taki idio-tyczny pomysł, to skądże mogłem przewidzieć, że ktoś kropnie Gnera. Chyba nie przypuszczasz, że to ja jestem mordercą?

-

Chyba nie - powiedział bez przekonania Wroński i uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

Pod wpływem tego spojrzenia Rowicki zmieszał się.

-

Co ty, Stachu...? Przecież...

-

Sądzę, że byłoby lepiej, abys mi powiedział całą prawdę o pamiętniku mordercy.

Andrzej zerwał się gwałtownie. Był bardzo blady.

-

Zostaw mnie w spokoju! Rozumiesz? Zostaw mnie w spokoju!

Wybiegł bez pożegnania. Wroński w zamyśleniu patrzył przed siebie.

-

Czyżby rzeczywiście Andrzej? Nieprawdopodobne. A jednak... Dziwnie się zachowuje, bardzo dziwnie.

Dopiero teraz pewne fakty zaczęły ukazywać się w nowym świetle. Andrzej lubił wydawać pieniądze i wydawał ich dosyć dużo. Pił, bawił się z dziewczętami, był zawsze bardzo elegancko, modnie ubrany. Od czasu do czasu jeździł na wycieczki zagraniczne. Pracowitością nie grzeszył i w redakcji nie zarabiał tyle, żeby mógł sobie pozwolić na taki styl życia. Skąd więc brał pieniądze? Czyżby? Nie, nie, trudno w to było uwierzyć. To zbyt przerażające. Ale...

Wroński postanowił odnaleźć przyjaciela i przeprowadzić z nim decydującą rozmowę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że... Zapłacił i wyszedł z kawiarni.

Na rogu Hożej wsiadł w dwadzieścia trzy. Andrzej z matką mieszkał na Grochowie.

O tej porze powinien być na obiedzie.

Drzwi otworzyła mu uśmiechnięta starsza pani. Młodzieńcza nieomal twarz o gładkiej, różowej cerze mocno kontrastowała ze śnież-

nobiałymi włosami, upiętymi misternie w wysoki kok.

- A, pan Stanisław! Dzień dobry, dzień dobry. Jakżeż się cieszę. Bardzo dawno pana nie widziałam. Cóż tam u pana słyhać? Pan zapewne do Andrzejka? Nie ma go jeszcze, ale spodziewam go się lada chwila. Czekam na niego z obiadem. Nie wiem, dlaczego dzisiaj się spóźnia. Może zatrzymano go w redakcji. Proszę, niechże pan wejdzie. Może pan zaczeka chwilkę w pokoju Andrzejka? Ja zaraz wrócę, tylko muszę coś tam jeszcze zmajstrować koło obiadu. A może pan zjadłby z nami obiad? Nie ma nic specjalnego, ale czym chata bogata. Będzie nam bardzo miło. Proszę, niech pan sobie tu usiądzie. Może pan sobie tymczasem przejrzy ostatni „Przekrój”?

Jest tam zabawna zagadka kryminalna. Nie mogłam odgadnąć, ale pan to na pewno da sobie z tym radę. Pan przecież specjalista od kryminalnych historyjek.

Wroński, oszołomiony nieco elokwencją sympatycznej pani, bąk-nął jakieś uprzejmościowe słowo i usadowił się w fotelu przed biurkiem Andrzeja, na którym panował nieprawdopodobny bałagan.

Nie miał jednak ochoty na rozwiązywanie zagadki kryminalnej z

„Przekroju”. Podszedł więc do zabytkowej szafy z książkami, którą zapewne pani Rowicka odziedziczyła w spadku po swych dziadkach.

Wodził wzrokiem po kolorowych grzbietach książek, chcąc znaleźć coś interesującego.

Nagle spostrzegł dużą, szarą kopertę. Była wypełniona fotografiami. Przeważnie uśmiechnięte twarze

młodych dziewcząt. Na odwrocie każdego zdjęcia jakaś czuła dedykacja. Wroński uśmiechnął się. Andrzej rzetelnie zasłużył sobie na sławę donżuana.

Jedna z tych fotografii zwróciła jego specjalną uwagę. Może dlatego, że była większa od pozostałych, a może dlatego, że nie była to podobizna młodej dziewczyny. Ładna, duże wyraziste oczy, gęste włosy, regularne rysy, ale ich właścicielka musiała już mieć chyba pod czterdziestkę. Na odwrocie Wroński przeczytał: „Najsłodsze Jędrusiowi na pamiątkę precudnych chwil spędzonych razem Helena”. I u dołu: Bydgoszcz, wrzesień 1954 rok.

I nagle poczuł, że grube krople potu występują mu na czoło.

Pierwszą ofiarą z pamiętnika mordercy była Helena Wójcicka. Bydgoszcz, pięćdziesiąty czwarty rok...

Wszystko się zgadzało.

Schował zdjęcie do kieszeni, a kopertę wsunął z powrotem pomiędzy książki. Wyszedł do przedpokoju.

-

Ucieka pan już? - spytała pani Rowicka, wyjrawszy z kuchni.

-

Nie mogę dłużej czekać - powiedział Wroński i zdziwił się, że ma taki schrypnięty głos. Odchrząknął.

-

Andrzej już dawno powinien być w domu. Boję się, czy mu się coś złego nie przytrafiło. Zawsze jest taki punktualny. Wie przecież, że na niego czekam z obiadem.

-

Niech pani będzie spokojna. Na pewno nic mu się nie stało.

Nie ma już pięciu lat.

Uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, robiły jej się w różowych policzkach kokieteryjne dołeczki.

-

Bo ja to zawsze myślę o Andrzejku jako o małym chłopczy-ku. Nie mogę się jakoś przyzwyczaić do tego, że on już jest taki du-



ży. Zawsze chyba będę go uważać za dziecko.

-

Do widzenia pani - powiedział Wroński i wyciągnął rękę ku klamce.

W tej chwili zgrzytnął klucz w zamku. W otwartych drzwiach stanął Andrzej. Spojrzał zdziwiony.

-

-

To ty? Czego chcesz? - spytał nieuprzejmie.

Z twarzy pani Rowickiej zniknął uśmiech. Zmieszała się.

-

Prosiłam, żeby pan Stasio zjadł z nami obiad - powiedziała pośpiesznie, wycofując się w kierunku kuchni.

Andrzej nie zwrócił uwagi na słowa matki.

-

Czego chcesz?

-

Chciałem z tobą pomówić.

- Ale ja nie chcę z tobą mówić! Rozumiesz?! Nie chcę! Daj mi wreszcie spokój. Czego tu szukasz?! Czego węszysz?! Ty szpiclu! -

Głos Andrzeja zabrzmiał piskliwie, histerycznie.

-

Ależ Andrzejku, na miłość boską! - zawołała pani Rowicka.

-

Niech się mama nie wtrąca. Nie chcę z tobą rozmawiać, nie chcę. Wynoś się!

Wroński wyszedł bez słowa. Za jego plecami drzwi trzasnęły hałaśliwie. Pędem zbiegł na dół, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Cały się trząsał ze zdenerwowania.

- Jezus Maria! Jezus Maria! - powtarzał na wpół przytomnie.

Przechodnie zaczęli mu się przyglądać. Musiał wyglądać na pijanego.

Dopiero na przystanku tramwajowym trochę się uspokoił. Czyż można mieć pewność, że...? To wszystko są przecież tylko przypuszczenia, luźne domysły. Niejedna przystojna Helena mieszka w Bydgoszczy, a że rok się zgadza, to także niczego nie dowodzi. To może być zwykły zbieg okoliczności. Należało jak najprędzej zdobyć do wody, upewnić się.

Wroński zrezygnował z czekania na tramwaj. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć na Puławską do Komendy Głównej Milicji.

Downara nie zastał. A zresztą nie miał zamiaru wtajemniczać go na razie w tę sprawę.

Downara nie zastał. A zresztą nie miał zamiaru wtajemniczać go na razie w tę sprawę.

Bez trudu odnalazł swego starego znajomego, porucznika Kaczmarka.

-

Czołem, redaktorze, czołem. Kopę lat! Cieszę się, że was znowu widzę. Co was do nas sprowadza? Jak zdrówko?

Wroński, nie tracąc czasu na pogawędki o stanie swego zdrowia, od razu przystąpił do rzeczy.

Kaczmarek słuchał uważnie, drapiąc się w łysinę, z której był tak dumny, jak inni bywają dumni z pięknej czupryny.

-

Pięćdziesiąty czwarty rok? Bydgoszcz? Co wam się takie zamierzchłe czasy nagle przypomniały? - spytał podejrzliwie.

-

Zajmowałem się kiedyś tą sprawą - skłamał Wroński. - Teraz chcę przygotować do druku moje wspomnienia z pracy dziennikarskiej ubiegłych lat i dlatego...

Kaczmarek skinął głową.

-

Rozumiem, rozumiem. No cóż... ja wam nic na ten temat nie powiem. Nie znam tej sprawy. Dochodzenie na pewno prowadziła wtedy Komenda Wojewódzka. Czy był ktoś od nas delegowany, nie wiem. Jeżeli wam tak bardzo na tym zależy, trzeba by spojrzeć do archiwum. Szkoda, że już nie ma Korolkiewicza. Ten wszystkie sprawy znał na pamięć. Zadziwiające, jaką taki starszy facet miał

pamięć. Ani śladu sklerozy.

-

A co się stało z Korolkiewiczem? - spytał Wroński.

-

Poszedł na emeryturę. A teraz to już, zdaje się, pobiera emeryturę u świętego Piotra.

- Co mówicie? Nie żyje? Co mu się stało?

Kaczmarek nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- Nie wiem. Bliższych szczegółów nie znam - powiedział wymijająco. - Jeżeli chcecie, to was zaprowadzę do naszego nowego archiwisty, nazywa się Wasilewski. Porządny chłop, tylko trochę...

Wasilewski był wysoki i bardzo chudy. Miał niezdrową cerę i po-

żółkłe od nikotyny palce. Na końcu potężnego nosa chwiały się okulary w ciemnej oprawie. Malarz poszukujący modelu do studium pod tytułem Archiwista nie mógłby chyba w całej Warszawie znaleźć bardziej typowej postaci.

Opiekun dawnych akt przyjrzał się podejrzliwie znad okularów przybyłym i nie kwapił się z odszukaniem żądanych materiałów.

Zaczął coś mówić o zarządzeniach, o pozwoleniach, o pieczętkach, o podpisach władz nadrzędnych. Z największym trudem udało się Wrońskiemu go przekonać, aby zaniechał tych formalności. Kaczmarek musiał wziąć wszystko na swoją odpowiedzialność.

Spośród zakurzonych teczek wyłonił się rok 1954. Bydgoszcz.

Zabójstwo Heleny Wójcickiej. Początkowo śledztwo prowadziła oczywiście Komenda Wojewódzka. Następnie jednak całą sprawę przekazano Komendzie Głównej. Śledztwem zajmowali się: kapitan Burski i porucznik Maciaszczyk. Nie udało im się wpaść na trop mordercy. Sprawa poszła ad acta jako niewykryta. Fotografie? Tak.

Były fotografie, już trochę pożółkłe. Zdjęcia sytuacyjne, zwłoki de-natki w różnych ujęciach i wreszcie uśmiechnięta twarz przystojnej kobiety. Tę fotografię Wroński dłużej przytrzymał w ręku. Nie moż-

na było mieć żadnej wątpliwości. To była ona, to ona napisała: „Najśłodszemu Jędrusiowi na pamiątkę precudnych chwil”.

Wroński podziękował archiwistce, mocno uściśnął dłoń Kaczmarka i wyszedł z komendy. Ogarnęła go straszliwa apatia. Ledwie powłóczył nogami. Idąc tutaj, był przeświadczony w głębi duszy o tym, że jego podejrzenia są tylko wytworem wyobraźni. Andrzej zachowywał się bardzo dziwnie, to

prawda, ale mógł się przecież zdenerwować. Nawet człowiek zupełnie niewinny może stracić panowanie nad sobą, jeśli zacznie mu się wmawiać, że jest mordercą.

Ale teraz... Teraz to już nie były przywidzenia, to już nie była fanta-zja. Helena Wójcicka. Bydgoszcz. Rok 1954. Boże, Boże! Czy to możliwe? Czy to naprawdę możliwe?!

Wsiadł do pustej osiemnastki i zajął miejsce pod oknem. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, począł się spokojnie zastanawiać nad całą sytuacją. Nie wszystko tu było jasne. Jeżeli nawet Andrzej zabił

Wójcicką, to po jakiego diabła napisał ten pamiętnik? I to nie tylko napisał, ale nawet oddał go w ręce milicji, pośrednio co prawda, nietrudno się było jednak domyślić, że brulion nie pozostanie w biurku redakcyjnym. To, że pamiętnik nie był pisany charakterem Andrzeja, niczego nie dowodziło. Andrzej był znany z umiejętności podrabiania i zmieniania pisma. Śmiano się nawet z niego w redakcji, że mógłby wcale nieźle żyć, podrabiając podpisy na czekach. Ale w jakim celu napisał to wszystko? Co przez to chciał osiągnąć?

Czyżby raz jeszcze pragnął zakpić sobie z milicji? Nieprawdopodobne. Chyba zwariował? To było jedyne możliwe wytłumaczenie tego, co się stało. A Gerner? Czy Gerner także padł jego ofiarą? Czego mógł Andrzej chcieć od Gnera? Chyba go nawet nie znał?

Wroński wysiadł przy Belgijskiej i przeszedł na drugą stronę ulicy. Na rogu Szustra wpadł na Fabiana.

-

A, cześć! Jak się masz? Widzę, że nie jesteś tak ciężko chory.

-

Chory nie jestem, ale mam kłopoty - mruknął Wroński, niezbyt zachwycony spotkaniem.

-

Kto ich nie ma? - powiedział Fabian. - Ale grunt się nie przejmować. Byłem w tych okolicach i wpadłem do ciebie, dowiedzieć się o zdrówko. Powiedziano mi, że chory się zdematerializował. Aha, masz tu liścik miłosny. Jakiś chłopak przyniósł to dzisiaj do redakcji.

Wyjął z teczki pomiętą kartkę, złożoną we czworo. Wroński nie-dbale wsunął ją do kieszeni marynarki.

-

Może wpadniesz do mnie? - zaproponował. - Pogadamy.

Fabian potrząsnął głową.

-  
Nie, nie, dziękuję ci bardzo, ale nie mogę. Umówiłem się.

Cześć! Trzymaj się, bracie. Głowa do góry. Wszystko ci się dobrze ułoży, zobaczysz.

Mocno uściśnął wyciągniętą dłoń i oddalił się pośpiesznie cięż-

kim, kołyszącym się krokiem. Odwrócił się jeszcze i krzyknął.

-  
A jutro koniecznie pokaż się w redakcji! Wroński wolno szedł

ulicą. Jakżeż chętnie pomówiłby z kimś o swoim odkryciu, ale nie było na świecie człowieka, z którym mógłby się podzielić myślami.

Musiał wszystko sam rozważyć, podjąć decyzję. Czuł się zmęczony, zupełnie wyczerpany nerwowo. Zażyje pastylkę phanodormu i spró-

buje się trochę przespać.

Na szczęście w domu nie było ani Krystyny, ani Antoniego, nie musiał więc wysilać się na rozmowę. Poszedł do swego pokoju i ściągnął narzutę z tapczanu. Kiedy wyjmował grzebień z kieszeni marynarki, palce natrafiły na papier. Aha, to ta kartka, którą mu dał

Fabian. Wyjął ją bez pośpiechu i nagle drgnął gwałtownie. Jego nazwisko i adres były napisane ręką Agnieszki. Drżącymi rękami rozwinął papier.

„Stachu, ratuj mnie! Ratuj! Boję się, bardzo się boję. Jestem zupełnie sama! Zaklinam cię na wszystko, nie zawiadamiaj milicji!

Prawdopodobnie dzisiaj odjadę z Dworca Wschodniego. Bądź

ostrożny. Nie podchodź do mnie. Błagam cię, bądź ostrożny. Nie zawiadamiaj milicji. Życie moje od tego zależy. Kocham Cię, zawsze Cię kochałam, tylko Ciebie - Agnieszka.” Jednym susem dopadł drzwi. Nie wiedział, jak i kiedy znalazł się na ulicy. Pędem ruszył w kierunku Puławskiej. Ludzie oglądali się za nim. Ten i ów znacząco dotknął palcem czoła.

Na przystanku taksówek wskoczył do zielonej warszawy. Chwycił szofera za ramiona i krzyknął.

-  
Prędko... prędko... na Bielany! Taksówkarz odwrócił się, zmarszczył brwi i powiedział flegmatycznie.

-

Coś pan, panie? Z byka pan spadł, czy jak?

-

Prędko, na Bielany! Błagam pana - jęknął Wroński. - Zapłacę panu podwójny kurs.

-

No dobra, dobra, ale nie szarp mi pan marynarki. Zawarczał motor.

Wroński nie mógł usiedzieć. Wydawało mu się, że samochód porusza się w żółwym tempie. Chwilami miał ochotę wyskoczyć i biec.

-

Prędzej, prędzej! Zapłacę podwójny kurs! Prędzej!

-

Panie, to taksówka, nie odrzutowiec. Uspokój się pan, jak pragnę Boga, bo w ogóle nie pojedę. Co pan chcesz, żeby mandata zapłacił albo żeby wóz gdzieś rozpieprzył? To miasto, panie, a nie szosa.

-

Prędzej, prędzej! - błagał Wroński.

Wreszcie minęli Saski Ogród i taksówkarz dodał gazu. Mimo wszystko obietnica podwójnej zapłaty działała na niego podniecają-

co. Koło Dworca Gdańskiego znowu trochę zwolnili w obawie przed milicją.

Żoliborz. Bielany. Taksówka rwała naprzód jak wyścigowy wóz.

Zgrzytnęły hamulce. Wroński rzucił szoferowi sto złotych i wbiegł do bramy. Błyskawicznie znalazł się na trzecim piętrze.

Niecierpliwie nacisnął dzwonek, raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Za drzwiami panowała nieruchoma cisza. Wiedział, że nikogo tam nie ma, a jednak dzwonił, dzwonił uparcie, nieprzerwanie, nagłaco.

Z sąsiednich drzwi wyjrzała głowa starej kobiety.

-

Co pan tak hałasuje? Widzi pan przecie, że nikogo nie ma.

Nie było sensu dłużej się upierać. Zrezygnował. Na Żeromskiego zatrzymał taksówkę.

- Dworzec Wschodni. Prędko!

Czy Agnieszka jeszcze jest w Warszawie? A może już pojechała?

Co to się właściwie dzieje? Co zagraża Agnieszce? Dlaczego nie chce zawiadomić milicji? Przecież to byłoby najprostsze. Czy on dobrze robi, że nie rozmawia na te tematy z Downarem? Może jednak nie powinien zwracać uwagi na prośby Agnieszki? Może powinien od razu pojechać do komendy? Czy wolno mu brać na siebie taką odpowiedzialność, działać na własną rękę? A jeżeli włączy do akcji milicję i Agnieszka zostanie zamordowana? Co robić? Co ro-bić? Do diabła!

Most Śląsko-Dąbrowski. Czarna wołga skręciła w Targową. Jeszcze dosyć czasu, żeby jechać na Puławską. Pogada z Downarem.

Razem obmyślą jakiś plan działania. W uszach zadźwięczały mu słowa Agnieszki: „Zaklinam cię na wszystko, nie zawiadamiaj milicji”. Nie, nie, nie może tego zrobić, nie może ryzykować. Gdyby się coś stało Agnieszce, nie darowałby sobie tego do końca życia.

Taksówka zatrzymała się przed dworcem. Kilku osobników o mocno podejrzanym powierzchności stało na brzegu krawężnika.

- No... - powiedział zachęcająco szofer, widząc, że pasażer nagle przestał się śpieszyć.

Wroński zapłacił i wysiadł. Chwilę zawahał się, niespokojnie spojrzawszy na młodzieńców, którzy robili wrażenie zawodowych ban-dytów. „Jeżeli ci stoją tu po to, żeby się mną zająć, to mogę pożegnać się z życiem” - pomyślał i szybko pobiegł do kasy po peronów-kę.

Na dworcu ruch był stosunkowo niewielki, bez większych więc trudności kupił bilet i wyszedł na peron.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z beznadziejności swego przedsięwzięcia. Przede wszystkim nie wiedział, czy Agnieszka jest jeszcze w Warszawie. Mogła przecież już dawno wyjechać. Kartka, któ-

rą przyniesiono do redakcji odleżała się w kieszeni Fabiana ładnych kilka godzin. Kto wie, co przez ten czas mogło się stać? A poza tym nie wiedział, w jakim kierunku Agnieszka ma odjechać. W tych warunkach trudno było stworzyć sobie jakiś rozsądny plan działania.

Mógł przesiedzieć na dworcu całą noc bez żadnego rezultatu.

Obiegł wszystkie perony i stanął bezradny, niezdecydowany. Co robić? Czekać? Ale na którym peronie? Wracać do domu? No to w takim razie po co tu przyjechał?

Postanowił zaczekać. Choćby miał tu spędzić całą noc, zaczeka.

Zszedł na dół i wrócił przed dworzec. Właśnie w tej chwili nadjechało kilka taksówek. Cofnął się i stanąwszy za kioskiem, patrzył

uważnie. Z żadnego jednak wozu nie wysiadła Agnieszka. A jeśli zobaczy Agnieszkę, to jak ma się zachować? Prosiła, żeby był

ostrożny i żeby do niej nie podchodził. Co więc ma zrobić? Prawdopodobnie nie będzie sama. Ktoś ją wywozi z Warszawy? Ktoś ją porywa? Ale dlaczego, w jakim celu? Przecież nie dla okupu. Co to wszystko znaczy? Cała ta historia była tak tajemnicza, tak sensacyj-na, że trudno było wprost uwierzyć w jej realność i chwilami Wrońskiemu zdawało się, że jest w trakcie realizowania kryminalnego filmu, którego on sam był bohaterem. Bezbronna kobieta prześladowana przez bandę gangsterów... Tajemnicza limuzyna...

Wszystko to zakrawało na tanią sensację. Czyż to możliwe, że w centrum Warszawy...?

Poczuł głód. Poszedł do bufetu. Kupił trzy bułki, dwadzieścia de-ka kiełbasy i butelkę piwa. Kiełbasa była bardzo tłusta, a bułki czerstwe, ale człowiek głodny nie zwraca uwagi na takie drobiazgi.

Wybrał sobie dogodne stanowisko przy oknie i spożywając bułki z kiełbasą, uważnie obserwował nadjeżdżające samochody.

Czas płynął wolno. Wskazówki kolejowego zegara posuwały się leniwie. Dzień miał się już ku końcowi i szarość wieczoru spływała na zabudowania stacyjne. Z peronów dolatywały nerwowe nawoływania. Parowozy gwizdały. Od czasu do czasu kolorowy tłum przyjeżdżających atakował wyjście, aby następnie rozlać się po mieście szeroką falą.

Szary półmrok zmienił się w granatową ciemność. Zabłyśły światła. Noc szła szybkim krokiem, wyprzedzając leniwe wskazówki zegara. Po tamtej stronie Wisły Warszawa rozsrebrzyła się łuną.

Wroński skończył jeść i otarł zatłuszczone wargi. Ziewnął. Poczynano ogarniać go znużenie i zniechęcenie. Godzina mijała za godziną, a on ciągle tkwił nieruchomo wpatrzony w brudną szybę. To beznadziejne. Agnieszka na pewno już dawno jest na drugim końcu Polski, a on tu siedzi jak dureń i czeka, nie wiadomo na co. Czy nie lepiej pojechać do domu i położyć się spać?

Nagle drgnął gwałtownie i wytężył wzrok.

Przed dworcem zatrzymał się moskwicz. Agnieszka? Oczywiście, że Agnieszka, w szarym, podróżnym płaszczu i z dużą torbą przewieszoną przez ramię. A z nią... Jakiś wysoki mężczyzna. Wroński nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale wydało mu się, że to był ten sam człowiek, który wtedy Pod Kurantem...

Wziął ją pod rękę i energicznym krokiem wyszli na perony.

Wroński ostrożnie posuwał się za nimi. Serce biło mu gwałtownie.

Krył się za ludzkim tłumem. Mężczyzna, idący z Agnieszką, raz i drugi obejrzał się za siebie. Tak, był on, ten przystojny brunet o twarzy południowca. Oglądał się. Widocznie jednak nie czuł się zbyt pewnie.



Zatrzymali się pod tablicą, na której było napisane „Gdynia, Gdańsk przez Wrzeszcz...” Weszli na górę. Wroński za nimi ostroż-

nie, bardzo ostrożnie.

„Jadą na Wybrzeże” - pomyślał i mimo woli dotknął palcami kieszeni, w której nosił portfel. Jakże był szczęśliwy, że miał przy sobie kilkaset złotych. W przeciwnym razie... Zrobiło mu się gorąco na samą myśl, że mogło mu nie wystarczyć na bilet. A przecież musiał

jechać!

Wsiedli do pierwszej klasy. Do odejścia pociągu było jeszcze siedemnaście minut. Zdaży pobiec do kasy i kupić bilet. Nagle zaniepokoił się: a jeżeli to był tylko manewr? Jeżeli za chwilę wsiądą do innego pociągu? Wtedy straciłby trop. Już by ich nie znalazł.

Obok przechodził tragarz. Jego spalona słońcem, pomarszczona twarz przypominała zwiędniętą śliwkę.

-

Czy mógłby mi pan kupić bilet do Gdyni?

Tragarz podniósł na mówiącego niebieskie, wypłowiałe oczy.

-

Do Gdyni? Jeszcze dosyć czasu. Zdaży pan. – Ale ja chciał-

bym, żeby pan mi kupił. Zaczekam tu.

- Jak pan chce - mruknął stary.

Wziął pieniądze i podreptał ku wyjściu drobnym, kołyszącym się krokiem.

Wroński pilnie obserwował wagon, do którego wsiadła Agnieszka ze swym towarzyszem. Nie wysiadali. Widocznie jednak zamierzali jechać na Wybrzeże. Kto to był ten facet? Dlaczego Agnieszka pozwalała mu się terroryzować? Przecież siłą nie mógł jej do niczego zmusić. Wystarczyło krzyknąć, spowodować zamieszanie, wezwać milicję. Zresztą on skoczyłby jej natychmiast na pomoc. Nie był

siłaczem, ale przecież nie był także i ułomkiem, a tamten nie wyglą-

dał na boksera ciężkiej wagi.

Na pięć minut przed odejściem pociągu pojawił się tragarz z biletem.

- Tłok był przy kasie, dlatego tak długo - tłumaczył się.

Wroński dał mu piętnaście złotych i wskoczył do wagonu.

Parowóz sapnął potężnie, wyrzucając kłęby gęstej pary. Pociąg drgnął. Koła wagonów poczęły rytmicznie uderzać w szyny. Za czarną powierzchnią okien migały światła zabudowań stacyjnych.

Wroński otarł spocone czoło i przyjrzał się swym towarzyszom podróży.

Koło niego siedział mocno już łysiejący blondyn o szczurzej twarzy i chorobliwie zaczerwienionych oczach. Co chwilę wysuwał naprzód dolną wargę, co nadawało jego twarzy wyraz niechętny i pogardliwy.

Po drugiej stronie, pod oknem, zażywna przedstawicielka płci pięknej zabierała się z zapalem do skonsumowania pokaźnej porcji jaj na twardo. Obok niej usadowili się dwaj barczyści młodzieńcy, którzy w Hollywood zrobiliby zapewne karierę, występując w filmach gangsterskich. Nie rozmawiali ze sobą. Palili sporty i tępo patrzyli przed siebie. Wrońskiemu wydało się, że już gdzieś widział te niezbyt pociągające twarze. Czyżby to byli ci sami faceci, których zauważył zaraz po przyjeździe na dworzec? Nie był pewien. Rozłożył

gazetę i udał, że całkowicie pochłonęły go ekspresowe wiadomości.

Ostatnie światła Warszawy zniknęły w ciemnościach. Pociąg zwiększył szybkość. Za oknem zabłysnął snop iskier.

Wroński zrezygnował z lektury. Przechylił w tył głowę i przymknął oczy. Zastanawiał się nad dalszym działaniem. Powinien był

jakoś dać znać Agnieszce, że jest blisko niej i że w razie czego może liczyć na jego pomoc. Ale jak to zrobić, żeby nie zwrócić uwagi jej towarzysza. Dyskretnie obserwował drabów siedzących naprzeciw niego. Wydało mu się, że patrzyli na niego pogardliwie i drwiąco.

Był zmęczony. Miał za sobą ciężki dzień. Czuł, że ogarnia go nieprzewyciężona senność. Bał się zasnąć. Kto wie, co się może zdarzyć, podczas gdy on będzie spał. Nie, nie, musi się przemóc, musi czuwać!

Wstał i wyszedł na korytarz. Zapalił papierosa. Nagle zaniepokoił

się. A jeżeli oni nie jadą wcale na Wybrzeże? Jeżeli wysiądą gdzieś po drodze?

Ostrożnie, bardzo ostrożnie począł posuwać się w kierunku przedziału, w którym jechała Agnieszka. Musiał sprawdzić, czy jest tam jeszcze.

Siedziała odwrócona plecami do korytarza, wpatrzona w czarny prostokąt okna. Jej towarzysz spał albo udawał, że śpi.

Wroński przeszedł koło drzwi przedziału raz, drugi, trzeci. Chciał

jakoś zwrócić jej uwagę. Chciał, aby wiedziała, że jest blisko niej, że czuwa nad jej

bezpieczeństwem. Nie poruszyła się. Nie spojrzała w jego stronę.

Zniechęcony, wrócił na swoje miejsce. Chudy blondyn chrapał

potężnie, przechyliwszy w tył głowę. Tłusta jejmość owinęła sobie głowę płaszczem i sapała rytmicznie. Sennemu nastrojowi nie uległ

tylko jeden z niesympatycznych drabów. Palił papierosa i szklanymi oczami patrzył przed siebie.

Wroński usiadł i zamyślił się. Ochłonał nieco z niezwykłego podniecenia, w jakim się w ciągu ostatnich godzin znajdował. Spokojnie zaczął się zastanawiać nad sytuacją. Ogarnęło go z wątpienie.

Nie był pewien, czy postąpił słusznie. Teraz żałował, że mimo wszystko nie naradził się z Downarem. Ale teraz było już za późno.

Nie mógł przecież wrócić do Warszawy. Nie mógł stracić z oczu Agnieszki.

Wagon kołysał się miarowym ruchem. Znowu pojawiła się senność. Z trudem podnosił ciężkie, ołowiane powieki. Czynił nadludzkie wysiłki, aby opanować zmęczenie. Wreszcie jednak musiał zrezygnować z walki.

Kiedy otworzył oczy, za oknami był już dzień. Szyby pokryły się szarością poranka.

Padał deszcz.

Wroński rozejrzał się niespokojnie. Zażywna niewiasta z niesłabnącym zapalem spożywała nową porcję jaj na twardo. Mizerny blondyn z niezwykłą starannością zacyesował resztki swego wątego owłosienia. Młodzieńcy o bandyckich twarzach stali na korytarzu i palili papierosy.

Pociąg zwolnił. Mignęły mokre dachy pierwszych domów.

Gdynia.

W pograżonym do niedawna w głębokim śnie wagonie zapanował nagle straszliwy zamęt. Wszyscy poczęli nerwowo pchać się do wyjścia. W jednej chwili korytarz zapełnił się ludźmi. Spieszyli się, zdyszani, podnieceni. Robiło to takie wrażenie, jakby dłuższe przebywanie w wagonie groziło katastrofą.

Wroński otworzył okno i uważnie przyglądał się wysiadającym.

Wreszcie zobaczył Agnieszkę. Błyskawicznie wyskoczył na korytarz i, nie zważając na obelgi, siłą przepchnął się przez zwarty tłum. W

ostatnim momencie dopadł wyjścia. Jeszcze chwila, a byliby mu zniknęli z oczu.

Wsiedli do taksówki Na szczęście zaraz nadjechała druga, wolna.

-  
Za tą wołgą! - krzyknął Wroński.

Zatrzymali się w dzielnicy portowej przed starą, obdrapaną ka-mienicą. Pracowicie wspięli się po stromych schodach na trzecie piętro. Wroński szedł za nimi. Kiedy zniknęli za drzwiami jakiegoś mieszkania, stanął niezdecydowany. Co dalej? Co robić? W tej chwili postłyszał podniesione głosy.

-  
Nie chcę! Nie chcę! - krzyczała Agnieszka.

Rozpędził się i całym ciężarem ciała uderzył w drzwi.

Nagle poczuł przejmujący ból w tyle głowy. Czarne plamy zawi-rowały mu przed oczami. Stracił przytomność.

## ROZDZIAŁ VIII

Początkowo Downar miał zamiar powierzyć prowadzenie śledztwa Komendzie Wojewódzkiej, a sam natychmiast wracać do Warszawy. Po namyśle jednak zmienił zdanie. Sprawa przedstawiała się tak tajemniczo, że wolał nie wypuszczać inicjatywy z rąk. Porozu-miał się telefonicznie z Leśniewskim, który pochwalił jego decyzję.

Już teraz nie ulegało wątpliwości, że zabójstwo Korolkiewicza wią-  
zało się w jakiś sposób ze sprawą Gernerera.

Stwierdzenie, że Korolkiewicz był autorem fantastycznego pa-miętnika, nie nastroczało większych trudności. Czy jednak Korolkiewicz był mordercą? Czy to on popełnił te wszystkie zbrodnie?

Dlaczego napisał pamiętnik? I skąd ten zeszyt znalazł się w hotelu?

Czy można było bez zastrzeżeń wierzyć Rowickiemu? Wprawdzie na zakurzonej szafie zarysował się dość wyraźnie prostokątny kształt, ale to nie był stuprocentowy dowód. Dlaczego Rowicki miałby kłamać? Czy znał Korolkiewicza? Znał jego córkę, więc...

Kto zamordował byłego archiwistę? Jakie były motywy tej zbrodni?

Czy ma ona coś wspólnego z morderstwami wspomnianymi w pa-miętniku?

Tyle różnych elementów składało się na sprawę, tyle piętrzyło się zagadek, że niezwykle łatwo było zagubić się w tym wszystkim, całkowicie stracić orientację. Należało bardzo systematycznie zabrać się do roboty.

Przede wszystkim dokładnie przeszukał mieszkanie Korolkiewicza. Znalazł maszynopisy, notatki i zeszyty, zapisane ręką gospoda-rza. Rozmaite zapiski, wspomnienia, krótkie opowiadania, a nawet

pojedyncze rozdziały powieści. Wszystkie materiały dobitnie świadczyły o literackich aspiracjach Korolkiewicza.

Downar był zdziwiony. Nigdy nie przypuszczał, że ten jowialny grubas, którego zainteresowania zdawały się nie wybiegać poza miejscową gospodę, poświęcał się pracy twórczej. Tego, co pisał, w żadnym wypadku nie można było nazwać grafomanią. To były interesujące rzeczy.

Na dnie szuflady biurka, pod stosem najrozmaitszych papierów, leżał paszport. Downar wziął go do ręki, otworzył i znieruchomiał z wrażenia. Paszport wystawiony był na nazwisko Agnieszki Lubertowej. Nazwisko panięńskie: Chojecka. Ale co najdziwniejsze, że z fotografii paszportowej uśmiechała się do niego córka Korolkiewicza, Elwira.

Przez dłuższą chwilę oglądał na wszystkie strony przedziwny dokument. Tak był zaskoczony swym odkryciem, że nie zwrócił uwagi na kroki, które rozległy się nagle w sąsiednim pokoju. Dopiero gdy w drzwiach ukazała się barczysta postać Pietrzaka, drgnął i pospiesznie wsunął paszport do kieszeni.

-

Jedziemy na Wólkę?

Downar skinął głową.

- Jedziemy. Czekam na was.

Po chwili służbowa warszawa podskakiwała po wyboistej drodze.

Pietrzak usiadł koło kierowcy, Downar z porucznikiem Pliszczykiem usadowili się na tylnym siedzeniu.

Jechali w milczeniu. Downar ciągle jeszcze był pod wrażeniem znalezionej paszportu. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się:

-

Znacie tego Wojtasia?

-

Tak. Znam go.

-

Co o nim sądzicie?

Pliszczyk wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

-

No cóż... Nic specjalnego. Porządny człowiek. Spokojny. Do tej pory nie mieliśmy z nim żadnej rozróbki.

-

A ten jego syn, który pracuje w fabryce obuwia? Wiecie coś o nim?

Porucznik skrzywił się, jakby nagle wypił szklanę octu.

-

O, ten to nic dobrego. Bandzior. Wdał się w złe towarzystwo.

Podejrzewamy go o różne rzeczy, ale na razie nikt go za rękę nie złapał. Cwany to on jest!

-

Na przykład o co go podejrzewacie? - pytał Downar.

-

Na przykład, że w fabryce od czasu do czasu coś tam tego...

Rozumiecie?

-

Rozumiem. Że kradnie...

-

O właśnie, to miałem na myśli.

Samochód zwolnił. Zjechali z szosy na boczną drogę. Błoto bryznęło spod kół.

-

-

To już tu zaraz - powiedział Pliszczyk.

Zatrzymali się przed niewielkim, murowanym domem.

Nieotynkowane ściany świeżą cegłą czerwieniły się wśród zieleni.

Na spotkanie przyjezdnych wyszła wysoka, młoda kobieta. Miała czarne, gładko zaczesane włosy i rumiane, tryskające zdrowiem policzki.

-  
Zaraz zawołam męża. Jest w ogrodzie.

Downar zatrzymał ją ruchem ręki.

-  
To może za chwilę. Na razie porozmawiamy sobie z panią.

Bez słowa zaprowadziła ich do mieszkania. Usiedli. Stała przed nimi, z trudem usiłując zapanować nad zdenerwowaniem.

-  
Może pani zechce spocząć? - zaproponował uprzejmie Downar. - Nazywa się pani Walentyna Maciaszek?

-  
Tak.

-  
Z domu Wojtaś?

-  
Tak.

-  
Czy przedwczoraj, to jest w czwartek, był u pani ojciec?

-  
Był.

-  
Czy obchodziliście jakąś rodzinną uroczystość?

Wzruszyła ramionami.

-  
Żadna uroczystość... Tak ojciec przyjechał.

-  
I długo tu ojciec był?

- Dosyć długo.

-  
O której odjechał?

Nie wytrzymała spojrzenia Downara. Odwróciła głowę ku oknu.

-  
Nie pamiętam.

W tej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął barczysty mężczyzna. Miał na sobie szare płócienne spodnie i kraciastą koszulę.

Podwinięte rękawy odsłaniały opalone, muskularne ręce. Szeroka twarz o mocno zarysowanej dolnej szczęce. W ciemnych, okrągłych oczach malował się niepokój. Nawet najuczciwszy człowiek na widok mundurów milicyjnych traci pewność siebie.

-  
Obywatel Maciaszek? - spytał Pietrzak.

-  
To ja jestem. A o co chodzi?

Siadajcie. Downar wyjął papierosnicę i poczęstował ogrodnika.

-  
Niech mi pan powie, panie Maciaszek, jak to było przedwczoraj, to znaczy we czwartek?

-  
A co miało być?

-  
Przyjechał do was teść, Wojtaś?



Przyjechał.

Piliście wódkę?

-

Piliśmy. A co to, nie wolno? - spytał zadziornie Maciaszek i oczy zrobiły mu się jeszcze bardziej okrągłe.

Downar udał, że nie zauważył tego wyzywającego tonu.

-

I długo Wojtaś u was siedział?

-

Ano, kilka godzin.

-

O której odjechał do Augustowa?

- Jakoś tak po południu. Nie patrzałem na zegarek. Bo to...

- Jakie popołudnie? Jakie popołudnie? - wtrąciła się gwałtownie Walentyna. - Noc już była, jak ojciec wyjechał.

Maciaszek posłał żonie szybkie, niespokojne spojrzenie.

-

A może i racja, może i była noc. Nie pamiętam.

- Jak to po wódce – powiedziała usprawiedliwiająco Walentyna. - Upił się wtedy, to i nie pamięta.

-

Kto się upił?! - zachnął się Maciaszek. - Czym? Litr wódki na pięć osób. Straszne mi picie.

-

Litr wódki na pięć osób - powtórzył Downar. - To rzeczywi-

ście niewiele. Więc było was pięć osób?

-

No tak. My dwoje, teściowie i Władek, brat żony.

-

Ilu pani ma braci? - Jednego.

Downar zamyślił się. Wyjął nowego papierosa, ale go nie zapalał.

Bawił się nim przez chwilę i z powrotem włożył go do papierośnicy.

-

Więc w końcu kiedy pani ojciec stąd wyjechał? - spytał, zwracając się do Walentyny. - W nocy czy po południu?

-

W nocy.

-

Ostrzegam panią, że za fałszywe zeznania grozi kara więzienia. Ja i tak dowiem się prawdy.

Maciaszek poruszył się niespokojnie. Jego śniada twarz nabiegła krwią.

-

Po co te całe zawracanie głowy?! - wybuchnął. - Powiedz, co i jak, i dobra. Ja tam nie myślę za starego łba nadstawiać!

-

Coś ty się upił?! - krzyknęła Walentyna.

Maciaszek wstał. Widać było, że powziął decyzję.

-

Więc jeżeli tak bardzo wam o to chodzi...

-

Oszalałeś?! Nie słuchajcie go! On się upił!

Downar dał znak. Porucznik Pliszczyk wyprowadził Walentynę.

-

No więc, jak to było?

Maciaszek ponuro spojrział na milicjantów.

-

Nic nie było. Stary przyjechał rano, zjadł obiad i przed wieczorem wyjechał do Augustowa.

-

Słyszeliście o Korolkiewiczu?

-

Pewnie. To sąsiad mego teścia.

-

Czy wiecie, że nie żyje? Został zamordowany.

Maciaszek wzruszył ramionami.

-

Coś tam ludzie gadają, ale nie chciałem w to wierzyć. Zresztą, co mnie może obchodzić Korolkiewicz?

-

A Władysław Wojtaś, brat waszej żony, wyjechał wtedy od was razem z ojcem?

-

Tak. I teściowie, i Władek wsiedli na furmankę i pojechali do siebie.

Downar wstał i spojrział na oficerów.

-

No, to chyba już wracamy. Nie będziemy dłużej zabierać czasu ludziom pracy.

Pożegnali przygnębionego Maciaszka i wsiedli do samochodu.

Tym razem Pietrzak ulokował się koło Downara.

-

No i co wy o tym wszystkim myślicie, towarzyszu kapitanie?

-  
Myślę, że stary łąze jak z nut.

-  
Ale dlaczego?

-  
Nie wiem. Może ze strachu, a może... Czy wiecie, że u niego w ogrodzie znalazłem łuskę kaliber 38?

-  
O, do diaska! Trzeba go będzie przycisnąć.

-  
Właśnie mam taki zamiar.

Kiedy chcecie wracać do Warszawy?

- Jak najprędzej. Powiedźcie mi, poruczniku, czy przedtem znaliście córkę Korolkiewicza?

-  
Tak. Widziałem ją parę razy. Przyjeżdżała z ojcem do Białe-gostoku.

- A czy poznaliście także jej męża, niejakiego Luberta?

Pietrzak potrząsnął głową.

-  
Nie, nigdy go nie widziałem. Słyszałem tylko, że to bardzo przystojny facet. Podobno jest marynarzem.

Downar nagle stracił ochotę do rozmowy. Zamyślony patrzył w okno. Mogło się zdawać, że bez reszty pochłonęło go piękno krajobrazu.

Kiedy przyjechali do Augustowa, porucznik Pliszczyk spytał:

-  
No to co? Weźmiemy się chyba teraz za tego Wojtasia?

Dobra - zgodził się Downar. - Sprowadźcie go do komisariatu.

Po upływie pół godziny stary stolarz siedział przed milicjantami.

Nie wyglądał na zdenerwowanego. Spokojnie palił papierosa i od czasu do czasu s pluwał.

Downar postanowił od razu zaatakować.

-

Dlaczego wprowadzacie władzę w błąd? - spytał ostro.

Wojtaś spojrzał na niego zdziwiony.

-

Ja wprowadzam władzę w błąd? Ale skądże?

-

Powiedzieliście mi, że wtedy od córki wróciliście po północy, a tymczasem zięć wasz zeznał, że wyjechaliście od nich po południu.

Z Wólki do Augustowa jest około dziesięciu kilometrów. Nawet spacerkiem można zająć w dwie i pół godziny. Ponadto twierdzili-

ście, że wasz syn był tego wieczoru u kolegów na kartach. Okazuje się, że i on był z wami w Wólce.

Stary wyjął z ust papierosa i przygryzał wąsy.

-

Widocznie musiało mi się pomylić - powiedział. - Popiliśmy trochę z zięciem i tak dobrze nie pamiętam, jak tam było. Zdawało mi się, że wróciłem do domu po północy, ale mogło być trochę wcześniej. Bo ja wiem zresztą... A może się zięciowi coś pokręciło.

Na wsi to ludzie specjalnie na zegarek nie patrzą.

Downar pochylił się nad stołem i zbliżył twarz do twarzy stolarza.

-

Słuchajcie, obywatelu Wojtaś, takie historyjki to możecie opowiadać swojej żonie, a nie mnie. „Że popiliśmy, że dobrze nie pamiętam, że może się zięciowi pokręciło...”. Co wy sobie wyobrażacie? Zdaje się wam, że na frajera trafiliście?

-

Uchowaj Boże, panie kapitanie.

-

No więc...? Dajcie spokój tym wszystkim kombinacjom, bo to się może źle skończyć. Lepiej od razu mówcie, dlaczego chcieliście mnie wprowadzić w błąd.

- Ja nie... Ja... Ja nie chciałem. Bo tego...

Downar sięgnął do kieszeni, wyjął łuskę i położył ją sobie na dłoń.

-

-

Czy wiecie, co to jest?

-

No jakże...? Pewnie, że wiem. Łuska od pistoletu.

-

Znalazłem tę łuskę w waszym ogrodzie. Jesteście podejrzani o zamordowanie Korolkiewicza.

Wojtaś zbladł gwałtownie. Cofnął się instynktownie.

- Ja tego nie zrobiłem. Jak Boga kocham! Ja nic nie wiem. Ja nie mam broni. I dlaczegoż miałbym zabić Korolkiewicza? Nic mi nie zawinił. Naprawdę, panie kapitanie, ja nie...

Downar uważnie obserwował jego twarz.

-

No więc może mi teraz powiecie wreszcie prawdę. Pamiętajcie, że każde kłamstwo pogarsza waszą sytuację. To nie są żarty.

-

Co mam mówić? - jęknął stary.

-

Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego usiłowaliście we mnie wmówić, że wróciliście z Wólki dopiero po północy i dlaczego usiłowaliście ukryć to, że syn był z wami.

Wojtaś zawahał się. Trudno mu było powiedzieć prawdę.

-  
No dalej - przynaglił go Downar. - A jak nie, to każę was za-kuć w kajdany i zabiorę do Warszawy jako mordercę. W więzieniu będziecie mieli dosyć czasu do namysłu.

Niespodziewanie Wojtaś wybuchnął.

-  
To wszystko przez niego! Żeby go nagła śmierć! Żeby zgnił

w więzieniu! To przez tego drania! A mówiłem, że to się źle skoń-

czy! Mówiłem, że cały ten interes funta kłaków niewart! I potrzebne mi to było?! Niechże go jasny piorun...! Bandzior, oprych, krymina-lista!!!

O kim wy mówicie? - spytał spokojnie Downar.

- Jak to o kim? O Władku.

-  
O waszym synu?

-  
Bodaj bym go nigdy nie spłodził!

-  
Dlaczego tak niechętnie jesteście usposobieni do syna?

-  
Dlaczego? A dlatego, że to on mnie wciągnął w te machloje.

To jego robota. Obiecywał mi Bóg wie co. A te głupie parę złotych to sam potrafię zarobić, uczciwie, bez narażania się.

-  
O jakich machlojach wspominać?

Wojtaś zawahał się. Nagle opuściła go elokwencja. Spojrzał

spode łba na milicjantów. Widać było, że zaczyna już żałować swego wybuchu.

Downar nie chciał dopuścić do tego, żeby stary się zaciął.

-  
Nie zapominajcie o tym, że jesteście podejrzani o morderstwo. To gorsze niż wszystkie machloje razem wzięte.

-  
Czego pan chce ode mnie? - spytał ponuro stolarz.

-  
Chcę, żebyście mi powiedzieli prawdę. A przede wszystkim chcę wiedzieć, o jakich to machlojach mówiliście.

-  
Władek tam kombinuje w fabryce.

-  
Kradnie buty?

-  
Kumple, dranie, wciągnęli go. Młody chłopak, to i głupi.

-  
Ale i wy także daliście się wciągnąć?

Wojtaś nie odpowiedział. Nerwowo przygryzał wąsy. Downar zapalił papierosa i pytał dalej:

-  
No więc jak to było w ten czwartek? Dlaczegoście powiedzieli, że wróciliście dopiero po północy do domu?

-  
Bo Władek umówił się na wieczór w domu z jednym go-

ściem. Towar miał zabrać. To powiedziałem zięciowi i córce, żeby w razie czego mówili, że do północy byłem u nich, a znowu Władek poprosił kolegów, żeby poświadczyli, że był u nich na kartach. Kto mógł wiedzieć, że akurat tego wieczoru ktoś rąbnie tego Korolkiewicza. Ale to nie ja, panie kapitanie. Jak Boga kocham!



A kto?

Wojtaś nie wytrzymał natarczywego spojrzenia Downara. Spuścił

oczy.

-

Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć.

-

Ale strzały słyszeliście?

-

Nic nie słyszałem. Nic nie wiem.

-

Nie kłamcie! - Downar podniósł głos. - To się już teraz na nic nie zda. Wszelkie kręactwa pogorszą tylko waszą sytuację. Kto zamordował Korolkiewicza? Mówcie!

-

Nie wiem.

-

Kto zamordował Korolkiewicza?

-

Nie wiem.

Downar uważnie obserwował twarz starego stolarza. W szarych oczach dojrzał strach. Kiedy mówili o Władku i o nieczystych kombinacjach w fabryce, Wojtaś był speszony, zdenerwowany, niespokojny. Teraz ogarnęło go przerażenie. Widać było, że w tej chwili nic nie zdoła przełamać jego uporu, że nic nie powie.

Downar zrezygnował z dalszej indagacji. Pochylił się do porucznika Pliszczyka i szepnął:

-

Starego zatrzymacie na razie tutaj. Sądzę, że następnie przekażecie go Warszawie. Zajmijcie się sprawą tej kradzieży w fabryce.

Trzeba znaleźć Władka.

-  
Wychodzicie już? - spytał Pietrzak.

-  
Tak. Chcę zamienić kilka słów z córką Korolkiewicza. Potem chciałbym jeszcze z wami pogadać.

-  
Dobra!

Elwira ciągle jeszcze mieszkała w hotelu. Kiedy Downar wszedł do jej pokoju, leżała na łóżku wpatrzona w sufit. Zerwała się zażenowana.

- O, bardzo przepraszam, ale nie spodziewałam się pana. Myślałam, że to ta kobieta.

Downar uśmiechnął się życzliwie.

-  
Proszę sobie nie przeszkadzać. Nie przychodzę przecież do pani z ceremonialną wizytą. Jak się pani czuje?

-  
Dziękuję. Nieźle.

Wyjął papierośnicę.

-  
Pozwoli pani zapalić?

-  
Ależ oczywiście.

Zaciągnął się dymem i popadł w melancholijną zadumę.

-  
Tak - westchnął. - Takie to już jest to nasze życie. Człowiek nie jest pewny dnia ani godziny. Na każdym kroku czyhają na nas jakieś niebezpieczeństwa, tragedie, zawody. Serdecznie mi pani żal.

Proszę mi wierzyć.

-

Wierzę panu. Jest pan dla mnie naprawdę bardzo dobry. Sama nie wiem, jak mam panu dziękować.

-

Ależ... nie ma o czym mówić. Każdy w tej sytuacji zachował-

by się tak samo. Więc pani została w tej chwili zupełnie sama?

-

Zupełnie.

-

I nie ma pani nikogo?

-

Nikogo.

-

Żadnej rodziny, krewnych?

-

Nie. Nie mam nikogo.

-

Ani w kraju, ani za granicą?

Ostatnie słowa wypowiedział zupełnie swobodnie, bez najmniejszego nacisku.

-

Za granicą także nie mam nikogo. Dlaczego pan pyta?

-

Dlatego, że jeśli mi dobrze wiadomo, ojciec pani otrzymywał

z zagranicy jakieś paczki. Myślałem więc, że to może ktoś z rodziny...

-  
Ach, nie... To jakiś przyjaciel ojca. Nie wiem zresztą. Tatuś niechętnie mówił na ten temat.

-  
Hm. Doprawdy nie wiem, co by pani doradzić. Rozumiem, że dalsze pozostawanie w Augustowie byłoby dla pani bardzo niemiłe, przynajmniej na razie. Jaka szkoda, że małżeństwo pani okazało się takie nieudane. Czy nigdy nie zastanawiała się pani nad tym, żeby pogodzić się z mężem?

- To niemożliwe, to zupełnie niemożliwe! - zawołała z nagłym przyływem energii.

-  
Tak niechętnie jest pani usposobiona do swego małżonka?

- Ja go nienawidzę!

-  
O... to aż tak? Miłość szybko przerodziła się w nienawiść?

-  
Nigdy go nie kochałam.

-  
Dlaczego wobec tego wyszła pani za niego za mąż? Nie rozumiem.

-  
Tatuś tego sobie życzył.

Downar zrobił zdziwioną minę.

-  
To jeszcze nie powód, żeby pani wychodziła za mąż za nie-kochanego człowieka. Żyjemy przecież w dwudziestym wieku, a nie w średniowieczu. Mogła się pani nie zgodzić.

-  
Och, niech pan nie myśli, że z tatusiem to było tak łatwo!

- Ale dlaczego ojcu zależało na tym, żeby pani poślubiła tego Luberta? O ile mi wiadomo, to nie żadna nadzwyczajna partia. Jest marynarzem.

Nie odpowiedziała. Widać było, że nie ma ochoty kontynuować tej rozmowy.

Downar nie chciał nalegać. Wiedział z doświadczenia, że w takich wypadkach należy się uzbroić w cierpliwość i że pośpiech może popsuć całą sprawę. Pozyskał sympatię i zaufanie tej dziewczyny.

Zbytнім wścibstwem, zbytнім natręctwem mógłby sobie ją zrazić.

Raz stracone zaufanie trudno potem odzyskać. Nie wolno mu było ryzykować.

-

Sądziłem, że pani jednak wybiera się za granicę - powiedział

po chwili.

-

Nie. Dlaczego tak pan przypuszczał?

-

Bo wpadł mi w ręce paszport pani. To znaczy niezupełnie pa-ni, ale... To jakiś dziwny paszport. Proszę spojrzeć. Fotografia jest pani, ale nazwisko...

-

Ach, więc jednak znalazł pan to?

-

Tak. W biurku pani ojca, na samym dnie szuflady. Niestety nie miałem kluczy i zmuszony byłem wyłamać zamek. Proszę mi wybaczyć. Ale wróćmy do tego paszportu... Więc pani jednak miała wyjechać za granicę?

-

Tak.

-

No dobrze, ale dlaczego przybrała pani sobie imię Agnieszki, a nazwisko panińskie napisano w paszporcie: Chojecka? Przecież pani jest z domu Korolkiewicz.

To oni tego chcieli.

-

Kto?

- Tatuś i Lubert. Z fałszowaniem paszportu nie miałam wspólnego.

- Ani przez chwilę o to panią nie podejrzewałem. Nie rozumiem tylko, dlaczego wpisano do pani paszportu fałszywe dane.

- Ja także tego nie rozumiem.

Tyle było szczerości w jej słowach, że Downar zdumiał się. Nie bardzo wierzył, że dziewczyna nie była wtajemniczona w kombinacje ojca i męża, w których zresztą ona sama odgrywała jakąś dosyć poważną rolę, ale... Zarówno w jej głosie, jak w całym jej zachowaniu się nie wyczuwał kłamstwa.

-

Kiedy pani miała wyjechać za granicę? - spytał.

-

O, już dawno. W zeszłym roku.

-

Miała pani wyjechać z mężem?

-

Tak.

-

I co wpłynęło na zmianę pani decyzji?

Spuściła oczy. Mocny rumieniec zabarwił jej policzki.

-

Pokochałam kogoś - szepnęła.

-

Uhm. Tak. Nie chciałbym być niedyskretnym, ale...

-

Mogę panu powiedzieć. To ten dziennikarz.

-

Rowicki...?

-  
Tak. Andrzej Rowicki. Oczywiście mówię to panu w całkowitym zaufaniu.

-  
To się samo przez się rozumie. Może pani całkowicie polegać na mojej dyskrecji.

-  
Dziękuję.

Downar wyjął z teczki „pamiętnik mordercy”, tak bowiem nazwał żółty zeszyt znaleziony w hotelu i otworzył go na pierwszej stronie.

-  
Wpadł mi przypadkowo w ręce ten brulion - powiedział, patrząc na Elwirę. - Charakter pisma pani ojca. Treść trochę dziwna.

Czy pani wie coś na ten temat? Proszę, niech pani spojrzy!

Uśmiechnęła się.

-  
Tak, oczywiście, że wiem. Tatuś chciał napisać powieść pod tytułem *Pamiętnik mordercy*. Tyle lat pracował w milicji, więc...

-  
Rozumiem. Życie na cichej prowincji sprzyja rozmyśleniom na tematy literackie. Zeszyt ten został znaleziony w tutejszym hotelu.

Skąd się mógł tam wziąć? Jak pani sądzi?

Wyraźnie była zaskoczona.

-  
W hotelu? Nie mam pojęcia. Byłam przekonana, że pan go znalazł w biurku tatusia.

Downar nagle zmienił temat rozmowy.

-  
-

Czy może mi pani powiedzieć, co się stało, kiedy pani odmówiła wyjazdu za granicę.

Na samo wspomnienie tamtych chwil pobiadła.

-

Była straszna awantura. Tatuś wpadł we wściekłość. Uderzył mnie nawet kilka razy, co się nigdy nie zdarzało. Krzyczał.

-

Co krzyczał?

-

Że jestem wyrodna córka. Że przeze mnie nigdy nie wydobędzie się z nędzy.

-

A gdzie pani miała wyjechać?

-

Do Argentyny.

-

Czy ojciec pani znał Luberta dawniej, czy też poznał go dopiero w związku z waszym małżeństwem?

-

O, tatuś znał Henryka bardzo dawno, jeszcze przed wojną. To stara przyjaźń.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

-

Chciałbym pani coś zaproponować: niech pani przyjedzie do Warszawy. Umieszczę panią na razie u moich przyjaciół, a następnie wystaramy się dla pani o jakąś pracę. Co pani na to?

Zaczerwieniła się z wrażenia.

- Jest pan naprawdę bardzo, bardzo dobry. Dziękuję.

Downar pożegnał Elwirę i wrócił do komisariatu. Chciał jeszcze pogadać z Pietrzakiem. Wieczorem



postanowił pojechać do Gdyni.

Musiał odnaleźć Henryka Luberta.

## ROZDZIAŁ IX

-

Henryk Lubert? Tak, tak, oczywiście, że go znam. Wysoki, przystojny brunet. Robi wrażenie jakiegoś południowca. Hiszpana czy Włocha. Pływał u nas na różnych statkach, jako bosman, jako elektryk. Zdaje się, że z zawodu jest elektrykiem. Zdolny facet, ale kombinator nie z tej ziemi. Nic tylko mu szmugle i różne kanty w głowie. Mieliśmy tu z nim sporo kłopotów. Kilka lat temu został

nawet zwolniony z floty. Ale przyjęli go z powrotem. Brak ludzi, a szczególnie brak fachowców. No to z powrotem zamustrowali go na jakiś frachtowiec.

-

Na jakich liniach najczęściej pływał?

- Jeżeli dobrze pamiętam, to przeważnie pływał do południowej Ameryki.

-

Ile on może mieć lat?

-

O, będzie miał dobrze po czterdziestce. Pływał przed wojną.

Jeżeli pan kapitan sobie życzy, to mogę panu powiedzieć dokładnie.

Musiałbym wyszukać jego teczkę w aktach personalnych.

-

Byłbym panu bardzo wdzięczny, panie dyrektorze - powiedział Downar - gdyby pan zechciał dać polecenie, aby przygotowano mi możliwie dokładny wyciąg z akt personalnych Luberta. Szczególnie interesują mnie jego fotografie. Może mi pan to wszystko przesłać do hotelu. Zatrzymałem się tutaj w Dworcowym, parę kroków stąd.

-

Doskonale. Najdalej za dwie godziny będzie pan miał

wszystkie dane.

-

Dziękuję. Sądzę, że nie potrzebuję wspominać, iż nasza rozmowa miała charakter ściśle poufny. Nikt tu u pana w biurze nie powinien się domyślić, że milicja interesuje się osobą Luberta.

-

Och, to się samo przez się rozumie.

Downar pożegnał uprzejmego starszego pana. Wychodząc z biura Polskich Linii Oceanicznych, posłał uwodzicielski uśmiech uroczej blondynce, siedzącej za drewnianą ladą. Zarumieniła się i spuściła oczy.

-

Niebrzydkie babki w tej Gdyni - mruknął do siebie i pośpiesznie zbiegł po schodach.

Na rogu następnej ulicy czekał w służbowym wozie porucznik Stefaniak z morskiego komisariatu. Niskiego wzrostu, drobny, odznaczał się bystrą inteligencją i wielkim sprytem. Niepozorne kształty ciała dziwnie kontrastowały z okazałym organem powonienia, który mógł wzbudzić uczucie zazdrości w sercu samego Cyrana de Bergerac. Utało się też powiedzenie, że Stefaniak ma najlepszego nosa na całym Wybrzeżu.

-

No i jak tam, towarzyszu kapitanie? Jak wam poszło?

-

Nieźle - odparł Downar, lokując się w samochodzie. - A teraz miałbym ochotę zwiedzić komorę celną, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

-

Nie widzę żadnych przeszkód.

Jechali bez słowa. Pierwszy przerwał milczenie Stefaniak. Pociągnął raz i drugi swym potężnym nosem i powiedział:

-

Czuję jakiś poważniejszy swąd w powietrzu. Jak już Komenda Główna nas odwiedza, to znaczy, że nielicha rozróżba się szykuje.

-

To bardzo prawdopodobne - zaśmiał się Downar. - Powiedzcie mi, poruczniku, czy słyszeliście kiedy o takim facecie, który się nazywa Lubert, Henryk Lubert?

-

Lubert? A jakże ja mógłbym nie znać tego bandziora?

- Widzę, że nie jesteście o nim zbyt wysokiego mniemania.

-

Toż to kawał oprycha. Już dawno mam go ochotę przyskrzy-nić tylko, że drań cwany, nigdy nie można go na niczym nakryć.

-

O co go właściwie podejrzewacie? - spytał Downar.

-

O co? O wszystko. Przede wszystkim o szmugiel na dużą skalę. A w zeszłym roku mieliśmy tu interesujące morderstwo, które nie zostało wykryte. Nie dałbym dwóch groszy, że to sprawa Luberta.

Szofer zahamował.

-

Przyjechaliśmy - powiedział Stefaniak. - Czy chcecie, żebym wam towarzyszył?

Downar zawahał się. Doszedł jednak do przekonania, że będzie lepiej, jeśli sam pokręci się po terenie. Nikt go tu nie znał, prze-chadzka nie będzie więc miała oficjalnego charakteru. Ustalili, że Stefaniak wróci do komisariatu i postara się odszukać Luberta.

Na komorze celnej ruch był duży. Odprawiano dwa statki. Spoce-ni celnicy uwijali się jak w ukropie. Zdenerwowani pasażerowie niecierpliwie czekali na załatwienie ostatnich formalności przed wyruszeniem w podróż.

Downar chciał nawiązać znajomości, pogadać sobie z celnikami, dowiedzieć się czegoś o Lubercie. Jeżeli to prawda, że zajmował się szmuglem, to gdzie jak gdzie, ale właśnie tutaj musiał mieć kumpli.

Trzeba było jednak działać bardzo ostrożnie.

Twarz jednego z celników wydała mu się znajoma. Szczupły, mizerny blondyn. Na razie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go widział. Ależ tak, oczywiście, to znajomy Korzybskiej, z którym wtedy... Zmienił go mundur celnika i dlatego...

-  
Moje uszanowanie panu redaktorowi.

-  
Dzień dobry. Nie wiedziałem, że pan tu pracuje.

-  
Podobno żadna praca nie hańbi - uśmiechnął się blondyn. - A pan redaktor co tu u nas porabia? Może wybiera się pan w zamorską podróż?

-  
Na razie jeszcze nie. Poszukuję jakiegoś tematu do nowego reportażu.

-  
O to na Wybrzeżu chyba nietrudno. Tematów pan tu znajdzie dosyć. A może by coś na temat szmugielku?

Downar spojrział z zaciekawieniem.

-  
A wie pan, że to jest zupełnie niezła myśl. Widzę, że teraz jest pan zajęty, ale może moglibyśmy spotkać się jutro i pogadać trochę na interesujące tematy?

-  
Bardzo chętnie. Niech pan do mnie zadzwoni, do biura. Czy pamięta pan jeszcze moje nazwisko?

- Właśnie nie bardzo. Przepraszam, ale wtedy tak jakoś ta prezentacja odbyła się przelotnie, że nie dosłyszałem, jak się pan nazywa.

-  
Radwański, Zdzisław Radwański. Zaraz panu zanotuję numer telefonu. O proszę. Najlepiej niech pan do mnie zadzwoni z samego rana.

-  
Doskonale. Bardzo dziękuję. A jak się miewa pańska urocza znajoma, pani Irma?

-  
Bardzo dawno jej nie widziałem. Nie mam czasu na jazdy do Warszawy.

-  
Ach, to ona mieszka w Warszawie?

-  
Tak. Niestety!

-  
Chętnie bym ją kiedyś odwiedził, jeżeli oczywiście pan nie jest zbyt zazdrosny.

-  
Ale skądże! Zresztą nie mogę mieć zbyt dużych wymagań.

Dziewczyna tam siedzi sama, musi się czasem trochę rozerwać, pójść na kawę czy do kina. A poza tym, przyznam się panu, że w Gdyni też mi się klei coś interesującego. Nawet byłoby mi na rękę, gdyby się pan trochę Irmą zajął.

-  
No to świetnie. Jak ona się nazywa?

-  
Markowska. Irma Markowska.

-  
A gdzie pracuje?

W oczach blondyna Downar dostrzegł wahanie. Ale już było za późno, żeby się wycofać.

-  
Irma pracuje w Biurze Paszportowym.

-  
O, to nawet blisko mnie. Dobrze się składa. Wpadnę do niej któregoś dnia.

-  
Niech się jej pan kłania ode mnie.

-

Oczywiście. No, to nie zabieram panu więcej cennego czasu i jeżeli pan pozwoli, to jutro do pana zadzwonię.

-

Proszę uprzejmie. Kłaniam się panu redaktorowi.

Downar był zadowolony z tej rozmowy. W czasie wizyty u Korzybskiej wydało mu się, że ten facet o coś go podejrzewa. Teraz jednak przekonał się, że nie. Przecież tak by szczerze z nim nie rozmawiał.

A może to on rąbnął Gernerę? Do licha, tej ewentualności nie można było wykluczyć. Morderstwo popełnione zostało w Warszawie, a Radwański pracował w Gdyni. Mógł sobie skombinować genialne alibi, a podróż w obie strony odbyć samolotem. Trzeba się będzie nad tym poważnie zastanowić. Ale z drugiej strony, jeżeli Lubert kropnął Korolkiewicza, a Radwański Gernerę, to jak powiązać ze sobą te dwie sprawy? Nie było bowiem wątpliwości, że jakiś zwią-

zek tu istnieje. Ale jaki?

Znalazł w porcie wolną taksówkę i kazał się zawieźć do komisariatu. Porucznik Stefaniak czekał na niego cierpliwie.

-

No i co? Są jakieś rezultaty? Zadowoleni jesteście?

-

Gdzie możemy spokojnie pogadać? - spytał Downar.

Przeszli do sąsiedniego pokoju. Stefaniak dał polecenie, żeby im nie przeszkadzano.

Downar wyjął z kieszeni paczkę waweli.

-

-

O, nie, nie - zaproponował energicznie Stefaniak. - Za-palcie mojego. Mam tu w szufladzie lepsze, oryginalne tureckie.

Szmuglowane.

-

No, jak szmuglowane, to na pewno lepsze - zaśmiał się Downar. - Co z Lubertem?

Porucznik rozłożył ręce.

-  
Zniknął. Chyba go nie ma w Gdyni. Szukają go jeszcze w Gdańsku i w Sopocie, ale wątpliwe, żeby się to na coś zdało. Jego statek stoi na razie w stoczni. Jakaś awaria po ostatnim rejsie. Będą go reperowali ładnych kilka tygodni. Facet nie ma co robić i jeździ po całej Polsce. Możliwe, że siedzi teraz w Warszawie.

-  
Możliwe - powiedział w zamyśleniu Downar. - Bardzo chciał-

bym się z nim spotkać. Słuchajcie, poruczniku, uważajcie, żeby wo-kół tych poszukiwań nie robić zbytniego szumu. To wszystko musi się odbywać bardzo dyskretnie. Lubert nie powinien wyczuć, że go poszukujemy.

-  
Oczywiście. Tego nie potrzebujecie mi tłumaczyć.

Downar głęboko zaciągnął się dymem.

-  
Nieźle te papierosy... Aha... i jeszcze jedno. Tutaj, na komorze celnej pracuje taki gość, który nazywa się Zdzisław Radwański.

Pomyślcie nad jakimś pretekstem, żeby go tu wezwać i trochę wy-macać. Postarajcie się wyciągnąć z niego wszystkie możliwe wiadomości o Lubercie. Mam pewne dane po temu, aby przypuszczać, że oni mają między sobą jakieś powiązania, i to powiązania niezbyt czyste. Facet nie wygląda mi na bardzo twardego i jak się do niego umiejętnie weźmiecie, to powinien śpiewać jak z nut. Pamiętajcie, że ja w jego oczach uchodzę za dziennikarza i nie zdradźcie mego incognito.

Stefaniak skinął głową.

-  
Możecie być zupełnie spokojni. Wszystko załatwi się na medal. Tylko jedno pytanie: jak znajdziemy Luberta, to od razu go pod klucz?

-  
Nie, nie, broń Boże! Jeżeli go znajdziecie, to trzeba dać mu dobrą obstawę, ale wiecie, taką na sto dwa. Dzień i noc musi być pod obserwacją. Nie jest wykluczone, że będzie chciał pryskać.

-  
Utrudnimy mu to - uśmiechnął się Stefaniak. - Spokojna głowa.

Downar pożegnał sympatycznego porucznika i poszedł coś zjeść.

Im dłużej zastanawiał się nad prowadzoną sprawą, tym bardziej wydawała mu się ona skomplikowana. Każda próba powiązania poszczególnych faktów w jakąś logiczną całość kończyła się niepowodzeniem. Chwilami ogarniało go zwątpienie. Nie był pewien, czy nie będzie zmuszony poddać się w tej walce, uznać się za pokonanego.

Bo co właściwie wiedział? Prawie nic. Garść luźnych faktów, które absolutnie nie trzymały się kupy.

Tak był zniechęcony do siebie samego, a właściwie do swej inteligencji, że postanowił choć przez parę godzin nie myśleć o śledztwie, chciał wybrać się do kina, ale w ostatniej chwili rozmyślił się.

Pojechał do hotelu.

Portier wręczył mu kopertę firmową Polskich Linii Oceanicznych. Dane dotyczące osoby Henryka Luberta były skrupulatnie wynotowane. Dwie fotografie w różnych ujęciach. Duże ciemne oczy, regularne rysy, pociągła, śniada twarz. To była prawda: Lubert był typem południowca.

Do wieczoru Downar spał jak zabity. Potem zapłacił za hotel, wziął walizkę i poszedł na dworzec. Wsiadł do pociągu, odchodzą-

cego w kierunku Warszawy.

Okazuje się, że noc spędzona w wagonie może mieć zbawienny wpływ na działalność szarych komórek.

Kiedy pociąg zwolnił biegu i kiedy w porannej mgle ukazały się pierwsze, niewyraźne zarysy miasta, Downar miał już ustalony plan działania. I nie tylko wiedział, co ma robić, ale także stworzył sobie ogólną teorię całej sprawy. Wszystko to oczywiście było jeszcze bardzo mętne i nieoparte dostateczną argumentacją, mogło się jednak stać podstawą do prawidłowego rozwiązania zagadki.

Prosto z dworca pojechał do domu. Ogolił się, umył i nie tracąc czasu na śniadanie, kazał się taksówkarzowi zawieźć do Instytutu Kryminalistyki. Na szczęście zastał Domańskiego.

-

Dzień dobry, panie magistrze. Otrzymał pan ode mnie materiały przekazane z Augustowa?

Domański skinął głową.

-

Otrzymałem. A wy, kapitanie, jak zwykle jesteście w gorącej wodzie kąpani, co?

- Nie lubię tracić czasu.

-



Słusznie. Co pana w tej chwili interesuje? Zabójstwo Gernera czy zabójstwo Korolkiewicza?

-

I jedno, i drugie.

Domański przyniósł cały stos rozmaitych teczek i rozłożył je na stole.

- Więc...?

-

Może zaczniemy od początku - powiedział Downar. - Trupa Gernera znaleziono w jego własnym samochodzie, w moskwiczu.

Jak tam z odciskami palców na karoserii?

Domański wytarł hałaśliwie wiecznie zaczerwieniony nos i otworzył jedną z teczek.

-

No cóż... Materiał daktyloskopijny dosyć bogaty. Mamy odciski palców denata, to znaczy Gernera, dozorczyń z domu przy ulicy Senatorskiej, tych chłopaków, którzy zagłądali do wozu, śpiewaczki Korzybskiej oraz jeszcze jakieś niezidentyfikowane ślady, odciski dużych palców, prawdopodobnie męskich.

-

To jednak Korzybska... - rzekł w zamyśleniu Downar. - Niech mi pan powie, czy była przesłuchiwana w tej sprawie.

Domański potrząsnął głową.

-

Dokładnie nie wiem, ale nie sędzę. Czekali na pana. Odciski palców Korzybskiej wzięliśmy z kartoteki ewidencyjnej. Ona nic o tym oczywiście nie wie.

-

A jak przedstawia się sprawa z pociskami?

-

No więc tak... Kula, od której zginął Korolkiewicz, bezspornie pochodzi z pistoletu, z którego zastrzelono Gernera. Bardzo charakterystyczne nacięcia, nie mówiąc już oczywiście o tym, że kaliber się zgadza.

- Jaki to, według pana, mógł być typ pistoletu?

-

Hm... Głowy dać nie mogę, ale wydaje mi się, że to astra.

-

Astra? Nie znam takiego pistoletu.

-

Tak, bo to u nas mało znana broń. To pistolety hiszpańskie, bardzo rozpowszechnione w południowej Ameryce.

Downarowi zabłyśły oczy.

-

To niezwykle interesująca wiadomość. Niech mi pan jeszcze powie, panie magistrze, jak wypadła ekspertyza pamiętnika.

Domański z najgrubszej teczki wyjął żółty zeszyt.

-

Pismo było badane przez kilku fachowców. Wszyscy stwierdzają zgodnie, że to pisał Karolkiewicz, z wyjątkiem jednak ostatniego passusu, dotyczącego osoby Gnera. Ten końcowy fragment pamiętnika został, według wszelkiego prawdopodobieństwa, podrobiony.

Downar zamyślił się. To był nowy element w tej sprawie, którego nie bardzo rozumiał.

Obejrzał jeszcze dokładnie materiały daktyloskopijne, a następnie pożegnał Domańskiego i pojechał do komendy.

Leśniewskiego nie zastał, zastukał więc do gabinetu Walczaka.

Karol powitał go entuzjastycznie.

-

Jak się masz, Stefuś. Kopeć lat. Cóżżeś ty tak długo siedział w tym Augustowie?

-

Cholera - zaklął Downar. - Musiałem pojechać do Gdyni.

Diabli nadali tę sprawę.

-  
Tak ci ciężko idzie?

-  
Jak krew z nosa. Zebrałem całą furę materiałów, ale bez prze-rwy coś nowego wyskakuje. Ani rusz tego wszystkiego do kupy skleić.

Walczak wyjął z szuflady papierosy, a następnie wstał, otworzył okno i przeszedł się po pokoju.

-  
No i co? Pewnie znowu chcesz mnie zaprosić na „konsylium”?

-  
Nie tylko chcę cię zaprosić na „konsylium”, ale jeszcze mam zamiar podrzucić ci bardzo fajną dziewczynkę.

-  
Zwariowałaś?

Downar opowiedział przyjacielowi o swoim pobycie w Augustowie, o zamordowaniu Korolkiewicza i o sprawie Elwiry.

-  
Obiecałem, że jej pomogę znaleźć w Warszawie jakąś pracę -

zakończył. – Na razie nie mam jej tutaj gdzie ulokować. Musicie ją wziąć do siebie.

Walczak wzruszył ramionami.

-  
Wiesz, Stefuś, że ty czasem miewasz niesamowite pomysły.

Pogadaj z Heleną. Ja się tam do tego nie mam zamiaru wtrącać. Ale mniejsza z tym zresztą dodał po chwili. - Więc powiadasz, że ten Korolkiewicz został zamordowany?

-  
Tak. I wyobraź sobie, że ktoś go rąbnął z tego samego pistoletu, z którego został zastrzelony Gerner.

-  
Co ty mówisz? To ciekawe. Szkoda mi tego Korolkiewicza, to był bardzo sympatyczny facet. Widocznie ktoś musiał mieć żal do niego. Słuchaj, Stefuś, jeżeli chcesz ze mną na te tematy pogadać, to musisz mi wszystko, od początku, dokumentnie wyłożyć, bo ja wła-

ściwie nie znam sprawy. Słyszałem coś piąte przez dziesiąte, ale to stanowczo są za skromne wiadomości.

Downar sięgnął po papierosa i zaczął opowiadać, starając się nie opuścić żadnego szczegółu. W miarę, jak mówił, na twarzy Walczaka malowało się coraz większe zainteresowanie. Palił papierosa za papierosem, biegał po pokoju, nerwowo szarpał swą wiecznie rozwi-chrzoną czuprynę. Kiedy opowiadanie dobiegło końca, usiadł za biurkiem i zamyślił się.

-  
Wiesz co, Stefan - powiedział po chwili - że to jest rzeczywi-  
ście niewąsko zagmatwana historia.

-  
Co o tym myślisz?

-  
Hm... No cóż... Taką sprawę trudno rozgryźć na poczekaniu.

Mnie się wydaje, że centralnym elementem w tym wszystkim to będzie ten sfałszowany paszport, który znalazłeś w biurku Korolkiewicza.

- Ja też tak myślę - zgodził się Downar. - Ale, ale, zapomnia-

łem ci powiedzieć, że przyjaciółka tego Radwańskiego z komory celnej w Gdyni pracuje w Biurze Paszportowym. Trzeba ją będzie wezwać na przesłuchanie.

-  
Pamiętasz jej nazwisko? - spytał Walczak.

-  
Oczywiście. Irma Markowska.

Walczak uśmiechnął się.

Czy wiesz, że ona już od paru dni siedzi?

-

Niemożliwe?

-

Słowo daję. Kobiela ją przymknął. Wyszły na jaw jakieś machloje paszportowe.

-

To by pasowało znakomicie do tej sprawy.

Walczak wyrwał z bloku kawałek papieru i począł coś bardzo skrupulatnie notować.

-

Czekaj, czekaj... Musimy sobie to wszystko uporządkować.

Wydaje mi się, że przede wszystkim trzeba odpowiedzieć na pytanie: w jakim celu Lubert wystarał się dla tej małej o fałszywy paszport?

Dlaczego chciał, żeby jego żona występowała jako Agnieszka Chojecka? Trzeba mieć bardzo poważne powody, aby się zdecydować na fałszowanie paszportu. Facet tego pokroju co Lubert leci głównie na forszę, więc...

-

Czy masz na myśli jakieś kombinacje spadkowe? - spytał

Downar.

-

Otóż to, otóż to! - wykrzyknął Walczak. - Sprawy spadkowe.

Wyobraźmy sobie, że Agnieszka ma w Ameryce Południowej boga-tego wujaszka, który jej i jej ewentualnemu mężowi zapisuje przed śmiercią milionowy majątek. Lubert dowiaduje się o tym w jakiś sposób i postanawia pierwszą lepszą dziewczynę przedstawić nota-riuszowi w Buenos Aires jako Agnieszkę Chojecką. Czy nie uwa-

żasz, że taka kombinacja jest prawdopodobna?

Downar skinął głową.

-

Brzmi to zupełnie logicznie. Ale w takim razie co z Gernerem?

-

Gerner? Bardzo możliwe, że wpadł na ten sam pomysł, tylko że miał zamiar wywieźć autentyczną Agnieszkę. Wszedł po prostu Lubertowi w paradę i ten go kropnął.

-

Wiesz, Karolu, bardzo się cieszę, że przyszedłem do ciebie na rozmowę. To wszystko, co mówisz, potwierdza w jakiś sposób moje mętne koncepcje, które od kilku godzin snują mi się po głowie. Co mi teraz radzisz?

-

Przede wszystkim weź się energicznie za tę śpiewaczkę. Albo jest zamieszana w sprawę zabójstwa, albo dużo wie. Wezwij ją tutaj, przestań udawać dziennikarza, włóż mundur. Zobaczysz, że to zrobi na niej wrażenie. Zresztą, co cię będę uczył. Jeśli mi wiadomo, umiesz sobie radzić z babkami. Jak jej powiesz kilka ciepłych słów, to na pewno dowiesz się wielu ciekawych rzeczy. Następnie radził-

bym ci pogadać jeszcze z Agnieszką i z jej matką. Oczywiście z każdą z osobna. Musisz się zorientować, jaka tam rodzinka rozsiana jest po szerokim świecie. A co się tyczy pamiętnika, to się nim zbytnio nie przejmuj. Na mój nos to jakaś większa lipa. W każdym razie możesz sobie pogadać z tym dziennikarzem, jak mu tam?

-

Rowicki.

-

O właśnie. Ściągnij Rowickiego i przykręć mu trochę śruby. I jeszcze jedno. Radziłbym ci dać niezłą obstawę Wrońskiemu i Agnieszce.

-

To już dawno załatwiłem z Leśniewskim.

-

Dobrześ zrobił, bo z tego wszystkiego widać, że Lubert idzie na całego. Jeżeli to rzeczywiście on załatwił Gnera i Korolkiewicza, to już przed niczym się nie cofnie.

-

Tak - powiedział w zamyśleniu Downar. - Tak, masz rację.

Wstał i wyciągnął rękę do przyjaciela.

-

Dziękuję ci, Karolku. Rozmowa z tobą dała mi bardzo dużo.

Zdecydowanie rozjaśniło mi się we łbie.

-

Lepiej później niż wcale - uśmiechnął się Walczak i wrócił do przerwanej roboty.

Downar wyszedł z komendy i wsiadł do osiemnastki. Dopiero teraz czuł zmęczenie po nieprzespanej nocy. Musiał odpocząć chociaż ze dwie godziny.

Wysiadł z tramwaju przy Pięknej i poszedł do baru mlecznego na śniadanie.

Jedząc jajecznicę ze szczypiorkiem, zastanawiał się nad tym, co mu powiedział Walczak. - Ten Karol ma jednak głowę na karku -

mruknął i wypił duży łyk mleka.

Cała sprawa zaczynała mu się teraz zupełnie wyraźnie zarysowywać. Brakowało mu wprawdzie jeszcze niektórych elementów, ale miał nadzieję, że niedługo będzie już mógł wypełnić te luki.

Nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda. Odwrócił głowę i zobaczył znajomą twarz. Ależ tak, to ten dziennikarz, kumpel Wrońskiego.

Rowicki podniósł się od swego stolika i niepewnym krokiem zbliżył się do Downara. Był bardzo mizerny, a nieogolona od paru dni broda podkreślała jeszcze bladość jego twarzy.

-

Bardzo przepraszam - powiedział słabym głosem. - Zdaje się, że pan kapitan Downar?

-

Tak.

-

Czy można na chwilę usiąść koło pana?

-

Bardzo proszę.

Rowicki usiadł i zapalił papierosa. Ręce mu drżały.

-  
Chciałem... Chciałem nawet pana odwiedzić w komendzie.

-  
Szkoda, że pan tego nie zrobił. Czy ma pan do mnie jakiś interes?

-  
Tak... To znaczy, niezupełnie... Chociaż właściwie...

Downar patrzył na niego zdziwiony.

-  
Co się stało? Niechże pan mówi, o co chodzi?

Niespodziewanie Rowicki wybuchnął:

- Ja już tego dłużej nie wytrzymam! Ja się wykończę! Przecież ja jej nie zamordowałem! Musi mi pan wierzyć! Ja jej nie zamordowałem!

Downar rozejrzył się niespokojnie.

-  
To nie jest odpowiednie miejsce do tego rodzaju rozmów -

zauważył. - Mieszkam tu niedaleko, na Koszykowej. Może pan wpadnie do mnie, to sobie spokojnie pogadamy?

Wyszli. Rowicki ledwie trzymał się na nogach. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu na Koszykowej, Downar wyjął z szafki butelkę chiń-

skiego koniaku i napełnił kieliszki.

-  
Niech pan sobie rąbnie kielicha, to pana wzmocni - powiedział. - Co pan tak przegrany? Wygląda pan, jakby pan przed chwilą wyszedł z obozu koncentracyjnego.

Rowicki jednym haustem wypił koniak. Spojrzył przytomniej.

-  
Nie ma pan pojęcia, co ja w ostatnich dniach przeżyłem.



-  
Ale co się właściwie stało?

-  
Ukrywam się przed milicją. Boję się wrócić do domu.

-  
Ukrywa się pan przed milicją? - powtórzył zdumiony Downar. - Ale dlaczego?...

-  
Bałem się aresztowania. Niech mi pan jeszcze da tego koniaku... Bałem się aresztowania. Ale w końcu powiedziałem sobie: niech się dzieje, co chce. Pójdę do komendy i dobrowolnie oddam się w ręce władz. To jest ponad moje siły. Tak dłużej nie mogę... A zresztą ja jej nie zamordowałem. W ogóle nikogo nie zamordowa-

łem.

-  
Nic z tego wszystkiego nie rozumiem - powiedział szczerze Downar. - Zupełnie nic nie rozumiem. O jakim morderstwie pan mówi?

-  
Mówię o Helenie Wójcickiej! - krzyknął Rowicki. – Ale ja nie mam nic wspólnego z tym morderstwem.

-  
Może pan wypije ten drugi koniak i spróbuje wyjaśnić mi to wszystko spokojnie, bo w ten sposób to nigdy się nie dogadamy.

Rowicki wychylił kieliszek i odetchnął głęboko.

-  
Dziękuję. Ma pan rację. Muszę to panu wyjaśnić. - Zaczął trochę chaotycznie opowiadać o zajściu z Wrońskim i o Helenie Wójcickiej, która w owym tajemniczym pamiętniku występowała jako pierwsza ofiara mordercy.

-  
Przecież to pan znalazł ten żółty zeszyt w hotelu w Augustowie?

- Ja.

Downar pokręcił głową.

-

Dziwne. A pan w ogóle znał Helenę Wójcicką?

-

Oczywiście. Mówiłem przecież panu, że była przez krótki czas moją kochanką.

-

I mimo to zdecydował się pan pokazać ten pamiętnik?

Rowicki zrobił jakiś rozpaczliwy ruch ręką.

-

Panie kapitanie... A czyż ja przypuszczałem, że to o nią chodzi. To było w pięćdziesiątym czwartym roku. Czy pan myśli, że mogę spamiętać wszystkie babki, z którymi spałem przed siedmioma laty? Dopiero później uświadomiłem sobie, że mowa o Lenie, ale już było za późno, żeby ten zeszyt wycofać. Staszek od razu poleciał z nim do pana. A potem... a potem Staszek zaczął mnie podejrzewać, wypytywać, szperał w moich fotografiach. Zacząłem się po prostu bać, że... No, pan rozumie? Matka powiedziała mi, że jacyś faceci pytali się o mnie parę razy. Byłem pewny, że to z milicji. No to prysnąłem i nie nocowałem w domu, nie pokazywałem się w redakcji.

Ale jak długo tak można? Już nie mam sił, panie kapitanie... Niech mi pan pomoże. Ja naprawdę nie mam na sumieniu tego morderstwa.

-

A co pan ma na sumieniu? - spytał Downar.

Rowicki poruszył się niespokojnie.

-

Właściwie... właściwie nic. Cóż mógłbym mieć na sumieniu?

Downar uważnie przyjrzał się dziennikarzowi.

-

Różne rzeczy można mieć na sumieniu. Niekoniecznie zaraz morderstwo. Niech mi pan opowie dokładnie, jak to było z tym pa-miętnikiem, który pan przywiózł z Augustowa?

-  
Znalazłem go w hotelu, na szafie.

-  
Tak, tak, to już słyszałem kilka razy. Chodzi mi w tej chwili o coś innego. Otóż, niech pan sobie wyobrazi: ekspertyza wykazała, że ostatni fragment pamiętnika, dotyczący zamordowania Gernerera został napisany nie tą samą ręką. Ktoś bardzo umiejętnie podrobił charakter pisma autora poprzedniego tekstu. Czy mógłby mi pan coś na ten temat powiedzieć?

Rowicki z nagłym zainteresowaniem zaczął się wpatrywać w podłogę. Nerwowo wyłamywał sobie palce ze stawów.

Downar, widząc jego wahanie, dodał:

-  
Jeśli pan chce, żebym panu dopomógł w pańskich kłopotach, radzę mówić prawdę. W przeciwnym razie będzie pan miał mnie przeciwko sobie. Nie sądzę, żeby to było dla pana korzystne.

-  
To ja dopisałem... - powiedział cicho Rowicki.

-  
Dlaczego pan to zrobił?

-  
Ot, tak, po prostu dla kawału. Staszek Wroński jest moim przyjacielem. Ten bydlak zabrał mu żonę, więc chciałem... To było bardzo głupie. Przyznaję. Przypuszczałem, że milicja zainteresuje się tym pamiętnikiem i że Gerner zostanie ostrzeżony. Chciałem mu napędzić stracha. To wszystko. Umiem podrabiać pismo. Mam do tego jakiś dziwny dryg.

-  
Niebezpieczne uzdolnienie - mruknął Downar. - No cóż...

Przyjmuję pańskie wyjaśnienie. Niech pan się jutro rano zgłosi w Komendzie Głównej. Załatwimy wszystko formalnie. Postaram się, żeby tę sprawę zakończyć jak najmniej boleśnie dla pana. A teraz niech pan spokojnie idzie do domu. Powinien się pan porządnie wyspać i coś zjeść. Nikt pana nie przyjdzie aresztować, niech się pan nie boi.

Rowicki zaczął dziękować, ale Downar mu przerwał:

-  
Dobrze, dobrze. Później będziemy sobie dziękować. Na razie niech pan idzie spać. Ledwo pan się trzyma na nogach.

Kiedy Downar pozostał sam, chwycił telefon i zadzwonił do Walczaka. Nie mógł wytrzymać, żeby nie podzielić się z przyjacielem najnowszą sensacją.

-  
To brzmi interesująco - powiedział Karol. - Ale ja ci radzę, żebyś nie był zbyt łatwowierny. Tego chłopaka trzeba wziąć pod obserwację.

-  
Oczywiście. Właśnie chciałem cię prosić, żebyś mi to załatwił. Pogadaj z majorem, jak tylko wróci do komendy.

-  
Dobrze. Cześć! Aha... czekaj, czekaj, chwileczkę! Dzwonił z Augustowa porucznik Pliszczyk. Prosił, żeby ci przekazać wiadomość, stolarz Wojtaś zeznał, iż owego wieczoru, kiedy został zamordowany Korolkiewicz, widział na szosie Luberta.

-  
To bardzo ważne - powiedział Downar. - Wojtaś będzie jednym ze świadków oskarżenia w sprawie Luberta.

-  
Oczywiście, jeżeli przyjmujemy za pewnik, że Lubert jest mordercą.

-  
Czy masz, co do tego jakieś wątpliwości?

Mam. Downar poruszył się niespokojnie i mocniej ścisnął w dłoni słuchawkę.

-  
Intrygujesz mnie.

-  
Nie denerwuj się. Pogadamy jutro na ten temat. Cześć!

Przez cały następny dzień Downar tak był jednak zajęty śledztwem, że nie miał czasu na rozmowę z

Karolem.

Zaczął od przesłuchania Korzybskiej.

Kobiela z samego rana pojechał na Senatorską i przywiózł zaniepokojoną i zdenerwowaną śpiewaczkę do komendy. Zaniemówiła, ujrawszy domniemanego dziennikarza w mundurze milicyjnym.

-

Nie wiedziałam... Nie przypuszczałam... Sądziłam, że pan jest dziennikarzem...

Downar uśmiechnął się. Wstał, wyszedł zza biurka i bardzo uprzejmie przywitał się z Korzybską.

-

Dzień dobry. Proszę, niech pani będzie łaskawa spocząć. Kiedyś rzeczywiście miałem zamiar zostać dziennikarzem, ale potem zmieniłem zdanie. Zechce mi pani wybaczyć, że panią fatygowałem o tak wczesnej porze, ale zmuszony jestem prosić panią o chwilę poufnej rozmowy.

Korzybska już odzyskała zwykłą pewność siebie. Usiadła, założy-

ła nogę na nogę i z pewną nonszalancją zapaliła papierosa.

-

Ma pan nieco oryginalny sposób proszenia o poufną rozmowę

- wycedziła przez zęby.

-

Mam nadzieję, że oficer, który dotrzymał pani towarzystwa, zachował się poprawnie.

-

O tak, najzupełniej. To człowiek niezmiernie dyskretny. W

drodze nie zamienił ze mną ani jednego słowa.

Downar zmrużył oczy i przez chwilę wpatrywał się w twarz śpiewaczki. Zdecydował się zastosować metodę uderzeniową.

-

Przykro mi, że nasza rozmowa nie może mieć zbyt miłego charakteru – powiedział wolno. - No... ale cóż... Takie już jest życie.

Nie możemy, niestety, liczyć na same przyjemności.

Korzybska niecierpliwie poruszyła się na krześle.

-

Czy nie byłby pan łaskaw, panie kapitanie, nieco się streszczać? - Spojrzała na zegarek. - Mam niezbyt dużo czasu i chciałabym się wreszcie dowiedzieć, w jakim celu mnie pan tutaj sprowadził?

Downar odchrząknął. Udawał zakłopotanego.

-

Hm... Widzi pani, sprawa jest dosyć drastyczna i może dlatego tak mi trudno przystąpić ad rem. No, ale rzeczywiście nie będę już dłużej tracić czasu i powiem, o co chodzi. Otóż jest pani podejrzana o zamordowanie niejakiego Edmunda Gernerera.

Z pewną satysfakcją obserwował jej reakcję. Zbladła gwałtownie i otworzyła usta, ale w pierwszej chwili nie była w stanie wydobyć głosu.

-

Pan oszalał - wyszeptała wreszcie.

Uśmiechnął się z zażenowaniem. Miał taką minę, jakby chciał ją prosić o przebaczenie.

-

Niezmiernie mi przykro, ale na razie nie obserwuję u siebie żadnych niepokojących objawów.

-

Pan jest bezczelny! Pan kpi sobie ze mnie! - Głos jej zabrzmiał teraz donośnie, piskliwie. - Na jakiej podstawie śmie pan twierdzić, że zrobiłam coś podobnego, że kogoś zamordowałam?!

Downar odczekał chwilę, a widząc, że się już trochę uspokoiła spytał:

-

Czy znała pani Edmunda Gernerera?

-

Nie.

-

Hm... To dziwne. Powiedziałbym nawet, że to bardzo dziwne.

Bo niech sobie pani wyobrazi, że na karoserii samochodu, w którym znaleziono trupa Gernerera, pozostawiła pani, zapewne przez roztargnienie, odciski swych ślicznych paluszków. Co więcej: w kieszeni tego człowieka, którego pani nie znała, znaleziono klucze od pani mieszkania. Przyznam się szczerze, że mnie się jeszcze to nie zdarzyło, żeby nieznajomi ludzie nosili po kieszeniach klucze od mojego mieszkania. Dlatego mnie to trochę zdziwiło i pozwoliłem sobie fatygować panią, żeby chwilę pogawędzić na ten temat.

Twarz Korzybskiej wyglądała tak, jakby ją ktoś posypał popio-  
łem. W jednej chwili zbrzydła i zestarzała się o dobrych kilka lat.

-  
Ja go nie zabiłam!

-  
-  
Nie twierdzę tego z całą stanowczością - powiedział

Downar - ale sama pani musi przyznać, że te okoliczności nasuwają pewne wątpliwości, co do tego, że pani nigdy nic nie miała wspólnego z Edmundem Gernerem. Czyż nie mam racji?

-  
Ja go nie zabiłam.

-  
Ale znała go pani?

-  
Tak. Znałam go.

-  
Dlaczego więc pani poprzednio zaprzeczyła temu?

-  
Po prostu nie chciałam być wmieszana w tę sprawę. To chyba zrozumiałe.

Downar skinął głową.

-

-  
Powiedzmy, że takie tłumaczenie można ewentualnie uważać za wystarczające. Nie wyjaśnia to jednak faktu, że Gerner miał w kieszeni klucze od pani mieszkania. Czyżby panią łączyły z nim jakieś bliższe, bardziej intymne stosunki?

-  
To są podłe insynuacje! - krzyknęła Korzybska. - Wypraszam sobie!

-  
W jakim celu więc dała pani Gernerowi klucze od swego mieszkania? Nie przypuszczam, żeby ten wytworny pan zajmował się sprzątniem.

- Ja nie jemu dałam klucze.

-  
A komu?

- Jednej mojej znajomej.

-  
W jakim celu?

-  
Była przyjaciółką Gnera. Nie mieli się gdzie spotykać i ja...

-  
Aha. I pani użyczała im swego zacisznego gniazdka. Rozumiem. Chciałbym jeszcze wiedzieć, jak się nazywa ta pani przyjaciółka?

-  
Czy to konieczne?

-  
Raczej tak. Powiedziałbym nawet, że to niezbędne.



- Krystyna Kulicka.

- Ach, tak. To bardzo interesujące.

-  
Mam nadzieję, że wiadomość tę zachowa pan dla siebie. Krystyna jest kobietą zamężną.

-  
Może pani liczyć na moją dyskrecję - uśmiechnął się Downar.

- A skąd się wzięły odciski pani paluszków na karoserii samochodu?

-  
Wyszłam z domu, spostrzegłam wóz Gernerera, podeszłam więc i zajrzałam do środka. Zobaczyłam trupa. Przeraziłam się.

-  
I wtedy pojechała pani na Mokotów do mieszkania doktora Kulickiego, aby na wszelki wypadek zapewnić sobie alibi. Czy tak?

W milczeniu skinęła głową.

-  
Czy ma pani coś do dodania w tej sprawie?

-  
Nie.

-  
Ja natomiast chciałbym pani zadać jeszcze jedno pytanie: czy zna pani niejakiego Henryka Luberta?

- Nie.

Downar pochylił się nad biurkiem.

-  
Pragnę zwrócić uprzejmie uwagę, że to jest oficjalne przesłuchanie. Wszystko to, co pani mówi, ja dokładnie notuję, a następnie protokół pani zeznań pójdzie na maszynę i pani ten maszynopis podpisze. Jest pani zapewne wiadomo, że za fałszywe zeznania grozi kara więzienia. Więc pozwoli pani, że jeszcze raz zadam pytanie: czy zna pani Henryka Luberta?

Zawahała się.

-

Nie wiem. Nie przypominam sobie. Możliwe, że kogoś takiego kiedyś poznałam. Spotykam tylu różnych ludzi. Naprawdę trudno mi powiedzieć.

-

Bardzo chciałbym, żeby sobie pani jednak przypomniała.

Zadzwonił telefon. Downar podniósł słuchawkę. Posłyszał głos Domańskiego.

-

Dzień dobry, kapitanie. Przed chwilą otrzymałem z Gdyni odciski palców Luberta. Pasują jak ulał do tych niezidentyfikowanych odcisków, które znaleźliśmy na karoserii tego moskwicza. Mam wrażenie, że powinno to wam pomóc w robocie.

-

Bardzo. Dziękuję panu.

Downar w zamyśleniu bębnił palcami po blacie biurka. Mogło się zdawać, że zapomniał o przesłuchaniu. Po chwili spojrzał znowu na Korzybską.

-

Więc pani nie przypomina sobie Henryka Luberta?

- Nie.

-

Wobec tego na razie dziękuję pani. Jutro zechce się pani łaskawie pofatygować, aby podpisać swoje zeznania. Może do jutra przypomni pani sobie, jak wygląda Lubert?

Wychodząc z Komendy, Downar spotkał Walczaka.

-

Dokąd pędzisz? - spytał Karol.

-

Do mamusi Agnieszki.

-

A gdzie takowa mieszka?

-

Na Mochnackiego.

-

No to siadaj ze mną. Podwiozę cię. Jadę na Ochotę.

Nim dojechali do placu Unii, Downar zdążył już opowiedzieć przyjacielowi o przesłuchaniu Korzybskiej. Walczak słuchał z żywym zainteresowaniem. Powiedział:

-

Wiesz co, Stefan? Ja na twoim miejscu nie traciłbym kontaktu z Wrońskim, a przede wszystkim zająłbym się żywiej Agnieszką.

Przecież to jest chyba centralna postać w tej całej sprawie?

-

Masz rację - zgodził się Downar. - Zaraz od mamusi pojedę na Bielany do córeczki.

-

Życzę ci powodzenia.

Pani Chojecka była nieco zdziwiona odwiedzinami przystojnego mężczyzny. Usadowiła gościa w wygodnym fotelu i znikła. Wróciła po dłuższej chwili. Miała misternie ułożoną fryzurę, a twarz jej nosi-

ła wyraźne ślady pospiesznego makijażu.

-

Pan zapewne do mnie w jakichś sprawach handlowych - zapytała przymilnie, trzepocząc mocno podczernionymi rzęsami.

-

Pozwoli pani zapalić? - spytał Downar.

- Ależ oczywiście. Nie częstuję pana, bo sama nie palę.

Wypuścił dym nozdrzami i powiedział:

- Jestem z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

Bez troski uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

-

Z milicji? Ależ zapewniam pana, że ja mam wszystko w porządku. Produkuję takie drobiazgi z mas plastycznych, ale to są doprawdy groszowe interesy. Mam na to pozwolenie. A poza tym prowadzę książki. - Poderwała się ze swego miejsca. - Mogę panu zaraz pokazać. Nie mam zupełnie nic do ukrywania. U mnie zawsze wszystko się zgadza. Zapewniam pana.

Downar powstrzymał ją ruchem ręki.

-

Niech się pani nie fatyguje - uśmiechnął się. - Mnie nie obchodzą książki buchalteryjne. Przychodzę do pani w sprawie morderstwa dokonanego na osobie zięcia pani, Edmunda Gernerera.

Pani Chojecka znacznie się uspokoiła. Usiadła i poczęła starannie wygładzać fałdy swej sukni.

- Ach, tak! Doprawdy zupełnie już zapomniałam o tym przykrym incydencie. Więc słucham pana?

-

Ze słów pani bez trudu mogę wnioskować, iż nie darzyła pani swego zięcia specjalną sympatią.

Niechętnie wyduła wargi.

-

Phi... No cóż... Przyznam się panu, że właściwie był on dla mnie człowiekiem zupełnie obojętnym. Właściwie niezbyt mi się podobało to małżeństwo, ale córka moja jest osobą dorosłą. Nie mogłam jej przecież zabronić. Pan rozumie?

Downar skinął głową.

-

Doskonale rozumiem. Czy pani miała jakieś zastrzeżenia do osoby Edmunda Gernerera? Czy może, z jakichś względów, uważała pani, że to jest nieodpowiedni człowiek na męża dla pani córki?

-

Nie... właściwie nie... Wydał mi się człowiekiem kulturalnym, obytym, dobrze ułożonym. Zresztą, prawdę mówiąc, tak mało go znałam, że doprawdy nie mogłam sobie o nim wyrobić jakiegoś zdania. Agnieszka przyprowadziła go do mnie już jako swojego narzeczonego, a potem od razu się pobrali. To wszystko stało się tak raptownie, że... Wie pan, jak to dzisiejsza młodzież? Za moich czasów...

-  
Wiem, wiem... - przerwał pospiesznie Downar, obawiając się, że opowieść o dawnych czasach potrwa zbyt długo. - Pozwoli pani, że zadam teraz trochę może niedyskretne pytanie. Czy córka pani wyszła za mąż za Gernerera z miłości?

Pani Chojecka zamyśliła się. Odpowiedziała dopiero po chwili.

-  
Powiem panu zupełnie szczerze, że ja sama nieraz zadawałam sobie to pytanie i nie mogłam znaleźć na nie odpowiedzi. Przyznam się panu: trudno mi było uwierzyć, aby to była miłość.

-  
Małżeństwo zawiera się zazwyczaj albo z miłości, albo dla pieniędzy - powiedział Downar.

-  
Nie sądzi pan chyba, że Agnieszka poślubiła tego człowieka dla pieniędzy?!

Downar potrząsnął głową.

- Nic nie sądzę. Powiedziała pani, że nie wierzyła pani w mi-  
łość córki do Gernerera, więc...

-  
W żadnym wypadku nie zrobiłaby tego dla pieniędzy. Tego jestem pewna.

- Jakież mogą być motywy, które skłaniają młodą kobietę do porzucenia dobrego, kochającego męża i do poślubienia dużo od siebie starszego mężczyzny, jeżeli przyjmujemy, że nie wchodziła tu w grę ani miłość, ani względy materialne, to co mogło spowodować ten krok? W każdym razie jest to dość poważna decyzja życiowa.

Nie sądzi pani?

-  
Oczywiście. Sama byłam zdumiona, że Agnieszka tak szybko się zdecydowała. Właściwie nie bardzo wiem, co mam o tym sądzić.

Downar zgasił papierosa i przez chwilę wpatrywał się w popielniczkę.

-  
Czy pani ma jakichś krewnych za granicą? - spytał.

Potrząsnęła głową.

-

Nie.

-

Nikogo?

-

Zupełnie nikogo.

-

Hm... Jeśli mi wiadomo, to mąż pani w czasie wojny przebywał za granicą.

-

Tak, ale biedny Artur na pewno już dawno nie żyje. Byłby przecież dał znać o sobie. Tak bardzo kochał Agnieszkę...

-

Czy mąż pani przedostał się za granicę już po wybuchu wojny?

-

Nie. Mąż był przedstawicielem Zeissa i w lipcu trzydziestego dziewiątego roku wyjechał do Niemiec w sprawach handlowych. Już nie mógł wrócić.

-

I od tej pory nie miała pani od niego wiadomości?

-

Niestety nie. Musiał zginąć w czasie jakiegoś bombardowa-nia.

-

Czy ma pani przedwojenną fotografię męża?

-

Oczywiście. Niejedną.

-  
Czy mogłaby mi pani pożyczyć na kilka dni któreś z tych zdjęć?

- Jeżeli to panu potrzebne, bardzo chętnie.

Podeszła do biblioteki i wyjęła album z fotografiami.

- Proszę. To jest ostatnie zdjęcie biednego Artura. - Podniosła chusteczkę do oczu.

Downar schował do kieszeni fotografię Chojeckiego i spytał:

- Kiedy ostatni raz widziała pani córkę?

Pani Chojecka ożywiła się.

-  
O właśnie... Chciałam nawet pomówić z panem na ten temat.

Od kilku dni na próżno usiłuję skomunikować się z Agnieszką. Nie odpowiada na telefon. Byłam u niej nawet dwa czy trzy razy, ale nigdy nie można jej zastać w domu. Sąsiedzi twierdzą, że jej dawno nie widzieli. Obawiam się, czyjej się nie stało coś złego.

Downar wstał.

-  
Niech pani będzie zupełnie spokojna. Córce pani na pewno nie przytrafiło się nic złego. Zobaczę się z panią Agnieszką. Proszę się nie niepokoić. Dziękuję pani za rozmowę i przepraszam, że zabrałem tyle czasu.

Z domu akademickiego na placu Narutowicza zatelefonował do komendy. Po upływie dwudziestu minut z granatowej warszawy wyskoczył Kobiela. Koło szofera siedział fachowiec od otwierania skomplikowanych zamków. Na kolanach trzymał teczkę z narzędziami.

dziami.

Na Bielany zajechali nieomal w zupełnym milczeniu. Downar tak był pogrążony w rozmyślaniach, że na pytania Kobieli odpowiadał

półsłówkami. Wreszcie porucznik zniechęcił się i zrezygnował z rozmowy.

Agnieszki w domu nie było. Downar kazał otworzyć drzwi.

Szybko rozejrzał się po mieszkaniu. Wszystko tu wyglądało tak, jakby ktoś wyszedł na chwilę i zaraz miał wrócić. Gruba warstwa kurzu na meblach wskazywała jednak, że dość dawno nikt nie zajmował

się sprzątaniem.

Ani w biurku, ani w szafach nie znaleźli nic godnego uwagi. Dopiero płaska walizka, ukryta w tapczanie, zainteresowała Downara.

Liczne nalepki hoteli zagranicznych świadczyły o tym, że jej właściciel dużo podróżował: Buenos Aires, Paryż, Zurych, Londyn. Bez trudu można się było domyśleć, że była to walizka Gernerera.

-

Szkoda takiej ładnej walizy - westchnął Kobiela i wyłamał zamki.

Trochę bielizny, przybory toaletowe, jakieś papiery, notatki, a w dużej szarej kopercie fotografie.

-

Towarzyszu kapitanie - powiedział Kobiela. - przecież to Eichmann ze swoimi kumplami!

Downar wyjął z kieszeni zdjęcie Chojeckiego.

-

Tak, teraz zaczynam rozumieć - mruknął.

## ROZDZIAŁ X

Gałęzie drzew rzucały szerokie cienie na zwirowane aleje.

Ludzie w pasiastych szlafrokach przechadzali się wolnym krokiem.

Rozmawiano o chorobach. Każdy usiłował zainteresować bliźnich swymi dolegliwościami.

Wroński i Downar siedzieli na zielonej ławce.

Wroński skrzywił się i dotknął obandażowanej głowy.

-

Kiedy wreszcie stąd wyjdę? - jęknął.

-

Niedługo - pocieszył go Downar. - Bądź zadowolony, że wszystko to tak się skończyło. Mało brakowało, a byłbyś leżał teraz na dnie jakiegoś kanału. Wykręciłeś się maleńkim wstrząsem mózgu i tą szramą. No cóż... zachciało ci się udawać detektywa, działać na własną rękę... Mogłeś życiem przypłacić tę zabawę w Sherlocka Holmesa. Detektyw amator dobry jest w powieściach, ale w



rzeczywistości zwykle się tak kończy jak z tobą, albo jeszcze gorzej. A gdybyś przez cały czas utrzymywał ze mną ścisły kontakt, nie naraziłbyś się na kłopoty i sprawę rozwikłalibyśmy o wiele prędzej. Mia-

łeś w ręku cały szereg elementów, których mnie właśnie brakowało.

-

Masz rację - powiedział skruszony Wroński. - Wal mnie w mordę.

Downar roześmiał się.

-

No i co mi z tego przyjdzie? Przeniosą cię na oddział stoma-tologiczny, ale od tego nie zmadrzejesz. Lubert już cię dostatecznie zaprawił.

-

Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób Lubert mógł mnie uderzyć. Przecież słyszałem jego głos w mieszkaniu.

-

To proste. Jak zacząłeś się dobijać, wyszedł kuchennymi drzwiami i walnął cię po łbie. Całe szczęście, że przed wyjazdem do Augustowa dałem wam obstawę. Inaczej nie wiem, co by to było.

-

Nie mogę wprost w to uwierzyć - powiedział Wroński - że tych dwóch drabów o zakazanych gębach to byli milicjanci.

Downar uśmiechnął się.

-

Cóż chcesz? Nie każdy może mieć urodę amanta filmowego.

Czasem taka charakterystyczna twarzyczka jest właśnie bardzo poży-teczna. To sprytne chłopaki, a pięści mają tak twarde, że Lubert nie wytrzymał z nimi jednej rundy, chociaż facet nie ułomek, stary marynarz, a i pistolet miał przy sobie.

-

Ten sam, z którego kropnął Gernera i Korolkiewicza?

-

Tak.

-

Dziwne, że taki spryciarz nie pozbył się dowodu rzeczowego.

-

-

Widocznie był bardzo pewny siebie. A poza tym każdy zbrodniarz popełnia jakiś błąd. Właśnie dlatego zbrodnie można wykryć.

-

Ale te morderstwa z pamiętnika Korolkiewicza w dalszym ciągu zostają niewykryte.

-

Na razie.

-

Po co ten stary to wszystko napisał?

Downar wzruszył ramionami.

-

Bo ja wiem... Wydaje mi się, że po prostu z nudów. Miał

aspiracje literackie, a poza tym chciał zrobić kawał milicji. Jako archiwista zapamiętał sobie niewykryte sprawy i napisał coś w rodzaju makabrycznego pamiętnika. Dowiedział się od córki, że przyjechał

dziennikarz z Warszawy, podrzucił więc ów sławny żółty zeszyt w pokoju Rowickiego. Zapewne sprzątaczką położyła pamiętnik na szafie. I rzeczywiście udało mu się wprowadzić nas w błąd. Podrzucenie pamiętnika zbiegło z zabójstwem Gernerera. Ten dureń Rowicki dopisał o zamierzonym zamordowaniu Gernerera, a potem przeraził

się. À propos: czy wiesz, że Rowicki żeni się Elwirą, córką Korolkiewicza?

Wroński zdumiał się.

-

Niemożliwe! Andrzej się żeni?

-  
Słowo ci daję. Widocznie na każdego to przychodzi. Andrzej mimo woli stał się pośrednio przyczyną śmierci Korolkiewicza...

-  
Tak. Gdyby Elwira nie zakochała się w nim, Lubert byłby ją wywiózł do Argentyny i spokój.

-  
Jako Agnieszkę?

-  
Oczywiście. Warto mu się było pokusić o to, żeby zdobyć milionową fortunę starego Chojeckiego. Jak się nie udało z Elwirą, to próbował z Korzybską, która była jego kochanką, ale wtedy Gerner wszedł mu w paradę.

-  
Kropnął więc Gerner...

-  
No tak... Nie miał innego wyjścia. Przecież Gerner lada dzień mógł wyjechać z Agnieszką i w Buenos Aires zainkasować spadek po Chojeckim. Był w ścisłym kontakcie z notariuszem. Do spółki robili ten interes.

-  
A dlaczego Lubert zabił Korolkiewicza?

-  
Stary go szantażował. Wiedział przecież o całej sprawie i chociaż Elwira nie chciała wyjechać z Polski, postanowił na tym zarobić parę złotych. Groził Lubertowi, że go sypnie. Nie jest wykluczone, że wiedział o zamordowaniu Gerner.

-  
Z listu tego Argentyńczyka wynika, że Korolkiewicz znał

Gerner.

-  
Tak. Przypuszczam, że szantażował także i jego. Gerner na jesieni zeszłego roku był w Augustowie,

aby się porozumieć z Korolkiewiczem i sprawę polubownie załatwić.

-

Daj mi papierosa - powiedział Wroński.

- Nie wiem, czy ci wolno palić. Nie chciałbym się narazić leka-rzowi.

- Nie bój się. Wszystko mi już wolno. Dawaj papierosa!

Downar wyjął papierośnicę. Wroński zaciągnął się dymem. Spytał:

-

Czy Agnieszka wiedziała, że jej ojciec nie żyje?

- Ale skądże. Przecież Gerner właśnie tym ją szantażował.

Groził, że skompromituje jej ojca, że opublikuje te zdjęcia w prasie.

Musiał zresztą znać wiele szczegółów z życia Chojeckiego. Wyobra-  
żasz sobie, co to byłby za skandal?

- To prawda. Nie rozumiem, jak on mógł tak się ześwinić.

-

Cóż chcesz. Nie wiemy, jakich metod użyli hitlerowcy, aby zmusić Chojeckiego do współpracy. Facet musiał być słaby, bez charakteru i poszedł na to. Został jednym ze współpracowników Eichmanna, zmienił nazwisko i dorobił się milionowej fortuny.

Wiesz przecież, że w czasie wojny człowiek bez zbytnich skrupułów mógł dorobić się grubszej forsy. Chojeckiemu udało się. Po wojnie wyjechał, jak wielu hitlerowców, do Argentyny i tam dokończył

niezbyt chlubnego żywota. Nie jest wykluczone, że któryś z „przyjaciół” dopomógł mu do przeniesienia się na tamten świat. Przed śmiercią zapisał cały swój olbrzymi majątek córce i jej ewentualnemu mężowi. Testament złożył u notariusza. O tej sprawie wiedzieli i Lubert, i Gerner. Możliwe, że Lubert znał Chojeckiego jeszcze przed wojną, a potem spotkał go przypadkowo w Argentynie. Gerner zaś przypuszczalnie był w porozumieniu z notariuszem, którego list pisany po hiszpańsku przejąłeś.

-

Nie rozumiem tylko jednej rzeczy - powiedział Wroński. -

Dlaczego Lubert usiłował wywieźć Elwirę, a potem Korzybską jako swoją żonę, a nie odnalazł

Agnieszki?

-

To dokładnie ustali śledztwo. Można jednak przypuszczać, że Lubert nie wiedział o hitlerowskiej przeszłości Chojeckiego i wobec tego nie miał czym szantażować Agnieszki. Po zabiciu Gnera sterroryzował ją. Bał się jednak, żeby nie zrobiła mu jakiegoś kawału i postanowił wywieźć ją do Gdyni, a następnie za granicę. Bardzo możliwe, że chciał to zrobić na statku, na którym pływał. Aby do Hamburga, a stamtąd już łatwo mógł się przedostać do Argentyny.

Zresztą, trudno w tej chwili powiedzieć, jakie miał plany. Agnieszce pewnie zagroził, że zabije ją, ciebie, jej ojca... Dlatego prosiła cię, abys nie mieszał w te sprawę milicji, a tobie nie wystarczyło inteli-gencji, żeby nie słuchać jej prośby.

-

Zachowałem się jak skończony idiota - przyznał Wroński.

Downar poklepał przyjaciela po ramieniu.

-

Ciesz się moim samokrytycyzmem. To już zawsze coś...

Wroński nie zwrócił uwagi na te słowa. Siedział zamyślony. Dopiero po chwili się odezwał.

-

Zastanawia mnie jedna rzecz: jak to się stało, że samochód wraz z trupem Gnera znalazł się na Senatorskiej w pobliżu mieszkania Korzybskiej?

-

To nie jest w stu procentach ustalone. Znalazłem w garażu Gnera na Bielanach łuskę z pistoletu Luberta. Najprawdopodobniej Lubert dokonał morderstwa w garażu, a następnie zawiózł trupa na Senatorską i przeciął kabel od startera, żeby nikt nie mógł ruszyć moskwicza.

- Ale po co Lubert wiózł zamordowanego na Senatorską?

-

Po to, żeby sprowadzić śledztwo na fałszywy ślad. Wiedział, że Gerner spotyka się ze swoją przyjaciółką w mieszkaniu na Senatorskiej. Liczył na to, iż sąsiedzi Korzybskiej widywali go. Chciał zasugerować milicji morderstwo na tle romantycznym. Twój szwagier, na przykład, mógł być zazdrosny o żonę i zastrzelić w afekcie jej kochanka. Tak się przecież zdarza.

-  
Nigdy nie przypuszczałem, że Krystyna to taka dziwka -

mruknął Wroński.

Downar skrzywił się...

-  
Daj spokój. Nie należy zbyt surowo sądzić ludzi, a szczególnie kobiet. Może ona kochała Gernera, skąd wiesz? W takich wypadkach powinniśmy z dużym umiarem oceniać czyny bliskich.

Trzeba dobrze znać sytuację, okoliczności towarzyszące zdradzie małżeńskiej. To nie są takie proste sprawy.

Wroński pokiwał głową.

-  
No cóż... Może i masz rację. Zresztą, prawdę mówiąc, mał-

żeńskie komplikacje mojej siostry niewiele mnie obchodzą. W tej całej historii jedna rzecz nie jest jeszcze dla mnie zupełnie jasna.

-  
Mianowicie?

-  
Wspominałem ci o klamrze do włosów, którą znalazłem w łazience Korzybskiej. Do tej pory nie wiem, czy była jedna taka klamra, czy dwie.

Downar uśmiechnął się.

-  
Widzę, że chcesz mieć dokładny obraz sprawy. Mogę cię zapewnić, że była tylko jedna taka klamra. Rozmawiałem na ten temat z Agnieszką. Korzybska zauważyła, że klamra zniknęła z jej łazienki, powiedziała o tym Lubertowi, który odebrał klamrę od Agnieszki i kazał Korzybskiej oddać ją Krystynie. Podejrzewał, że coś zaczy-nasz węszyć i chciał cię wprowadzić w błąd. Zresztą, jak cię to tak bardzo interesuje, to wypytaj jeszcze dokładnie o wszystko Agnieszkę. Właśnie idzie. Radzę ci jednak porozmawiać z nią o czymś we-selszym. No, cześć! Trzymaj się. Nie będę wam przeszkadzał.

Wroński zerwał się. Tuż przy nim stała Agnieszka. Była jeszcze bardzo mizerna po ostatnich przeżyciach, ale uśmiechała się pogodnie.

Tyle słów cisnęło mu się na wargi. Nie wiedział od czego zacząć.

Był zmieszany, wzruszony.

Usiedli. Dotknęła jego ręki.

- Jak to dobrze, że wszystko to jest już za nami - powiedziała.